



Uuk Quality Books

# Karol May

## Czarny Mustang

Wydawnictwo: Krajowa Agencja Wydawnicza  
Szczecin 1987

## **Spis treści:**

**Spis treści:**

**Rozdział I — W FIRWOOD CAMP**

**Rozdział II — DO ROCKY GROUND<sup>1</sup>**

**Rozdział III — NAPAD**

**Rozdział IV — BONANCA OF HOAKA**

## Rozdział I — W FIRWOOD CAMP<sup>[1]</sup>

Gwałtowny wicher smagał uginające się pod nim jodły starego lasu. Padał deszcz, grube na palec strugi wody spływały po olbrzymich pniach łącząc się u korzeni drzew najpierw w małe, a potem w coraz większe strumienie, które spadały niezliczonymi kaskadami od skały do skały w dolinę, gdzie pochłaniała je wezbrana rzeka. Zapadła już noc, co chwilę huczały pioruny i rozświetlały ciemność nocy. Ulewny deszcz potęgował mrok, nic nie było widać dalej jak na odległość pięciu kroków.

Szalejąca wichura smagała lasy na wyżynach i skaliste czuby, ale jej potęga nie sięgała do głębi doliny, gdzie stały nieruchomo olbrzymie jodły. Nie było tu jednak cicho, bo rozhukane nurty rzeki głośno szumiały między brzegami. Trudno w tym hałasie było usłyszeć, że w dół rzeki jechało dwóch samotnych jeźdźców. Nie było ich jednak widać.

W dzień ich widok ściągnąłby na siebie zdziwione spojrzenia nie tyle z powodu swojego ubrania czy uzbrojenia, lecz dlatego że obaj byli bardzo wysocy.

Długo po świcie można by szukać dwóch ludzi równie wysokich i szczupłych.

Jeden z nich miał włosy jasne jak len i w stosunku do swojego wzrostu bardzo małą głowę. Między parą dobrodusznych, małych oczu tkwił niewielki, nieco zadarty nos, który bardziej by pasował do twarzy dziecka, zupełnie się nie zgadzał z szerokimi ustami ciągnącymi się prawie od ucha do ucha. Człowiek ten był bez zarostu i ten brak był prawdopodobnie wrodzony, bo nie było widać żadnych śladów po brzytwie lub nożycach. Był ubrany w skórzaną bluzę, pofałdowaną na wątych barkach jak krótki płaszcz, wąskie skórzane spodnie, które ciasno przylegały do bocianich nóg, półwysokie buty z cholewami i słomiany kapelusz ze smętnie obwisłymi kresami, z których deszcz spływał nieustannie strugami. Na plecach wisiała dwururka, zwrócona wylotem w dół. Jechał na silnym, kościstym, przynajmniej piętnastoletnim kłusaku, który sprawiał wrażenie, że jeszcze długo pożyje.

Drugi jeździec miał ciemne włosy przykryte wiekową skórzaną czapką, spod której wyglądała wąska i długa twarz z tak samo wąskim i długim nosem i ustami oraz z cienkim wąsem, którego końce można z powodzeniem zawiązać za uszami.

Mężczyzna ten, o wzroście przekraczającym dwa metry, ubrany był w przeciwieństwie do swego towarzysza, ciasno u góry, a swobodnie u dołu. Miał bowiem na sobie bardzo szerokie i fałdziste spodnie wsunięte w buty z cholewami, a górną część ciała opinała sukienna bluza, tak ciasna, że przylegała jak ulana. Uzbrojony był również w dwururkę i tak jak jego towarzysz,

także w nóż i rewolwer.

Siedział na godnym zaufania mustangu, który z pewnością nie był młodszy od konia jego towarzysza.

Jeźdźcy nie zastanawiali się ani nie troszczyli o drogę, nie przejmowali się również lejącym deszczem. Wychodzili z założenia, że drogę odnajdą zwierzęta, a deszcz nie może przecież dostać się głębiej jak tylko do skóry, po czym musiał spłynąć.

Pomimo nieustannych grzmotów i błyskawic i pomimo niebezpiecznego sąsiedztwa podmywającej brzegi rzeki rozmawiali ze sobą tak swobodnie, jakby ich podróż odbywała się w jasny, słoneczny dzień i wiodła przez otwartą prerię. Niewiele było widać, a jeźdźcy próbowali przypatrzeć się sobie wzajemnie, bo znali się zaledwie od godziny, a na Dzikim Zachodzie nie należy ufać przygodnie spotkanym osobom. Zetknęli się na krótko przed zapadnięciem nocy nad rzeką, przy czym okazało się, że obaj jeszcze dziś chcą dotrzeć do Firwood Camp. Ten zbieg okoliczności sprawił, że pojechali razem.

Nie pytali się nawzajem o nazwiska i stosunki, a rozmowa dotyczyła spraw bardzo ogólnych. Nagle zagrzmiało, po chwili błyskawice przecięły niebo i oślepiająco mignęły ponad wąską doliną. Blondyn z zadartym nosem mruknął:

— Mój Boże! A to burza! Zupełnie jak w naszych stronach u spadkobierców Timpego.

Drugi jeździec mimowolnie zatrzymał konia słysząc te słowa i otworzył już usta, aby szybko zadać pytanie, lecz się rozmyślił i popędził konia dalej. Przypomniał sobie, że na zachód od Missisipi należy zachować ostrożność.

Rozmowa potoczyła się dalej, oczywiście półgębkiem, jak tego wymagały okolica i sytuacja. Minął jeden kwadrans i drugi, a tymczasem jeźdźcy znaleźli się na zakręcie rzeki i to w miejscu bardzo podmytym przez wodę. Koń blondyna wszedł nieopatrznie na nawis brzegowy i zapadł się, na szczęście nie głęboko. Jeździec poderwał go, szarpnął nim w bok, ścisnął ostrogami i jednym skokiem stanął na twardym gruncie.

— Thanks God!<sup>[2]</sup> — zawołał. — Jestem już dość mokry od deszczu, kąpieli mi nie trzeba! Omal się nie utopiłem! Prawie tak, jak kiedyś u spadkobierców Timpego!

Odtąd trzymał się nieco dalej od rzeki. Jego towarzysz jechał za nim przez chwilę w milczeniu, po czym zapytał:

— Spadkobierców Timpego? Co to za nazwisko, sir?

— Nie wie pan?

— Nie.

— Hm! To ciekawe! Wszyscy moi znajomi i przyjaciele wiedzą co ono znaczy.

— Zapomina pan, że spotkaliśmy się zaledwie przed godziną.

— Słusznie! W takim razie trudno, żeby pan wiedział kim są spadkobiercy Timpego. Ale może usłyszysz pan o tym jeszcze kiedyś.

— Może?

— Tak.

— Kiedy?

— Gdy dłużej będziemy razem.

— Czy nie mógłby pan opowiedzieć mi o tym teraz?

— Teraz? Czemu?

— Bo nazywam się Timpe.

— Co? Jak? Pan nazywa się Timpe? Timpe to pana nazwisko?

— Tak.

— Naprawdę? Rzeczywiście?

— Po cóż miałbym przybierać cudze nazwisko?

— Wonderful<sup>[3]</sup>! Ja szukam Timpego od wielu lat, wszędzie, po wszystkich dolinach i górach, na wschodzie i na zachodzie, we dnie i w nocy, w słońcu i w deszczu, a teraz kiedy straciłem już nadzieję, że go kiedykolwiek znajdę, on jedzie w taką pogodę u mego boku i prawie obojętnie patrzy, gdy ja omal nie utopiłem się w rzece, a do tego nie mówi kim jest!

— Szuka mnie pan? — zapytał towarzysz zdziwiony.

— Tak, tak i jeszcze raz tak!

— Dlaczego?

— No, z powodu spadku!

— Spadku? Hm! Kim pan właściwie jest?

— Jestem także Timpe.

— Także? A skąd?

— Z tamtej strony oceanu.

— Z Niemiec?

— Naturalnie! To jest przecież zupełnie oczywiste! Czy jakiś Timpe mógł urodzić się gdzieś indziej?

— I owszem, ja na przykład urodziłem się tutaj, w Stanach.

— Ale pańscy rodzice byli Niemcami!

— Ojciec był Niemcem. A pan z jakich okolic pochodzi?

— Z Hofu w Bawarii.

— W takim razie jesteśmy dalecy sobie, gdyż ja pochodzę z Plauen w Voigtland.

— Oho! Dalecy? Mój ojciec także pochodzi z Plauen i stamtąd przeniósł się do Hofu.

Ciemnowłosa zatrzymał konia. Deszcz nagle przestał padać, a wicher rozgonił chmury.

W kilku miejscach wyjrzało jaśniejsze niebo i obaj jeźdźcy mogli się przyjrzeć swoim twarzom.

— Z Plauen przeniósł się do Hofu? — zapytał ciemnowłosa. — W takim razie nie tylko nie jesteśmy sobie dalecy, ale może nawet łączy nas pokrewieństwo. Nasze szczególnie brzmiące nazwisko nie trafia się tak często, żeby miały je nosić tysiące ludzi. Kim był pana ojciec?

— Rusznikarzem, a ja także nauczyłem się tego rzemiosła.

— To się zgadza! To się zgadza! To przypadek jakich mało! Ale nie zatrzymujemy się tutaj, bo burza mogłaby jeszcze wrócić, a teraz mamy przed sobą najgorszą część doliny, dlatego korzystajmy z tej znośniejszej pogody. Lepiej będzie porozmawiać, gdy staniemy na miejscu. Ruszajmy więc, sir albo kuzynie, jeśli bardziej się to panu podoba!

— Kuzynie albo bracie stryjeczny, to wszystko jedno! A więc naprzód!

Pojechali dalej doliną, w tej części tak wąską, że zostało bardzo mało przestrzeni między rzeką a wznoszącą się prawie pionowo skałą. Miejsce to było porośnięte gęstymi krzakami, tak że konie nieraz musiały się przez nie po prostu przeciskać. Gdyby burza trwała nadal i było tak ciemno jak przedtem, trudno byłoby tamtędy przejechać.

Taka droga prowadziła przez jakiś czas, po czym dolina się rozszerzyła, ale po pół godzinie znowu zwęziła się tak bardzo, że tworzyła przesmyk, na szczęście niedługi, który prowadził na plac zwany Firwood Camp, ponieważ rosły tu tylko niebotyczne jodły.

Dwie doliny krzyżowały się tutaj pod kątem prostym. Jedną była dolina rzeki, którą przybyli obaj Timpowie, a drugą utworzono przez budowaną właśnie kolej. „Camp” oznacza obóz, a że znajdował się tu obóz, jeźdźcy dostrzegli wjeżdżając w przesmyk, mimo nocnej ciemności.

Leżało tam mnóstwo olbrzymich drzew, które ścięto po to, aby z pni porobić deski, a z grubszych konarów progi do szyn, odpadki zaś przeznaczyć na opał. Most nad rzeką był już prawie gotowy, a w pobliżu stał przenośny tartak, którego piły miały pokonać te masy drzewa.

Nieco dalej czerniała otchłań kamieniołomu, który dostarczał kamieni do murowanych części kolei, a na lewo ciągnęło się kilka budynków postawionych z belek i desek, które służyły jako domy mieszkalne i magazyny narzędzi i zapasów.

Jedna z tych bud, zwanych tutaj „shops”<sup>[4]</sup> była dość długa i szeroka. Cztery czuwające nad dachem kominy i oświetlone okna kazały się domyślać, że mieszkają w niej zatrudnieni przy kolei robotnicy. Z tego powodu obaj przybysze zwrócili się właśnie tam.

Już z daleka przywitał ich dość wyraźny zgiełk ludzkich głosów, co świadczyło o obecności wielu ludzi, a im bardziej się zbliżali, tym silniej czuło się w powietrzu opary wódki. Zsiedli z koni, przywiązali je do wbitych prawdopodobnie w tym celu pali i chcieli właśnie wejść, gdy w drzwiach ukazał się człowiek, który odwracając się do środka zawołał:

— Zaraz nadejdzie pociąg budowlany. Wyprawię go i wrócę. Może przywiezie listy i gazety.

Po tych słowach zrobił krok i nagle ujrzał przybyłych. Przesunął się na bok, aby dostali się w padające przez drzwi światło i przyjrzał im się uważnie.

— Good evening, sir<sup>[5]</sup> — pozdrowił go blondyn. — Przemokliśmy do nitki. Czy można się gdzieś tu wysuszyć?

— Tak — odpowiedział. — Jest nawet gdzie się przespać, jeżeli nie należycie do ludzi, których lepiej nie wpuszczać.

— Bez obawy, sir! Jesteśmy uczciwymi westmanami, dżentelmenami, którzy nie wyrządzą wam szkody i zapłacą za wszystko.

— Jeżeli wasza uczciwość jest tak wielka, jak długość ciała, to jesteście naprawdę największymi dżentelmenami na świecie. No, idźcie do środka, na lewo, do mniejszej izby i powiedzcie shopmanowi<sup>[6]</sup>, że engineer<sup>[7]</sup> pozwolił wam zostać.

Nieznajomy odszedł, a przybysze z przyjemnością skorzystali z zaproszenia.

Wnętrze budy tworzyło jedną wielką izbę, z której po lewej stronie oddzielono deskami wysokości człowieka część jadalną. Stały, tam prymitywne stoły i ławki poprzybijane do podłogi, a pomiędzy nimi i wzdłuż ścian znajdowały się wieloosobowe łoża, zaścielone przeważnie tylko słomą i sianem. W czterech kominkach płonął ogień i oświetlał izbę zastępując lampy i świece, wskutek czego ludzie i przedmioty wyglądały w tym migotliwym świetle jak widma.

Około dwustu robotników kolejowych siedziało przy stołach lub łożach. Byli to ludzie mali, żółtej cery, z długimi warkoczami, wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnie

wykrojonymi oczami. Wszyscy ze zdziwieniem popatrzyli na obie wysokie postacie.

— Tam, do diabła! Chińczycy! Można było się tego domyślić, gdyż zapachy rozchodziły się już na dworze! — rzekł ciemnowłosy. — Chodźmy prędko do małej izby! Może tam powietrze będzie znośniejsze.

W tej części baraku spotkali także przy fajce i szklance wielu robotników, ale białych. Były to szorstkie, ogorzałe postacie, z których niejeden miał za sobą lepszą przeszłość, ale niejeden przybył tu tylko dlatego, że nie mógł się już pokazywać w krajach cywilizowanych. Ich zbyt głośna rozmowa umilkła natychmiast na widok gości, a zdziwione spojrzenia podążyły za przybyszami aż tam, gdzie stał barman oparty o stół zastawiony butelkami i szklankami.

— Rail workers?<sup>[8]</sup> — zapytał odpowiadając na ich powitanie.

— Nie, sir — rzekł blondyn. — Nie mamy zamiaru zabierać zarobku siedzącym tu dżentelmenom. Jesteśmy westmanami i szukamy ognia, żeby się wysuszyć. Inżynier nas przysyła.

— Czy możecie zapłacić? — zapytał mierząc oceniającym spojrzeniem ich wysokie i szczupłe postacie.

— Tak.

— W takim razie dostaniecie wszystko, czego wam na razie trzeba, a potem wygodne, oddzielone łóżko tam, za skrzyniami i beczkami. Usiądźcie przy ciepłym kominku! Ten drugi stół jest przeznaczony dla urzędników i „wyższych” dżentelmenów.

— Well! Zaliczacie nas zatem do „niższych” dżentelmenów. Tego bym się nie spodziewał, choćby ze względu na to, że jesteśmy tak wysocy. Ale to nic. Podajcie nam gorącej wody, rumu i cukru! Chcielibyśmy rozgrzać się także w środku.

Usiedli przy wskazanym stole tak blisko ognia, że wkrótce ich przemoczone ubrania były całkiem suche.

Z podanych składników sporządzili sobie grog. Biali robotnicy usłyszawszy, że nie grozi im współzawodnictwo, uspokoili się i z zadowoleniem powrócili do hałaśliwej rozmowy.

Przy stole przeznaczonym dla urzędników i „wyższych” dżentelmenów siedział młody człowiek, lat około trzydziestu, ubrany jak biały myśliwy, ale barwa jego skóry i rysy twarzy nie wskazywały na członka społeczności europejskiej. Był to Metys<sup>[9]</sup>, jeden z tych mieszańców, którzy dziedziczą wprawdzie zalety, ale niestety także i wady swoich różnobarwnych rodziców. Człowiek ten miał ciało silne i gibkie jak u pantery, a jego ciemne oczy rzucały niespokojnie



błyski spod nisko opuszczonych powiek i rzęs. Zdawało się, że nie zwracał uwagi na obcych, kierował jednak ku nim często swoje niedostrzegalne spojrzenia i pochylił się w ich stronę, aby słyszeć, o czym będą mówili. Chciał się dowiedzieć, co ich sprowadziło w te strony, czy tu zostaną, czy też nie. Niestety, nie rozumiał ani słowa, chociaż rozmawiali dość głośno, ponieważ posługiwali się językiem niemieckim, którego nie znał.

Obaj przybyli napelnili szklanki i wypili je do dna, po czym ciemnowłosy odstawił swoją i powiedział:

— No, to już przywitaliśmy się, a teraz do rzeczy! A więc jest pan rusznikarzem, jak pański ojciec. Z tego można wnosić, że jest pan dobrym strzelcem. Gdybyśmy nawet zgodzili się na pokrewieństwo między sobą, to mimo tego wyznam szczerze, że nie wiem, czy mam prawo traktować pana jak krewnego.

— A dlaczego nie?

— Z powodu spadku.

— Jak to?

— Oszukano mnie i nic nie dostałem.

— I ja także!

— Ach! Naprawdę? Nic pan nie otrzymał?

— Ani feniga, ani grosza!

— Ale spadkobiercom w starym kraju wypłacono znaczną sumę!

— Tak, spadkobiercom Timpego w Plauen, ale nie mnie, chociaż jestem tak samo prawdziwym Timpe jak oni.

— Niech pan pozwoli, że zbadam nieco tę prawdziwość! Jak panu na imię?

— Kasimir Obadia Timpe.

— A ojciec?

— Rehabeam Zachariasz Timpe.

— Ilu braci miał pański ojciec?

— Pięciu. Trzej młodszy wyjechali do Ameryki w nadziei, że się prędko wzbogacą, gdyż potrzebowano tu wtedy dużo strzelb. Wszyscy bracia byli rusznikarzami.

— Jak się nazywał drugi brat z kolei, spośród pozostałych w Plauen?

— Jan Daniel. Umierając zostawił dwóch synów, Piotra Michę i Marka Absaloma, którzy odziedziczyli sto tysięcy talarów i otrzymali je z miasta Fayette w Alabamie.

— To się zgadza, to się znów zgadza! Pańska znajomość miejsc i osób dowodzi, że naprawdę jest pan moim bratem stryjecznym.

— O, ja potrafię dowieść tego jeszcze lepiej! Mam papiery i dokumenty, które przechowuję jak świętość i noszę je zawsze na sercu. Mogę je panu natychmiast...

— Nie teraz, nie teraz, może później — przerwał mu Hasael Beniamin Timpe, tak bowiem nazywał się ciemnowłosy. — Wierzę panu. Przecież pan wie, dlaczego wszyscy bracia mają biblijne imiona?

— To był prastary zwyczaj w tej rodzinie, od którego nikt nie chciał odstąpić.

— To prawda! Tego zwyczaju można było dochować tu, w Stanach, gdyż Amerykanie także lubią takie imiona. Mój ojciec był trzecim z braci, nazywał się Dawid Machabeusz i został w Nowym Jorku. Mnie na imię Hasael Beniamin. Dwaj młodsi udali się w głąb kraju i osiedlili w Fayette w stanie Alabama. Najmłodszy nazywał się Józef Habakuk, zszedł z tego świata bezdzietnie i zostawił ten wielki spadek. Czwarty brat, Tobiasz Holofernes, umarł w tym samym mieście, a jego jedyny syn, Nahum Samuel, jest oszustem.

— Jak to?

— Czy pan tego nie widzi? Ja nie przeczuwałem niczego. Ojciec pisywał przez jakiś czas do obu braci w Fayette, ale potem korespondencji zaniechano i zapomniano wzajemnie o sobie, odległości w Stanach są tak wielkie, że w końcu nawet bracia znikają sobie z oczu. Po śmierci ojca prowadziłem interesy z różnym powodzeniem, a z zyskiem tak małym, że ledwie starczało mi na życie. Niespodziewanie spotkałem się w Hoboken z Niemcem, który właśnie przyjechał z Plauen. Zapytałem go oczywiście o swoich tamtejszych krewnych i dowiedziałem się ku memu zdziwieniu, że odziedziczyli po stryju Habakuku sto tysięcy talarów gotówką. A ja nic! Myślałem, że mnie szlag trafi! Miałem prawo żądać swego udziału, i napisałem do Fayette z dziesięć, a może i więcej listów, ale nie dostałem odpowiedzi. Wobec tego sprzedałem szybko interes i pojechałem tam.

— Całkiem słusznie, całkiem słusznie, kochany bracie! A skutek?

— Nie było żadnego skutku, ponieważ ten ptaszek stał się niewidzialny. Wyleciał.

— Jaki ptaszek?

— Co za pytanie! Może się pan domyślić! W Fayette przypuszczano, że stary Józef Habakuk zmarł w dobrych stosunkach, ale nie przeczuwano, że był aż tak bogaty. Prawdopodobnie nie okazywał tego ze sknerstwa. Jego brat, Tobiasz Holofernes, był bardzo

ubogi i umarł przed nim. Habakuk więc wziął do siebie jego syna, a swego bratanka, Nahuma Samuela. To on właśnie jest oszustem. Nie mógł wprawdzie tych stu tysięcy posłać do Plauen, ale z resztą pieniędzy zabrał się gdzieś w świat. Tak przepadło drugie sto tysięcy talarów, które ja powinienem był dostać.

— On prawdopodobnie zabrał i moje pieniądze.

— Pewnie!

— Łajdak! Ojciec wyprowadził się z Plauen, bo bardzo pokłócił się z bratem na tle konkurencji. Nieprzyjaźń wzrastała mimo oddalenia, w końcu doszło do tego, że jeden nie chciał nic wiedzieć o drugim. Tymczasem umarł mój ojciec i niedługo potem jego brat w Plauen. Później synowie tego stryja napisali mi, że po stryju Habakuku odziedziczyli sto tysięcy talarów. Przyjechałem natychmiast do Plauen, aby się czegoś dowiedzieć. Wszystko było tam na wysokim poziomie. Obu braci stryjecznych nie nazywano inaczej jak spadkobiercami Timpego. Porzucili swój zawód i żyli jak książęta. Przyjęli mnie bardzo dobrze, zatrzymując u siebie na kilka tygodni. O dawnej wrogości nie wspomniano ani słowem, nie mogłem się jednak dowiedzieć niczego bliższego ani o stryju, Józefie Habakuku, ani o jego spuściźnie. Bracia stryjeczni dali mi skosztować swego bogactwa, ale o moim udziale nie było mowy. Zrobiłem więc krótko, tak jak pan. Sprzedałem interes, pojechałem do Ameryki i udałem się z Nowego Jorku prosto do Fayette.

— Ach, tak? I co pan tam znalazł?

— To co i pan, tylko że mnie w dodatku wyśmiano. Powiedziano mi, że tamtejsi Timpowie nigdy nie byli zamożni.

— Nonsens! Czy znał pan wtedy angielski?

— Nie.

— A więc wodzili pana za nos jako Niemca. I cóż pan zrobił?

— Pojechałem do St. Louis, gdzie podjąłem pracę u Mr Henry'ego, wynalazcy słynnego sztucera na dwadzieścia pięć strzałów. Starłem się skorzystać z jego nauk jak najwięcej. Tymczasem znalazłem się w mieście Napoleon nad Arkansas i Missisipi, w towarzystwie kilku myśliwych z prerii, którym mogłem się przydać jako rusznikarz. Westmani nie puścili mnie już od siebie i nakłonili, żebym udał się w Góry Skaliste. Tak zostałem westmanem.

— A czy jest pan zadowolony z tej zamiany?

— Tak. Oczywiście byłoby mi przyjemniej, gdybym mógł dostać swoje sto tysięcy talarów i mógł żyć w słodkim nieróbstwie jak spadkobiercy Timpego.

— Hm! To może jeszcze nastąpić.

— Trudno! Mnie także przyszło później na myśl, że stary Józef Habakuku był bardzo bogaty i że jego bratanek, Nahum Samuel, uciekł z pieniędzmi. Szukałem tego drugiego przez kilka lat, ale, jak już powiedziałem, na próżno.

— Ja także go szukałem, z tym samym skutkiem, ale tylko do niedawna, gdyż mam już jego ślad.

— Ślad...je...go...Jak..? Co...? Naprawdę? — zawołał Kasimir zrywając się z miejsca tak nagle, że wszyscy obecni zwrócili na to uwagę i skierowali ku niemu spojrzenia.

— Cicho, spokojnie! — upomniał Hasael. — Nie trzeba denerwować się tak prędko. Słyszałem z pewnego źródła, że niejaki Nahum Samuel Timpe, dawniej rusznikarz, stał się teraz bardzo bogaty i mieszka w Santa Fe.

— W Santa Fe? Musimy natychmiast tam jechać, pan i ja!

— Zgadzam się na to, bracie! Miałem właśnie zamiar odszukać go i zmusić do wydania całej kwoty wraz z procentami. Wiedziałem, że to będzie trudne zadanie, dlatego cieszę się, że pana spotkałem, gdyż we dwóch lepiej sobie poradzimy. Wystąpimy wobec niego w taki sposób, że ze strachu przyzna się do niecnego czynu i natychmiast wypłaci nam pieniądze. Jesteśmy westmanami i zagrozimy mu prawem prerii. Prawda?

— To jest oczywiste! — potwierdził Kasimir skwapliwie. Co za szczęście, że pana spotkałem! Pana? Czy to nie głupota, że jako bracia stryjeczni nazywamy siebie panami? My, tacy bliscy krewni i towarzysze niedoli?

— Mnie też się tak wydaje.

— A więc zawrzemy braterstwo i będziemy mówili do siebie „ty”. Dobrze?

— Zgoda. Oto moja ręka. Uderz w nią! Napełnimy szklanki na nowo i wypijmy za nasze zdrowie i pomyślność przedsięwzięcia. No, trąć się ze mną!

— Na zdrowie, bracie, albo raczej kochany Hasaelu!

— Na zdrowie! Ale dlaczego „Hasaelu”? Czy wiesz, że w Stanach ludzie jak najkrócej załatwiają się ze wszystkimi, a szczególnie osobliwymi imionami? Mówi się Jim, Tim, Ben i Bob, opuszczając resztę zgłosek, skoro jedna wystarczy. Mój ojciec mówił do mnie Has zamiast Hasael i przyzwyczailem się do tego. Ty nazywaj mnie tak samo!

— Has? Hm! W takim razie musiałbyś mnie nazywać Kas zamiast Kasimir.

— Owszem.

— Czy to nie brzmi zbyt głupio?

— Głupio? Nonsens! To brzmi ładnie, mówię ci, mnie się podoba, a jakie wrażenie to robi na innych, to mi obojętne. A więc jeszcze raz na zdrowie, kochany Kas!

— Na zdrowie, kochany Has! Na zdrowie Kasa i Hasa, najnowszych spadkobierców Timpego!

Tręcili się cicho, ale z zapalem, aby nie zwracać na siebie uwagi reszty pijących. Potem ciemnowłosy Has rzekł:

— A więc do Santa Fe! Ale nie tak łatwo tego dokonać, gdyż trzeba będzie daleko objeżdżać.

— Czemu? — zapytał jasnowłosy Kas.

— Bo jadąc tam najkrótszą drogą musielibyśmy przejeżdżać przez terytorium Komanczów.

— Nie słyszałem, żeby czerwonoskórzy wykopali teraz topór wojenny.

— Ja także nie, ale ci Indianie zachowują się zdradziecko nawet w czasie pokoju, a zawsze są wrogo usposobieni wobec białych twarzy. Spotkałem wczoraj pedlara<sup>[10]</sup>, który od nich wracał. Wiesz o tym, że ci Indianie nie czynią nic złego pedlarom, bo korzystają z ich usług. Powiedział mi, że wielki wódz, Tokwi Kawa<sup>[11]</sup>, oddalił się teraz z kilkoma najlepszymi wojownikami ze swego szczepu, nie mówiąc nikomu dokąd.

— Tokwi Kawa, Czarny Mustang, tropiciel i zabójca wielu strzelców? Z najlepszymi wojownikami? Nie mówiąc dokąd? Z tego istotnie można wnioskować, że znów myśli o jakimś okrucieństwie. Nie boję się żadnego czerwonoskórego, ale zawsze lepiej byłoby nie spotkać się z takim człowiekiem. Lepiej objechać dokoła i przybyć do Santa Fe o dzień później. Nasz Nahum Samuel nie ucieknie nam chyba drugi raz.

— A gdyby nawet uciekł, to mamy już ślad, a dzięki temu możemy go złapać, gdyż...

Wtem przerwano mu, bo wrócił inżynier i przyprowadził jeszcze dwóch mężczyzn. Kas i Has nie dosłyszeli w zapale rozmowy dwukrotnego świstu lokomotywy. Nadszedł roboczy pociąg, inżynier wyprawił go i wracał teraz w towarzystwie jednego z dozorców i zarządcy magazynu. Ukłonił się obydwóm westmanom, po czym wszyscy trzej usiedli obok Metysa przy stole przeznaczonym dla „urzędników i wyższych dżentelmenów”. Kazali sobie także podać grogu, po czym mieszaniec zapytał:

— No cóż, sir, gazety nadeszły?

— Nie — odrzekł Inżynier. — Nadejdą jutro, ale wiadomości otrzymałem.

— Dobrze?

— Niestety nie. Odtąd będziemy musieli się bardzo pilnować.

— Dlaczego?

— Niedaleko od stacji powrotnej widziano ślady Indian.

W tej chwili oczy mieszańca, schowane do połowy pod powiekami, gniewnie błysnęły. Zapytał jednak głosem zupełnie spokojnym:

— W tym nie ma jeszcze powodu do niezwykłej czujności!

— Ja myślę inaczej!

— Pshaw! Żadne plemię nie wykopało wojennego tomahawka, a gdyby nawet tak było, to z kilku śladów nie można spodziewać się nieprzyjaciół.

— Przyjaciele działają jawnie, a kto się kryje, ten nie ma dobrych zamiarów. Ja tak twierdzę, mimo że nie jestem scoutem<sup>[12]</sup> ani westmanem.

— Twierdzi pan tak właśnie dlatego, że nim nie jest. Doświadczony westman wiedziałby, że czerwonoskórzy przeszli obok stacji kolejowej, bo nie mieli czasu się pokazywać.

— Nie mieli czasu? Indianom nie brak czasu na włóczenie się za białymi. Zawsze liczą, że zrobią jakiś dobry interes. Jeśli się kryją, na pewno nie mają uczciwych zamiarów. Jesteś bystrym i znanym w tych stronach poszukiwaczem ścieżek, nająłem cię po to, abyś od jutra zaczął dokładnie badać nasze otoczenie.

Lekkie drgnienie przebiegło postać i twarz Metysa, jak gdyby chciał się poderwać z gniewem. Zapanował jednak nad sobą i powiedział spokojnie:

— Zrobię to, sir, chociaż wiem że to niepotrzebne. Ślady Indian oznaczają coś złego tylko w czasach wojennych. I jeszcze jedno: czerwonoskórzy są często lepsi i wierniejsi od białych.

— To zapatrywanie przynosi zaszczyt twojej powszechnej miłości do ludzi, ale mógłbym ci dowieść na wielu przykładach, że jesteś w błędzie.

— A ja potrafię dać jeszcze więcej dowodów na to, że mam słuszność. Czy był kiedykolwiek ktoś tak wiernym przyjacielem jak Winnetou dla Old Shatterhanda?

— Winnetou jest wyjątkiem. Znasz go?

— Nie widziałem go jeszcze.

— A Old Shatterhanda?

— Też nie, ale słyszałem o ich czynach.

— To pewnie słyszałeś także o Tangui, wodzu Kiowów?

— Tak.

— Cóż to był za zdrajca! Jeszcze wtedy, kiedy Old Shatterhand był surveyorem<sup>[13]</sup> narzucił mu się na opiekuna, a mimo to nieustannie czyhał na jego życie. I byłby go pewnie zabił, gdyby ten słynny biały nie był takim mądrym i rozważnym, a zarazem mężnym i silnym człowiekiem. Gdzie tu wierność, o której mówisz? A co do tego, że ślady Indian tylko podczas wojny oznaczają niebezpieczeństwo, to czy Siuksowie Ogallalla nie napadali na pociągi w czasie pokoju? Czy nie zabijali mężczyzn i nie porywali kobiet? Spotkała ich za to kara nie od wielkich gromad strzelców i wojska, ale od dwóch ludzi, od Winnetou i Old Shatterhanda, którym nikt nie dorówna. Gdyby oni znajdowali się tutaj, byłbym spokojny, nawet gdybym zobaczył sto śladów indiańskich.

— Pshaw! Przesadza pan! Ci ludzie mieli szczęście. Znalezliby się inni tacy sami jak oni, a nawet lepsi.

— Gdzie?

Metys spojrzał mu wyzywająco w oczy i odrzekł:

— Niech pan nie pyta, ale zastanowi się i uważnie popatrzy!

— Czy masz może na myśli siebie?

— A kogóż?

Inżynier chciał mu właśnie odpowiedzieć karcąco, ale mu przeszkodzono. Oto Kas zbliżył się dwoma krokami na swych długich nogach, stanął przed Metysem i rzekł:

— Jesteś największą baranią głową na świecie, mój synu!

Mieszaniec wstał w tej chwili i wyrwał zza pasa nóż, ale jeszcze prędzej Kas odwiódł kurek swojego rewolweru, wyciągnął broń przed siebie i upomniał:

— Bez pośpiechu, my boy<sup>[14]</sup>! Istnieją podobno ludzie, którzy nie potrafią znieść kuli w swojej głupiej głowie ani tego przeżyć, a ja przypuszczam, zdaje się słusznie, że ty właśnie do takich należysz.

Wymierzona ku Metysowi lufa rewolweru nie pozwoliła mu użyć broni, bo kula jest zawsze szybsza od najlepszej klingi. Wściekły z tego powodu syknął do przybysza:

— Nie znam pana. Jakim prawem wtrąca się pan do naszej rozmowy?

— Z własnej woli, mój chłopcze, z własnej. Gdy sobie lub komukolwiek na coś pozwalam, chciałbym zobaczyć takiego, który usiłowałby mi w tym przeszkodzić!

— Jest pan gburem!

— Well. Przyjmuję tę odpowiedź, gdyż widzę, że zaczynam ci się podobać. Staraj się, abyś i ty spodobał mi się trochę, gdyż będzie z tobą tak, jak u spadkobierców Timpego!

— Spadkobierców Timpego? Kim pan właściwie jest?

— Kimś, kto nie ścierpi, by uchybiano Winnetou lub Old Shatterhandowi. Więcej nie musisz wiedzieć. Bywaj zdrow, my boy, i schowaj swoje szydełko, żebyś przypadkiem nie ukłuł siebie samego.

Kas wrócił do swego stołu i usiadł wygodnie. Metys śledził jego ruchy płonącymi oczami, gotował się prawie do skoku za wyrządzoną obelgę. Najchętniej rzuciłby w niego nożem, ale pohamował się w porę. W postawie tego wysokiego, chudego człowieka było coś, co krępowało mu ruchy. Schował nóż, zajął miejsce przy towarzyszach i mruknął na swoje usprawiedliwienie:

— To jakiś błazen, niezdolny obrazić rozsądnego człowieka. Niech sobie paple!

— Paple? — odrzekł inżynier. — Przeciwnie, mnie się zdaje, że to niebezpieczny człowiek. Cieszy mnie to, że się ujął za Old Shatterhandem i Winnetou, ponieważ ich czyny i zdarzenia z ich życia są moim najulubieńszym tematem rozmowy. Dowiem się, czy rzeczywiście ich zna.

I odwróciwszy się do drugiego stołu zapytał:

— Przedstawiacie się jako westmani, panowie. Czy zetknęliście się kiedyś z Old Shatterhandem lub Winnetou?

— Ile razy! — odrzekł Kas, a jego małe oczka zaiskrzyły się z zadowolenia. — Widziałem obydwoh.

— Przez dłuższy czas byliście razem?

— Jeździłem z nimi przez dwa tygodnie.

— Co? Ty? — zawołał zdumiony Has. — Ty przebywałeś w towarzystwie dwóch największych westmanów i nie wspomniałeś mi jeszcze o tym?

— A kiedy miałem powiedzieć? Nie było jeszcze czasu porozmawiać o tym, co przeżyliśmy.

— O, znacie się dopiero od niedawna? — zapytał inżynier.

— Zobaczyliśmy się po raz pierwszy dziś po południu — odrzekł Kas.

— Czy mieliście jakieś przygody z Old Shatterhandem i Winnetou?

— To szczególne pytanie, sir. Kto tylko jest z tymi ludźmi, to zawsze coś przeżywa, a



często w jednym dniu zdarza się więcej niż kiedy indziej przez miesiąc czy rok!

— Do pioruna! Czy nie możecie się przysiąc do nas, żeby to opowiedzieć?

— Nie.

— Nie? Czemu?

— Bo brak mi talentu do opowiadania, a do tego trzeba właśnie wrodzonej zdolności.

Próbowałem już nieraz, ale mi się nie udawało. Zaczynam zazwyczaj od środka lub od końca i utykam w połowie. Wspomnę tylko krótko, że było nas wtedy ośmiu białych i że dostaliśmy się do niewoli Upsaroków, którzy przeznaczyli nas na pal. Old Shatterhand i Winnetou, dowiedziawszy się o tym, odszukali nasz ślad, poszli za nim, zakradli się do Upsaroków i sami zabrali nas w nocy. Było to arcydzieło, jakiego nie dokonałby najsławniejszy człowiek, nawet wasz halfbreed<sup>[15]</sup> który siedzi obok was i przedtem tak bardzo się chwalił.

Metys chciał znowu wybuchnąć, ale inżynier uprzedził go pytaniem zwróconym szybko do Kasa:

— Czy nie wie pan, gdzie oni teraz są?

— Nie mam pojęcia. Mówiono, że Old Shatterhand wyjechał do jednego ze starożytnych krajów, do Egiptu czy Persji, ale tu powróci.

— Jakże chciałbym ich kiedyś zobaczyć! Czy wyglądają naprawdę tak, jak ich opisują? Czy Old Shatterhand rzeczywiście ma taką siłę w pięści? Powiedziano mi, że mimo to ma ręce małe jak kobieta.

— To prawda. Mimo to potrafi jednym uderzeniem grzmotnąć najcięższym człowiekiem o ziemię. Nie jest specjalnie wysoki ani barczysty, ale jego mięśnie są jak żelazo, a ścięgna jak stal. Taki sam jest Winnetou.

— Czy są dumni?

— Ależ skąd! Są skromni, a przy tym sympatyczni i serdeczni dla wszystkich ludzi bez względu na kolor skóry. Nawet największe niebezpieczeństwo nie jest w stanie wyprowadzić ich z równowagi, a warto ich widzieć, gdy coś się komuś od nich należy! Te oczy, te kroki i gesty, to siedzenie w siodle, to zimne obliczanie każdej korzyści, to zawsze niezawodne przewidywanie wszystkich, ale to wszystkich skutków tego, co robią! Nie było jeszcze czerwonego ani białego człowieka, któremu udałoby się oszukać ich na dłużej niż na chwilę!

— Opisuje ich pan rzeczywiście jak półbogów. Dałbym nie wiem co za to, żeby ich zobaczyć. Może nawet spotkałem już kiedyś któregoś z nich nic o tym nie wiedząc.

— To niemożliwe, sir. Kto ich zna, ten wie, że gdyby tu wszedł teraz jeden z nich, całkiem dla was obcy, przeczulibyście natychmiast, że to Old Shatterhand albo Winnetou.

— A ich broń? Czy naprawdę jest taka znakomita, jak mówią?

— Tak myślę, sir! Ze srebrnej strzelby Winnetou nie chybił jeszcze ani razu. Coś podobnego nigdzie się nie zdarza. Ruzznica Old Shatterhanda jest ryczącym lwem, któremu zdobycz nie ujdzie choćby uciekała najszybciej jak umie. A jego sztucer Henry'ego! Byłem rusznikarzem i znam się na tym. Henry zrobił tylko dziesięć czy dwanaście takich sztucerów, ale kto je ma i gdzie one są? Znany jest tylko ten, który ma Old Shatterhand. Ten sztucer, pierwotnie martwe arcydzieło, stał się w jego rękę żywym stworzeniem, nauczył się myśleć, obliczać i słuchać. Old Shatterhand zakłada, że dosięgnie celu z każdej cudzej strzelby po trzech próbnych strzałach, ale gdy ma swój sztucer, wygra każdy konkurs. On czuje, jak kula wbija się w cel już wtedy, kiedy ma ją jeszcze w kieszeni. On i sztucer to jedna dusza, jedna myśl i jedna wola. Pojmujecie to?

— Nie.

— Bo nie jesteście myśliwym, namiętym strzelcem. Te trzy strzelby mają nieocenioną wartość. Trudno też orzec, której z nich należałoby się pierwszeństwo, ale ja wybrałbym sztucer Henry'ego. Jestem pewien, że jego właściciel, gdyby mu dawano dziesięć, dwanaście, a nawet więcej tysięcy dolarów, odszedłby z uśmiechem. Przed jego śmiercią nikt nie dostanie tej strzelby, nikomu nawet nie będzie wolno jej zbadać, gdyż w innym rękę utraciłaby całą swoją wartość i byłaby zwykłą, martwą bronią bez duszy i posłuszeństwa. Popełniono by na niej morderstwo.

— Do licha! Robi się pan poetyczny! Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś tak mówił o broni. A jednak twierdził pan, że nie umie opowiadać!

— Bo tak jest. Jak już zauważyłem, trudniłem się dawniej rusznikarstwem, a teraz myślistwem. Jestem zdania, że każda strzelba posiada, pozwólcie, że się tak wyrażę, posiada duszę, którą strzelec powinien zbadać, zrozumieć i pokochać. Wtedy oboje mają jedną wolę. Kto nie jest fachowcem i nie złościł się nigdy na nic warte pukawki, ten tego nie zrozumie i śmieje się z tego. Jeżeli wy także chcecie się śmiać, to się śmiejcie. Nie mam nic przeciwko temu.

— Ani myślę! Pana pogląd jest wprawdzie bardzo niezwykły, ale mi się podoba, tak jak wy mi się podobacie.

— Tak, podobam się wam, sir? Well, to zróbcie mi tę grzeczność i powiedzcie, gdzie

możemy zaprowadzić konie. Chciałbym je umieścić pod dachem, bo wspomnieliście dopiero co o śladach Indian.

— Czy pana także niepokoją te ślady?

— Naturalnie. Ten mądry mieszaniec może sobie myśleć co chce, ale ja wiem, co o tym sądzić.

— W każdym razie polecam wam naszą budę z narzędziami, bo jest zaopatrzona w mocny zamek. Zarządca wskaże ją wam i postara się o paszę dla koni.

Wymieniony wstał z gotowością, a Kas i Has wyszli za nim do koni.

Biali robotnicy kolejowi przysłuchiwali się uważnie, gdyż treść rozmowy zajmowała ich tak samo, jak ich przełożonego, który teraz skorzystał z nieobecności obydwóch myśliwych, aby wytknąć Metysowi jego postępek. Skarcony przyjął to z pozornym spokojem, chociaż w duchu na pewno się wściekał. Tak minął jakiś czas, aż nagle za drzwiami rozległ się odgłos kopyt końskich.

— A to co? — zapytał zdziwiony inżynier. — Prowadzą konie z powrotem, a przecież w budzie jest dość miejsca!

Spojrzał ku wejściu i zobaczył nie te trzy osoby, które odeszły, ale dwóch mężczyzn. Jeden był białym, drugi Indianinem.

Pierwszy był dość wysoki i barczysty. Pełna, jasna broda okalała mu ogorzałą twarz. Jego ubranie składało się ze spodni z frędzlami w szwach, bluzy myśliwskiej, która również w szwach miała frędzle, długich butów aż po kolana i kapelusza z szerokimi kresami, ozdobionego dokoła sznurem z końcami uszu niedźwiedzi. Za szerokim pasem wplecionym z jednego rzemienia tkwił długi nóż Bowie<sup>[16]</sup> i rewolwery. Osobno zwieszał się pas z nabojami. Kilka woreczków, zapewne z różnymi, potrzebnymi westmanowi drobiazgami, wisiało u pasa. Od lewego ramienia do prawego biodra przechodziło łańcuszek<sup>[17]</sup> zwinięte z wielu rzemieni, a na szyi wisiała na jedwabnym sznurku fajka pokoju ozdobiona podgardlami kolibrów. Na główce fajki było widać wyryte indiańskie znaki. Szeroki rzemień trzymał na plecach tego męża dość długą i ciężką dwururkę, a w jego lewej ręce spoczywała lżejsza jednorurka z jakimś niezwykłym zamkiem. Było to widoczne, choć znajdowała się w skórzanym futerale.

Indianin ubrany był zupełnie tak samo jak biały, tylko zamiast butów z cholewami miał na nogach lekkie mokasyny ozdobione kolcami jeża morskiego. Na głowie nie miał żadnego nakrycia, rolę tę spełniały granatowoczarne włosy związane w węzeł podobny do hełmu i

poprzeplatany skórą grzechotnika. Na szyi wisiał woreczek z lekami<sup>[18]</sup>, bardzo cenna fajka pokoju i trzy sznurki pazurów niedźwiedzia, jako wspaniały dowód swego męstwa, gdyż Indianinowi nie wolno pokazywać nie zdobytych przez siebie trofeów. Nie miał na sobie lassa, pasa z rewolwerami, nożem i skórzanymi workami. W prawej ręce trzymał dwururkę, której drewniane części były obite gęsto srebrnymi gwoździami. Rysy jego poważnej, pięknej, męskiej twarzy można było nazwać niemal rzymskimi. Mimo aksamitnej czerni oczu promieniował z nich teraz spokojny, ciepły blask, kości policzkowe wystawały prawie niedostrzegalnie, a barwa skóry była matowo jasnobrunatna z lekkim odcieniem brązu.

Obaj przybysze weszli spokojniej i skromniej niż niejeden z robotników obozu. Nie mieli też zamiaru wywoływać zamieszania ani poruszenia swoim zjawieniem się, a jednak ich wejście podziało tak, jak ukazanie się udzielnych książąt między poddanymi. Zamilkła szalona paplanina Chińczyków, biali robotnicy w małej izbie mimowolnie powstali, inżynier, dozorca i mieszańiec zrobili to samo, a shopman usiłował się ukłonić, co wyszło mu bardzo niezgrabnie.

Zdawało się, że dwaj przybysze nie zauważyli wrażenia jakie wywołali. Indianin pozdrowił obecnych lekkim, ale bynajmniej nie dumnym, skinieniem głowy, a biały rzekł przyjaznym tonem:

— Good evening, panowie!

Potem zwracając się do gospodarza rzekł:

— Czy macie jakiś dobry środek przeciwko głodowi i pragnieniu, sir?

— Readily, with pleasure<sup>[19]</sup>, sir! — odpowiedział. — Najpierw „welcome!”<sup>[20]</sup>, dżentelmeni! Wszystko jest na wasze usługi. Usiądźcie tutaj, przy ogniu, panowie! Wprawdzie to miejsce zajęli już dwaj westmani którzy na razie wyszli, ale jeśli przeszkadzałoby to wam, to ustąpią wam miejsca.

— Tego bynajmniej nie chcemy. Oni byli tutaj przed nami, a więc mają tu większe prawo. Gdy powrócą, zapytamy ich, czy zgodzą się na nasze towarzystwo. Dajcie nam najpierw ciepłego piwa z imbirem, a potem coś do jedzenia!

Po zostawionych strzelbach poznali, gdzie siedzieli Kas i Has i umieścili się po przeciwnej stronie stołu.

— Wspaniali! — szepnął inżynier do swoich dwóch sąsiadów. — Czerwonoskóry spoziera jak król, a biały podobnie.

— A strzelba Indianina? — odrzekł tak samo cicho dozorca. — Tyle srebrnych gwoździ!

Czyżby to...

— Thunder storm<sup>[21]</sup>! Srebrna strzelba! Winnetou! Przypatrzcie się ciężkiej dwururce białego! Czy to nie sławna rusznica na niedźwiedzie? A ta mała, lekka strzelba! Może to sztucer Henry'ego?

— W takim razie to byłby Old Shatterhand!

— Old Shatterhand i Winnetou! Moje życzenie, moje serdeczne życzenie się spełnia!

Nagle za drzwiami dał się słyszeć głos Kasimira:

— All devils<sup>[22]</sup>! Co to za konie? Kto przyjechał?

— Nie wiem — zabrzmiał głos zarządcy wracającego z obydwoma braćmi stryjecznymi z budy.

— Dwa kare ogiery z czerwonymi chrapami i z pękiem na grzywach, co świadczy, że są pełnej krwi! Znam je, znam je oraz jeźdźców, do których należą. Osiodłane po indiańsku! To się pięknie składa! Co za radość! Całkiem jak u spadkobierców Timpego! Chodźcie do środka, prędzej do środka! Zobaczycie dwóch największych mężów Zachodu!

Wszedł do wnętrza wielkimi krokami, które zasługiwały raczej na miano skoków, a Has i zarządca podążyli za nim. Twarz promieniała mu radosnym podnieceniem. Ujrawszy Apacza i jego białego przyjaciela rzucił się po prostu ku nim, wyciągnął do nich obie ręce na powitanie i zawołał:

— Tak, to oni, to oni! Nie pomyliłem się! Co to za radość dla mnie, co za radość! Podajcie ręce, panowie, niech je uścisknę i ...

Utknął w połowie zdania, opuścił ręce, cofnął się o krok i mówił dalej ciszej i tonem usprawiedliwienia:

— Proszę o przebaczenie, Mr Shatterhand i Mr Winnetou. Radość mnie oszołomiła. Do takich ludzi jak wy nie krzyczy się w ten sposób, ale czeka się spokojnie, dopóki oni nie raczą zauważyć mówiącego.

Na to Old Shatterhand wyciągnął do niego swoją prawicę i rzekł z przyjacielskim uśmiechem:

— Nie mamy co raczyć, Mr Timpe. Tu na Zachodzie wszyscy uczciwi ludzie są sobie równi. Oto moja ręka. Jeśli chcecie ją uściskać, zróbcie to.

Kas pochwycił rękę Old Shatterhanda, potrząsnął nią z całej siły i zawołał z zachwytem:

— Mr Timpe, nazywacie mnie Mr Timpe? Więc jeszcze mnie znacie? Nie zapomnieliście

o mnie, sir?

— Nie zapomina się tak łatwo o człowieku, z którym się przeżyło tyle, ile wtedy my dwaj z wami i towarzyszymi.

— Tak, tkwiliśmy wtedy w strasznie gęstym błocie. Mieli nas zdmuchnąć na zawsze, a wy nas wyciągnęliście. Nie zapomnę wam tego nigdy, nigdy! Wierzcie mi! Przed chwilą dopiero mówiliśmy o tej przygodzie. Czy Winnetou, wielki wódz Apaczów, pozwoli, że jego także powitam?

Zapytany podał mu rękę i rzekł swym poważnym, a zarazem łagodnym głosem:

— Winnetou pozdrawia swego białego brata i prosi go, aby usiadł tu z nami.

Zdumiony inżynier podszedł bliżej, ukłonił się bardzo grzecznie i rzekł:

— Wybaczcie mi moją śmiałość, panowie. Nie będziecie tu nadal siedzieć, bo ja zapraszam was do mojego stołu przeznaczonego dla urzędników i wybitnych osobistości.

— Urzędników i wybitnych osobistości? — odrzekł Old Shatterhand. — Nie jesteśmy ani urzędnikami, ani nie sądzimy, że jesteśmy wyjątkowymi ludźmi. Słyszeliście właśnie, że tu, na Zachodzie, wszyscy są sobie równi. Dziękujemy za uprzejmość, ale wolelibyśmy jednak tu zostać.

— Wobec tego nie nalegam, sir. Bardzo pragnęliśmy dostąpić tego zaszczytu i wypić coś dobrego i porozmawiać z tak sławnymi westmanami.

— Od rozmowy się nie usuwamy. Przypuszczam, że jest pan urzędnikiem tej linii kolejowej.

— Jestem inżynierem, a to mój dozorca i zarządca, tam siedzi scout wynajęty po to, aby strzegł naszego bezpieczeństwa.

Wskazał przy tym ręką po kolei na wymienione osoby. Old Shatterhand rzucił bardzo krótkie, ale bystre spojrzenie na mieszańca i zapytał:

— Scout dla bezpieczeństwa? Jak on się nazywa?

— Yato Inda. Ma indiańskie imię, ponieważ pochodzi od czerwonoskórej matki.

Biały myśliwy zmierzył Metysa długim, ostrym spojrzeniem i odwrócił się potem z cichym „hm” na ustach, tak że usłyszał to tylko Apacz. Co sobie przy tym pomyślał, tego nie można było wyczytać z jego twarzy. Winnetou jednak z jakiegoś ważnego powodu nie zachowywał się tak milcząco i zwrócił się wprost do scouta:

— Mój brat pozwoli, że go zagadnę! Każdy powinien tu być ostrożny, a jeżeli do

bezpieczeństwa obozu potrzeba scouta, to są tu zapewne jacyś wrogowie zagrażający obozowi. Co to za ludzie?

Metys odrzekł wprawdzie grzecznie, ale nie tak, jak należało wobec tak sławnego człowieka:

— Zdaje mi się, że Komanczom nie można zaufać.

Winnetou zrobił ruch głową ku mówiącemu, jak gdyby chciał każde jego słowo dobrze usłyszeć i rozważyć z osobna. Już po otrzymaniu odpowiedzi zaczął jeszcze kilka sekund, jak gdyby sam sobie się przysłuchiwał, a potem rzekł:

— Czy mój brat znalazł powód do takiego podejrzenia?

— Właściwego, rzeczywistego powodu nie widzę, to tylko przypuszczenia.

— Mój brat nazywa się Yato Inda. Wyraz „yato” pochodzi z języka Nawajów i oznacza „dobry”. „Inda” odpowiada słowu „mąż” i należy do języka Apaczów. Nawajowie także są Apaczami, wnioskuję więc z tego, że czerwona matka mojego półbarwnego brata pochodziła ze szczepu Apaczów.

Mieszkańcowi widocznie nie spodobało się to pytanie, bo usiłował nie dać na nie odpowiedzi mówiąc wykrętnie:

— Nie słyszałem jeszcze o tym, żeby wielki Winnetou był ciekawy. Dlaczego dzisiaj zajmuje się tak bardzo nieznaną indiańską kobietą?

— Bo jest twoją matką — zabrzmiało pewnie i ostro z ust Winnetou. — Ponieważ zaś znajduję się tutaj, to chcę wiedzieć, jaki to człowiek dba o bezpieczeństwo tego miejsca. Do jakiego szczepu należała twoja matka?

Wobec tego tonu i blasku wielkich, szeroko otwartych oczu Winnetou scout nie mógł milczeć i odrzekł:

— Do plemienia Apaczów Pinal.

— I od niej nauczyłeś się mówić?

— Oczywiście.

— Ja znam wszystkie języki i narzecza Apaczów. Oni wymawiają wiele dźwięków równocześnie językiem i gardłem, tymczasem ty używasz do tego tylko języka, jak to robią Komancze.

Na to Metys wybuchnął:

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem synem kobiety ze szczepu Komanczów?

— A gdybym tak twierdził?

— Twierdzenie to jeszcze nie dowód, a gdyby nawet moja matka pochodziła z tego szczepu, to nie wynikałoby z tego, że jestem stronnikiem Komanczów.

— Pewnie że nie, ale ty znasz Tokwi Kawę, Czarnego Mustanga, najgroźniejszego wodza Komanczów.

— Słyszałem o nim.

— Ten wódz miał córkę, która została żoną bladej twarzy. Oboje zmarli i osierocili chłopca mieszańca, którego potem wychował Czarny Mustang w największej nienawiści do białych. Jeden z towarzyszy zabawy zranił tego chłopca nożem w prawe ucho. Jak to wytłumaczysz, że mówisz jak Komancz i masz bliznę na prawym uchu?

Zaskoczony scout podskoczył i gniewnie krzyknął:

— To cięcie zawdzięczam właśnie wrogości Komanczów, z którymi musiałem walczyć. Jeśli wątpisz w to, wyzywam cię do walki.

— Pshaw!

To jedno tylko słowo wyrzekł Winnetou tonem nadzwyczaj lekceważącym. Potem zaś odwrócił się i wziął do rąk przyniesioną właśnie przez gospodarza szklankę piwa z imbirem. Jak to się zwykle dzieje po takich niemiłych scenach, zapadła teraz głęboka cisza zanim przy obydwóch stołach wszczęto na nowo rozmowy. Inżynier zapytał uprzejmie, czy Old Shatterhand i Winnetou zamierzają przenocować w obozie, a gdy otrzymał potakującą odpowiedź, ofiarował im swoje mieszkanie popierając ten dowód gościnności następującą uwagą:

— Dwaj dżentelmeni, którzy przyjechali przed wami znajdą nocleg u barmana, a u niego nie ma więcej miejsca. W tej wilgoci nie będziecie spali na dworze, a tutaj, w szopie, obok chrapiących i brudnych Chińczyków, także byłoby niewygodnie i nieprzyjemnie. Zamówiliśmy sobie Chińczyków nie mogąc dostać białych robotników a poza tym są tańsi i łatwiej ich utrzymać w rygorze niż tę zgraję, na którą zwykle jesteśmy skazani. Czy przyjmujecie moje zaproszenie?

Old Shatterhand zapytał Winnetou wzrokiem, a widząc, że ten skinął mu lekko głową, odpowiedział:

— Skorzystamy z niego, ale chcielibyśmy, żeby nasze konie znalazły tutaj dobre i bezpieczne schronienie.

— Znajdą je z pewnością. Pomieściliśmy już także konie tamtych dwóch dżentelmenów.



Może zechcecie zobaczyć moje mieszkanie?

— Owszem, pokażcie je. Zawsze dobrze jest znać miejsce, w którym się ma przenocować.

Winnetou i Old Shatterhand zabrali broń i poszli za inżynierem do położonego opodal niskiego budynku zbudowanego z kamieni. Dom ten postawiono z myślą o mieszkaniu dla przyszłej straży mostowej. Urzędnik otworzył drzwi i wchodząc zapalił świecę. Był tam kominek, stół, kilka krzesel, sporo narzędzi i naczyń, a w kącie stało szerokie łoże. Obydwaj goście wyrazili swoje zadowolenie i chcieli wyjść, aby także konie zaprowadzić pod dach, ale inżynier zauważył:

— Może zostawicie tutaj swoje rzeczy. Po co nosić ze sobą koce i strzelby?

Należało mu przyznać słuszość. Mury były grube, a okienka tak małe, że nikt nie mógłby się przez nie przedostać, drzwi zaś, zbudowane z mocnego drzewa, były opatrzone dobrym zamkiem, wobec czego zostawione tam przedmioty znajdowały się w bezpiecznym przechowaniu. Old Shatterhand i Winnetou złożyli swoje rzeczy, a potem zaprowadzili rumaki do szopy, gdzie stały już konie dwóch Timpów. Koniom dano wody i paszy, a potem Old Shatterhand zapytał, czy na wszelki wypadek nie mógłby ich pilnować któryś z robotników, były to bowiem konie wielkiej wartości, a ich strata byłaby niepowetowana. Inżynier obiecał postarać się o dozorcę, a wracając ze swymi gośćmi do gospody oświadczył, że zaprasza ich także na kolację.

— Będę — rzekł — dzisiaj wieszczę z wami, nie z moimi ludźmi, zwłaszcza że jeden z nich, to znaczy scout, nie spodobał się wam. Niech mi pan powie, panie Winnetou, czy skłania was coś do nieufności względem niego?

— Winnetou nie czyni ani nie twierdzi niczego bez powodu — odrzekł wódz.

— Ależ on był zawsze wierny i godny zaufania!

— Winnetou nie wierzy w te jego zalety. Mój brat przekona się, jak długo to potrwa. Nazywa siebie Yato Inda, Dobrym Człowiekiem, ale jego prawdziwe imię zapewne brzmi Ik Senanda, co w języku Komanczów oznacza Złego Węża.

— Czy istnieje Komancz o takim imieniu?

— Tak się nazywa mieszaniec, o którym Winnetou mówił poprzednio, wnuk Czarnego Mustanga.

— Podziwiam waszą bystrość i wasz sąd, Mr Winnetou, ale tym razem chyba pan się

myli. Scout złożył mi tyle dowodów wierności, że muszę mu ufać.

— Mój biały brat może czynić co mu się podoba, ale gdy Winnetou i Old Shatterhand będą potem coś mówili w obecności scouta, to wszystko będzie udane! Howgh!

Tymi słowami zaznaczył, że nie chciałby już więcej mówić ani słyszeć o tym człowieku. Przybywszy do gospody inżynier zamówił dobrą wieczerzę na pięć osób, ponieważ obu Timpów także uważał za swoich gości, i przysiadł się do ich stołu. Old Shatterhand zapytał jasnowłosego Kasa co go sprowadziło w te strony i dokąd zamierza stąd pojechać. Zapytany opowiedział w krótkich słowach historię swego dziedzictwa oraz szczególne okoliczności, w jakich spotkał się ze swoim stryjecznym bratem i zarazem współdziedzicem.

— Musimy pojechać do Santa Fe — ciągnął — nie możemy jednak wybrać najkrótszej drogi.

— Czemu?

— Z powodu Komanczów. Zwrócimy się stąd na wschód i skęcimy potem na południe.

— Hm! A znacie drogę?

— Nie, ale westman wszędzie powinien trafić. Może udzielicie nam łaskawie swojej rady?

— Owszem. Wiecie, co wam poradzę?

— No?

— Zabierzcie nas ze sobą!

— All devils! My mielibyśmy wziąć was ze sobą, pana i Winnetou?

— Tak.

— Pan chyba żartuje!

— Nie wiem, dlaczego miałbym nasze towarzystwo ofiarować wam na żarty.

— Czy wypada wam ta sama droga?

— Właśnie. Zmierzamy także do Santa Fe, chociaż nie z powodu dziedzictwa.

Na to Kas klasnął w ręce zawołał z wielkim zachwytem:

— Ale wspaniale, Has! Has, słyszysz? Możemy jechać z Old Shatterhandem i z Winnetou! Dobrze, teraz pal licho całą hałastrę Komanczów. Nie musimy okrażać ich terytorium, pojedziemy przez sam środek, a potem w Santa Fe sprawę wygramy. Niech no ten Nahum Samuel Timpe nie próbuje nas oszukać albo nam umknąć! Mamy ze sobą mężów, których popamięta!

— Nie krzycie tak! — rzekł z uśmiechem Old Shatterhand. — Nie ma jeszcze żadnego powodu do zbytniej radości. My także nie myślimy jechać przez środek obszaru Komanczów, ale tak jak wy skręcić na wschód. Zgadzacie się więc na wspólną jazdę?

— Oczywiście! Czy mogło nas spotkać coś lepszego i korzystniejszego niż to, że będziemy mogli jechać z wami? Jak sądzicie, kiedy możemy stąd wyruszyć, sir?

— Gdy się tylko wyśpimy. Dojedziemy wieczorem do Alder Spring<sup>[23]</sup>, gdzie zatrzymamy się do rana.

Na tę nazwę Old Shatterhand położył szczególny nacisk, spostrzegł bowiem podczas rozmowy, że mieszaniec z nadzwyczajną uwagą przysłuchiwał się rozmawiającym, pomimo że próbował sprawiać wrażenie, że go to wcale nie interesuje. Nie był on też jedynym zajmującym się tak uważnie, a skrycie, dwoma sławnymi przyjaciółmi.

Tuż pod ścianą dzielącą wielką, zajętą przez Chińczyków izbę do małej, siedzieli jeszcze przed wejściem obu Timpów dwaj „Synowie Niebios”<sup>[24]</sup>, których jednym zajęciem było na pozór picie i palenie tytoniu. Byli oni zapewne starszymi robotnikami lub piastowali jakąś godność, gdyż żaden z ziomków nie ważył się do nich przysiąść. Mogli oni słyszeć i zrozumieć wszystko, co mówiono obok, gdyż żaden z ziomków nie ważył się do nich przysiąść. Mogli oni słyszeć i zrozumieć wszystko, co mówiono obok, gdyż przebywając w Stanach Zjednoczonych już od kilku lat zapoznali się z językiem angielskim w San Francisco.

Na wejście Hasa i Kasa nie zwrócili większej uwagi niż inni obecni. Kiedy jednak wspomniano w wielkiej izbie o strzelbach Old Shatterhanda i Winnetou, zaczęli gorliwie nadśłuchiwać. Potem niespodzianie weszli obaj właściciele strzelb i Chińczycy zaczęli im się przypatrywać z ciekawością, a w końcu nie mogli oderwać oczu od ich strzelb. Gdy w jakiś czas potem goście inżyniera powrócili bez strzelb, spokój Chińczyków gdzieś przepadł. Ich cienkie brwi podniosły się i opadały, usta im drżały, a palce zginały się kurczowo, przy czym obaj kręcili się na swoich miejscach, poruszani tym samym uczuciem, tą samą myślą, której jednak żaden z nich nie chciał wypowiedzieć pierwszy. Wreszcie jeden nie mógł dłużej wytrzymać i zapytał cicho:

— Słyszałeś wszystko?

— Tak — odrzekł drugi.

— I widziałeś?

— Widziałem!

— A strzelby?

— Także!

— Prawda, jakie kosztowne?

— Warte dużo, dużo tysięcy dolarów!

— Gdybyśmy je mogli dostać!

— Jakże musimy pracować, męczyć się teraz, aby nasze kości mogły spocząć w ojczyźnie obok naszych przodków!

Nastąpiła przerwa. Chińczycy namyślali się przez jakiś czas. Po chwili jeden pociągnął sporo dymu z fajki i mrugając chytrze skośnymi oczami zapytał:

— Czy domyślasz się, gdzie leżą strzelby?

— No, gdzie?

— W domu inżyniera. Gdybyśmy je stamtąd jakoś wydostali, moglibyśmy je zakopać, a wtedy nikt nie wiedziałby kto je zabrał.

— A potem sprzedalibyśmy je we Frisco<sup>[25]</sup> za wielkie pieniądze i bylibyśmy wtedy bogatymi, bardzo bogatymi panami. Potem wrócilibyśmy do Państwa Środka<sup>[26]</sup>, jedlibyśmy codziennie jaskółcze gniazda.

— To by się dało zrobić, gdybyśmy tylko chcieli!

Po nowej przerwie w rozmowie, podczas której porozumiewali się wyłącznie minami i spojrzeniami, pierwszy z nich zauważył:

— Dom inżyniera jest z kamienia, a przez okno nie można się do niego dostać! Drzwi są za mocne i mają solidny, żelazny zamek!

— Ale dach! To przecież gonty.

— Wiem o tym. Można by się tam wdrapać po drabinie, zrobić otwór i wejść do środka.

— Drabin jest tu pod dostatkim!

— Tak, ale gdzie zakopalibyśmy te strzelby? W ziemi popsułyby się z pewnością.

— Trzeba by je dobrze owinąć. W szopie, w której śpimy, jest sporo plecionek z łyka.

Chińczycy rozmawiali dotychczas szeptem, a teraz przysunęli się do siebie jeszcze bliżej i zaczęli do siebie mówić już prawie niedosłyszalnie. Potem opuścili gospodę nie razem, ale w odstępie kilku minut. Właśnie w chwili, gdy zniknął drugi z nich, wszedł nowy przybysz. Był to Indianin ubrany w niebieską koszulę, skórzane spodnie i takie mokasyny. Uzbrojony był tylko w nóż, który tkwił za pasem. Włosy spadały mu na plecy jak kobiecie, a na szyi wisiał na rzemieniu

dość duży woreczek z lekami.

Stanął w drzwiach, aby przyzwyczać oczy do światła, przebiegł wzrokiem większą izbę i poszedł wolno do mniejszej. Czerwonoskóry nie był tu oczywiście zbyt rzadkim zjawiskiem, dlatego Chińczycy nie zwrócili na niego specjalnej uwagi. W mniejszej izbie, zajętej przez białych, również jego osoba nie wywołała żadnego wrażenia. Ten i ów spojrzął tylko na niego na chwilę i odwrócił się do towarzyszy. Indianin przeszedł pomiędzy stołami w pokornej postawie, jak człowiek, który czuje, że jego obecność jest ledwie tolerowana i przykucnął opodal kominka.

Na widok Indianina twarz zwiadowcy drgnęła na chwilę, ale tak przemijające, że prawie nikt tego nie spostrzegł. Obydwaj udawali, że nie istnieją dla siebie, ale od czasu do czasu wymykały im się spod spuszczonej powiek to w jedną, to w drugą stronę spojrzenia, które widocznie obaj rozumieli. Po jakimś czasie Metys podniósł się od stołu i poszedł ku drzwiom, wolno, leniwie, jakby bezmyślnie i bez celu.

Ta pozorna bezmyślność zwróciła uwagę Winnetou i Old Shatterhanda. — Obaj szybko odwrócili oczy od drzwi, ale tylko pozornie, gdyż jeśli ktoś zna wprawne oko westmana, ten wie, że umie ono spoglądać tam, gdzie potrzeba, nawet jeśli głowa jest odwrócona.

Już koło drzwi zwiadowca odwrócił się na kilka sekund, a widząc, że nikt na niego nie patrzy, szybkim, krótkim ruchem ręki dał Indianinowi znak, który mógł być zrozumiany tylko na podstawie poprzedniej umowy. Potem skierował się znowu do drzwi i wyszedł w ciemną noc.

Znak dany przez niego Indianinowi dostrzegł zarówno Winnetou, jak Old Shatterhand. Spojrzeli na siebie nawzajem i w milczeniu porozumieli się, jak mają teraz postąpić. Doszli do wniosku, że obcy Indianin był w tajnym porozumieniu ze zwiadowcą, gdyż otrzymał od niego znak. Porozumienie to było tajne, ponieważ starali się nie okazać nikomu, że działają wspólnie jak dobrzy znajomi. Tajność świadczyła o tym, że mają złe zamiary, które należało bezwarunkowo udaremnić. W tej sytuacji należało udać się za zwiadowcą, aby podpatrzeć co zrobi. Ponieważ było pewne, że główną rolę w tej sprawie grają Indianie, więc Winnetou, jako Indianin, chciał na siebie wziąć obowiązek podejścia ich. Niestety, nie mógł wyjść drzwiami, gdyż padało przez nie światło, a scout niewątpliwie ustawił się w ten sposób, że mógł widzieć każdą wychodzącą z gospody osobę. Szczęściem Apacz zauważył już poprzednio, że za beczkami, tłumokami i skrzyniami znajdują się małe drzwi przeznaczone do wnoszenia i wnoszenia tych przedmiotów bez użycia do tego głównego wyjścia. Przez te drzwi wódz postanowił się wydostać. Ponieważ jednak musiało się to stać niepostrzeżenie, trzeba było

zaczekać na chwilę, w której uwaga obecnych zwróci się na Old Shatterhanda, a to mogło nastąpić wtedy, gdyby ten przemówił do Indianina.

Drugą niezbędną rzeczą było przesłuchanie czerwonoskórego celem wydobycia z niego czegoś o jego zamiarach.

Old Shatterhand nie zwlekał z rozpoczęciem badania. A kiedy wszyscy skierowali oczy i uszy w tę stronę, aby się przysłuchać, Winnetou odsunął się od stołu, znikł za beczkami i dostał się do wspomnianych drzwi.

Indianin był silnie zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Okazało się wkrótce, że posiadał wcale nieprzeciętną inteligencję. Old Shatterhand przewidział to oczywiście, gdyż takie tajne, a może nawet niebezpieczne polecenia otrzymuje zwykle tylko sprytny wojownik.

— Mój czerwony brat usiadł za daleko od nas. Czy nic nie zje lub nie napije się czegoś?  
— brzmiało pierwsze pytanie Old Shatterhanda.

Czerwonoskóry odpowiedział tylko przeczącym potrząśnięciem głowy.

— Czemu nie? Czy nie jesteś głodny ani spragniony?

— Juwaruwie dokucza głód i pragnienie, ale nie może ich zaspokoić, gdyż nie ma pieniędzy — odparł czerwonoskóry.

— Jawuruwa? Czy to jest twoje imię?

— Tak mnie nazywają.

— To oznacza łosia w języku Upsaroków<sup>[27]</sup>. Czy należysz do tego szczepu?

— Jestem jego wojownikiem.

— Gdzie on teraz wypasa swoje konie?

— W Wyoming.

— A kto jest wodzem wojennym tego plemienia?

— Wielki wojownik, którego nazywają Mocny Bawół.

Old Shatterhand był przypadkiem niedawno u Indian Wron, którzy zamieszkują stan Dakota, znał ich stosunki i mógł osądzić, czy Indianin go okłamał. Odpowiedzi były prawdziwe.

— Jeśli mój brat nie może zapłacić, to niech przysiadzie się do nas i zje z nami — mówił dalej.

Indianin rzucił na niego badawcze spojrzenie i oświadczył:

— Juwaruwa jest walecznym wojownikiem, jada tylko z mężczyznami równymi sobie i równie jak on dzielnymi. Czy masz nazwisko, a jeżeli tak, to jak ono brzmi?

— Nazywają mnie Old Shatterhand.

— Old...Shatt...!

To nazwisko uwięzło Indianinowi w gardle. Tylko na krótką chwilę utracił spokój i panowanie nad sobą, zdradził jednak po sobie, że się przestraszył. Opamiętał się jednak szybko i powiedział z pozorną swobodą.

— Old Shatterhand? Uff! To bardzo sławna blada twarz?

— Z którą śmiało możesz jeść wspólnie. Zbliź się do nas, jedz i pij!

Zamiast posłuchać tego wezwania, Indianin potoczył dokoła wzrokiem, jak gdyby kogoś szukał, a potem zapytał:

— Nie widzę czerwonego męża, który siedział z tobą. Gdzie on jest?

— Jest pewnie w drugiej izbie.

— Nie zauważyłem, kiedy wyszedł. Jeżeli ty jesteś Old Shatterhand, to on chyba będzie Winnetou, wódz Apaczów?

— Tak jest w istocie. A gdzie twój koń?

— Nie jeżdżę konno.

— Tak? Upsaroka znajdujący się o tyle dni drogi od swego szczepu nie ma konia! Czy utraciłeś go po drodze?

— Wcale nie wziąłem go ze sobą.

— Ani żadnej broni oprócz noża?

— Żadnej.

— Tak postąpiłeś niewątpliwie z ważnych powodów?

— Złożyłem przysięgę, że wyruszę bez konia i tylko z nożem.

— Czemu?

— Bo Komancze także nie mieli koni ani innej broni.

— Komancze? A gdzie oni byli?

— W pobliżu naszych ówczesnych pastwisk w stanie Dakota.

— Komancze? Tak daleko na północy? To ciekawe!

Old Shatterhand od dłuższego czasu już nie wierzył czerwonoskóremu, ale nie dał tego poznać po brzmieniu swego głosu. Czerwonoskóry rzucił na niego niemal pogardliwe spojrzenie i odparł:

— Czy Old Shatterhand nie wie, że każdy indiański wojownik musi być przynajmniej raz

w życiu w Dakocie, żeby sobie przynieść świętej gliny na fajkę pokoju?

— Nie wszystkim to potrzebne i nie każdy tak robi.

— Ale Komancze to zrobili. Spotkali mnie i mojego brata. Jego zabili, a mnie udało się umknąć. Potem poprzysiągłem im zemstę. Postanowiłem, że pójdę za nimi bez konia i tylko z nożem. Nie spocznę dopóki ich nie pozabijam!

— Ponieważ zwracasz moją uwagę na święte obyczaje, więc będziesz wiedział, że nikomu z Indian nie wolno zabić człowieka w drodze do kamieniołomów.

— A jednak Komancze dopuścili się morderstwa.

— Hm! Ale po co ta przysięga o wyprawie bez konia i tylko z nożem? Jak będziesz polował? Czym żyłeś dotąd w drodze?

— Mam ci powiedzieć nawet to? — zapytał dumnie Indianin sądząc, że całkiem oszukał Old Shatterhanda.

— Nie — odrzekł zapytany spokojnie. — Nie mogłem tylko pojąć tego, że w czasie tak długiej podróży nie postarałeś się o konia.

— Przysiągłem i dochowam przysięgi.

— Nie, ty ją złamałeś!

— Udowodnij to!

— Siedziałeś dzisiaj w siodle!

— Uff, uff!

— Tak, podczas deszczu.

— Uff, uff! — powtórzył rzekomy Upsaroka jakby ze strachu czy też dla zaprzeczenia. Indianin podniósł się oczywiście, gdy Old Shatterhand zaczął do niego mówić i stał teraz blisko niego. Biały myśliwy schylił się, przesunął rękami po jego nogach i rzekł:

— Twoje spodnie są z zewnątrz mokre, a od wewnątrz suche, bowiem tej strony, przylegającej do konia, deszcz nie dosięgnął.

Indianin nie był przygotowany na ten dowód bystrości, ale szybko znalazł chytrą wymówkę:

— Powiadają, że Old Shatterhand jest najrozumniejszy z białych twarzy, a jednak nie potrafi sobie wytłumaczyć czegoś, co tak łatwo pojąć. Każde dziecko wie, że wewnętrzna strona spodni schnie prędzej od zewnętrznej. Old Shatterhand musi się jeszcze nauczyć wielu rzeczy!

Była to wielka bezczelność, ale biały myśliwy pozostał nadal spokojny. Używał do tej



chwili języka angielskiego, którym Indianin władał dość dobrze, teraz jednak zadał mu pytanie w narzeczu Upsaroków i nie otrzymał odpowiedzi. Zapytał go jeszcze kilka razy o coś innego, ale z tym samym wynikiem. W końcu położył ciężko Indianinowi rękę na ramieniu i rzekł:

— Dlaczego nie odpowiadasz? Czy nie znasz mowy własnego szczepu?

— Przysiągłem sobie nie mówić z nią prędzej dopóki nie pomszczę śmierci mojego brata.

— Tak, twoje przysięgi wyglądają wszystkie bardzo osobliwie! Ale jeszcze osobliwszą rzeczą jest twoja głupota, w której sobie wyobrażasz, że zdołasz mnie oszukać. Właśnie twój język cię zdradza. Ja doskonale wiem, jak Upsaroka mówi językiem białych twarzy. Ty nie jesteś wojownikiem ze szczepu Indian Wron, ale Komanczem. Czy masz odwagę przyznać się do tego?

— Komancze są moimi wrogami. Przecież już ci to powiedziałem!

— To właśnie, że nazywasz ich swoimi nieprzyjaciółmi jest dla mnie dowodem, że jesteś jednym z nich!

— Robisz ze mnie kłamcę? Nic dziwnego! Biali mają zwyczaj obrażać swoich czerwonych gości. Wobec tego odchodzę!

Odwrócił się do drzwi.

— Zostaniesz tu! — rozkazał Old Shatterhand chwytając go za rękę.

Na to Indianin dobył noża i zawołał:

— Kto ma prawo zatrzymywać mnie tutaj? Ty? Co złego ci zrobiłem? Nic! Pójdę, a jeśli ktoś spróbuje mi w tym przeszkodzić, poczuje nóż w sercu.

Old Shatterhand mimo to mocno trzymał go lewą ręką, a szybkim ruchem prawej wyrwał mu nóż i powtórzył:

— Zostaniesz! Zaczekamy dopóki nie wróci Winnetou. Potem się rozstrzygnie, czy wolno ci będzie odejść, czy nie. Przykucnij tam znowu, gdzie siedziałeś przedtem. Za próbę ucieczki dostaniesz kulę w łeb!

Old Shatterhand popchnął go na wymienione miejsce. Indianin upadł, chciał się poderwać, ale rozmyślił się i pozostał w pozycji leżącej.

Old Shatterhand usiadł znowu, aby jeść dalej i położył obok siebie rewolwer z odwiedzionym kurkiem, aby nadać swojej groźbie większą wagę.

Przerwana wieczerza odbywała się w dalszym ciągu, ale rozmowa już utykała. Po jakimś czasie wrócił scout i usiadł na swoim miejscu. Ujrzawszy Indianina w tej samej pozycji co

przedtem nie domyślił się, że tymczasem coś tu zaszło. Zarządca i dozorca, którzy siedzieli razem z nim, powiedzieli mu o tym, a on słuchał z pozornym spokojem, chociaż w duchu z pewnością się zaniepokoił. Jakkolwiek bowiem wątpił, czy Winnetou go zauważył, to jednak musiał się liczyć z tym, że go podsłuchał.

Wykradając się poprzednio przez tylne drzwi, Apacz powiedział sobie, że scouta trzeba szukać na przedzie. Zaczął więc skradać się wielkim łukiem w tym kierunku. Szerokie, otwarte drzwi gospody przepuszczały dużo światła. Jeśli więc idąc naprzód miało się je ustawicznie na oku, musiało się widzieć każdego, kto znalazłby się pomiędzy nimi a obserwatorem.

Winnetou okrążał coraz dalej i dalej, ale na próżno. Zatrzymywał się często i nasłuchiwał w nocnej ciemności, również bez skutku. Wrócił i zaczął jeszcze raz, ale i tym razem nie osiągnął niczego. Na tym stracił sporo czasu zanim ujrzał jakąś postać zbliżającą się z boku do gospody. Gdy podeszła do drzwi i weszła przez nie, Winnetou rozpoznał kto to był.

— Uff! To był scout — rzekł do siebie Apacz. — Widocznie nie miał żadnego ukrytego zamiaru, dlatego daremnie go tutaj szukałem. Winnetou się pomylił, a Old Shatterhand zdziwi się tym bardzo.

Nie starał się już wracać ukradkiem, ale wszedł przednimi, jasno oświetlonymi drzwiami. Gdy przewodnik zobaczył go, serce mocniej mu zabiło. Teraz się okaże, czy Apacz go podsłuchał, czy nie.

Winnetou usiadł obok Old Shatterhanda, który powiadomił go o wyniku przesłuchania, a na końcu cicho zapytał:

— Czy memu czerwonemu bratu sprzyjało szczęście?

— Winnetou nie mogło ani sprzyjać szczęście, ani spotkać nieszczęście, ponieważ się pomylił. Nie było nic nadzwyczajnego.

— Ale co należy myśleć o znaku, który scout dał czerwonoskóremu?

— To nie był znak, ale mimowolny ruch ręki.

— W takim razie i ja pomyliłbym się, a w to trudno mi uwierzyć. Ten Indianin nie jest Upsaroką, ale Komanczem.

— Czy zrobił coś złego mnie, tobie czy komuś innemu?

— Oczywiście, jeszcze nie.

— Wobec tego nie można z nim postępować jak z wrogiem. Niech mój brat Shatterhand puści go wolno.

— Ha, dobrze, jeśli sobie tego życzysz. Przyznaję jednak, że robię to bardzo niechętnie.

Po tych słowach powiedział czerwonoskóremu, że może się oddalić. Indianin wolno powstał i zażądał zwrotu noża. Otrzymałszy go wsunął go za pas i rzekł:

— Ten nóż dostał dziś nową robotę, gdyż złożyłem sobie drugą przysięgę. Old Shatterhand dowie się niebawem czy będzie równie osobliwa jak poprzednia.

Po tej groźbie oddalił się szybkim krokiem. Twarz wywiadowcy wyrażała najpierw wielkie zaniepokojenie i trwożne oczekiwanie, po chwili jednak zmieniła się tak bardzo, że w jego rysach można było wyczytać wyraźne, niepohamowane szyderstwo. Old Shatterhand zauważył to, podobnie jak Winnetou, który szepnął:

— Niech mój brat przypatrzy się Metysowi!

— Widzę go.

— On się z nas śmieje!

— Widocznie ma do tego powód.

— Tak. Jego ruch ręką był przedtem znakiem dla Indianina, którego uważałeś za Komancza. Nie pomyliliśmy się zatem.

— Ty go nie znalazłeś na dworze. Kto wie, jaki szatański mieli zamiar. Od teraz musimy go dobrze śledzić, gdyż jestem przekonany, że to niebezpieczny człowiek.

Old Shatterhand słusznie nazwał Metysa niebezpiecznym człowiekiem, bo na dworze omówiono istotnie szatański zamiar.

Gdy scout opuścił poprzednio gospodę, odszedł ostrożnie w kręgu światła rzucanego na zewnątrz przez płonący w środku ogień. Idąc potem dalej, prostopadle do szopy, zrobił około trzystu kroków, gdy nagle usłyszał cichy głos wołający go po imieniu. Nie było to jednak imię, jakie nosił w obozie, ale zupełnie inne. Głos zawołał:

— Chodź do nas, Ik Senando<sup>[28]</sup>! Stoimy tutaj.

Był więc rzeczywiście tym, za kogo uważał go Winnetou, to jest półkrwi wnukiem Czarnego Mustanga, najgroźniejszego wodza Komanczów.

Scout udał się w kierunku tego głosu i niebawem zobaczył trzech Indian, z których jeden oznaczał się bardzo wysokim wzrostem i silnie zbudowaną postacią. Był to sam wódz, który zaraz tak pozdrowił przybyłego:

— Witam cię, synu mojej córki! Posłałem ci najchytrzejszego z moich wojowników, Kita Homaszę<sup>[29]</sup>, ażeby dać ci znać, że jestem już tu i czekam na ciebie. Czy rozmawiałeś z nim?

— Ani słowa, Samo pojawienie się tego wojownika wystarczyło mi zupełnie.

— Postąpiłeś rozsądnie, bo może biali zaczęliby coś podejrzewać. Mamy tutaj dobre miejsce, nie można nas zaskoczyć, ponieważ dzięki jasności bijącej z otwartych drzwi widzimy każdego wychodzącego z domu. Zresztą mamy do czynienia z ludźmi, którzy wcale nie rozumieją życia na Zachodzie.

— Mylisz się bardzo. Są to ludzie, którzy je znają lepiej od ciebie i ode mnie.

— To niemożliwe! Któż to taki? Powiedz!

— Najpierw przybyli dwaj bardzo wysocy i chudzi jeźdźcy, którzy zabawią tu do jutra. Jeden z nich nazwał się Timpe, a nazwisko drugiego, zdaje się, brzmi tak samo.

— Timpe? Pshaw! Nikt z walecznych wojowników nie słyszał o takim czy podobnym imieniu.

— Potem przyjechali dwaj, których imiona nappełniły mnie strachem.

— Uff! Nie wiedziałem dotychczas, że syn mojej córki może się lękać. Czy ci dwaj przybysze nie są ludźmi, ale złymi duchami sawanny i Gór Skalistych?

— To ludzie, ale jacy! Jeden czerwony, a drugi biały, najślawniejszy wojownik Indian i najślawniejszy wojownik białych twarzy.

— Uff, uff! Czy chcesz przez to powiedzieć, że to Winnetou z Old Shatterhandem?

— To właśnie oni!

— Jak ich tu sprowadził Zły Manitou?

— Nie zły, ale dobry. Najpierw przestraszyłem się oczywiście, ale gdy usłyszałem ich rozmowę, tym bardziej się ucieszyłem.

— Powiesz mi co usłyszałeś, ale nie tutaj. Musimy stąd odejść!

— Odejść? Dlaczego?

— Ponieważ wiem, jak tacy mężowie jak ci dwaj wojownicy myślą i postępują. Czy rozmawiali z tobą?

— Winnetou mnie wypytywał, nie wierzył, że jestem Yato Inda i uważał mnie za syna twojej córki. Już ja potrafię się za to zemścić!

— Apacz ma jednak tak przenikliwy umysł jak nikt inny. Powziął więc podejrzenie i będzie cię teraz śledził.

— Wątpię, ponieważ nie widzę do tego powodu.

— On zawsze ma powód do ostrożności i przebiegłości, ten najgorszy wróg Komanczów,

którego nigdy nie mogliśmy zaatakować ani pochwycić. Ale biada mu, gdy wreszcie wpadnie w nasze ręce!

— Otwórz więc te ręce, ponieważ teraz w nie wpadnie. Mówię ci, że...

— Nie teraz i nie tutaj — przerwał mu wódz. — Musimy znaleźć inne miejsce, gdyż Winnetou na pewno będzie chciał ciebie podsłuchać.

— Zobaczymy go, gdy będzie wychodził przez oświetlone drzwi.

— Ty go nie znasz. On wszystko oblicza i wie, że nieprzyjaciół podchodzący ten obóz ustawi się zawsze naprzeciw tych drzwi, ponieważ stąd wszystko zobaczy. Winnetou przyjdzie więc wprost tutaj i to nie przez oświetlone drzwi. Czy tam są jeszcze inne drzwi?

— Są małe ze składem.

— On wyjdzie tamtędy i zakradnie się potem tutaj w ciemności. Trzeba wobec tego pójść w drugą stronę. Chodź!

Zatoczyli szeroki łuk na prawo dokoła budynku, gdy tymczasem Winnetou okrążył go na lewo i z tego powodu nie zastał ich już na miejscu. Tam zatrzymali się pod drzewem, a scout opowiedział co słyszał. Wódz słuchał go z najwyższym zaciekawieniem, a potem rzekł prawie głośno z radości:

— Jadą do Alder Spring? Jutro tam będą? Pochwycimy ich tam, pochwycimy. Tym razem nam nie ujdą! Jaka radość zapanuje u nas, gdy przywlecziemy taką cenną zdobycz, gdy będziemy ich męczyć, aż będą wyć jak kojoty obdzierane ze skóry! Te dwa skalpy więcej są warte niż warkocze, o które nam właściwie chodzi!

Jeszcze przez jakiś czas wódz dawał wyraz swojej radości, dopóki wnuk mu nie przerwał:

— Tak, my ich złapiemy z pewnością i zamęczymy na śmierć, ale czy dlatego masz się wyrzec Chińczyków, których chciałem oddać w wasze ręce?

— Nie, przecież po to zmieniłeś imię i wstąpiłeś na służbę u ludzi ognistego konia, a my przybyliśmy dziś tutaj, żeby cię zapytać, czy to się stanie już niebawem.

— Ja jestem gotów każdego dnia. Spodziewam się jednak, że dotrzymasz danego mi słowa!

— Dotrzymam. A może ty sądzisz, że oszukam syna mojej córki? Pieniądze i całe złoto będą twoją własnością. A wszystko inne: suknie, narzędzia, zapasy, a szczególnie warkocze żółtych ludzi należą do nas. Przywykliśmy już do tego, że blade twarze zagrabiają nam wszystko, że musimy ustępować, bo są od nas silniejsi. A teraz przybyły jeszcze te żółte skóry i budują

mosty i drogi żelazne na ziemi, która należy do nas. Oni wszyscy przypłacą to życiem, a wojownicy Komanczów okryją się sławą, bo jako pierwsi spomiędzy czerwonoskórych mężów zdobędą skalpy długich warkoczy. Nie wyrzekamy się tego, a teraz ty powiesz nam, co będzie potrzebne do walki.

Nastąpiło obszerne omówienie miejsca, poszczególnych części obozu, sposobu, w jaki należy dokonać napadu, jeśli ma się udać, i zdobyć, jakiej można się spodziewać. Potem Czarny Mustang dał znak swym towarzyszom, aby znów do niego wrócili, gdyż poprzednio oddalili się, aby pilnować bezpieczeństwa rozmowy wodza i Metysa.

Postanowiono więc na tym tajnym zebraniu pojmać nad Alder Spring Old Shatterhanda, Winnetou, Kasa i Hasa. O terminie napadu Komanczów na Firwood Camp miał później wywiadowcy donieść posłaniec. Po naradzie scout pożegnał się z trzema sprzymierzeńcami i wrócił do gospody.

Czarny Mustang udał się z obydwojoma Komanczami na miejsce, gdzie według umowy miał czekać na powrót posłanego do gospody Indianina. Kita Homansa zjawił się tam niebawem i oznajmił pełen złości, jak z nim postąpił Old Shatterhand.

Usłyszawszy, że uchwalono uderzyć na niego i na Winnetou, syknął z radością przez zęby:

— Pożałuje tego, że się na mnie porwał, bo ja mu nie oszczędzę najokropniejszych męczarni!

Czerwonoskórzy zamierzali właśnie opuścić to miejsce i udać się do koni ukrytych opodal, kiedy usłyszeli odgłos zbliżających się kroków. W tej samej chwili rzucili się na ziemię, mimo że była błotnista i wilgotna. W ten sposób zatarasowali sobą drogę nadchodzącym, wskutek czego jeden z Chińczyków potknął się o wodza i pociągnął za sobą swego towarzysza. Pochwycono ich w mgnieniu oka i przytrzymano.

— Nie krzyczcie, bo przypłacicie to życiem! — nakazał wódz. — Kim jesteście?

— Robotnicy — odrzekł ten, który posiadał na tyle odwagi, aby odpowiedzieć na to groźne pytanie.

— Wstańcie, ale nie ruszajcie się stąd krokiem, jeśli wam życie miłe! Dlaczego włóczycie się tu po kryjomu? Jeśli jesteście robotnikami należącymi do tego obozu, to co tutaj robicie?

— My się nie skradaliśmy!

— Owszem! Tak cicho i chyłkiem nie chodzi ten, kto może się pokazać. Co macie w

rękach?

— Strzelby.

— Strzelby? Po co strzelby robotnikom? Pokażcie je zaraz!

Wydarł im strzelby, obmacał je, podniósł jedną po drugiej do góry, by lepiej się im przypatrzeć.

— Uff, uff, Uff! — odezwał się wprawdzie cicho, ale tonem radosnego zdumienia. — Te trzy strzelby znam nie tylko ja, ale każdy czerwony i biały na Zachodzie. Ta strzelba z gwoździami jest niewątpliwie srebrną rusznicą Winnetou, naszego wroga. A jeśli to jest prawda, to tamte dwie należą do Old Shatterhanda. To sztucer Henry'ego i rusznica na niedźwiedzie. Czy dobrze się domyślam?

Chińczycy nie odpowiedzieli na to pytanie. Widząc przed sobą Indian przestraszyli się, drżeli po prostu ze strachu i nawet nie próbowali uciekać.

— Mówcie! — ofuknął ich wódz Komanczów. — Czy te strzelby należały do Old Shatterhanda i Winnetou?

— Tak — wyszeptał ten, który odpowiadał dotychczas.

— A więc wy je ukradliście?

Zapytany znów milczał.

— Widzę, że jesteście wagare sariczes<sup>[30]</sup>, którym tacy ludzie nie powierzyliby nigdy swoich strzelb. Jeśli się nie przyznasz, zaraz poczujesz nóż w swoim brzuchu! Mów!

Na to Chińczyk pospieszył z odpowiedzią:

— Zabraliśmy je po kryjomu.

— Uff! A więc jednak! Winnetou i Old Shatterhand są tu widocznie bardzo pewni siebie, jeśli rozstali się ze strzelbami. Wy jesteście złodziejami. Czy wiecie, co wam zrobię? Zasłużyliście na śmierć!

Na to Chińczyk rzucił się na kolana, wznosił ręce i zaczął błagać:

— Nie zabijaj nas! Nie zabijaj!

— Powinniśmy wam, co prawda, odebrać życie, ale wy jesteście żółtymi, parszywymi szakalami, na których waleczni wojownicy nie będą tępić swoich noży. Puścimy was zatem wolno, jeśli zrobicie to, co wam rozkażę.

— Powiedz, o, powiedz! Będziemy ci posłuszni!

— Dobrze! Dlaczego ukradliście strzelby? Przecież ich nie potrzebujecie, bo nie jesteście

myśliwymi.

— Chcieliśmy je sprzedać, gdyż słyszeliśmy, że są warte dużo, bardzo dużo pieniędzy.

— My je od was kupimy.

— Naprawdę? Naprawdę? Czy to prawda?

— Ja jestem wodzem Komanczów. Moje imię brzmi Tokwi Kawa, co w języku białych twarzy znaczy Czarny Mustang. Czy słyszeliście o mnie?

Oczywiście, słyszeli o nim i to nic dobrego; przeciwnie, tyle złego, że Chińczyk odrzekł przerażony:

— Czarny Mustang? My cię znamy!

— A więc pewnie wiesz, jak wielkim i sławnym jestem wodzem i że wszystkie moje słowa polegają zawsze na prawdzie. Kupię od was te strzelby.

— Ile za nie dasz?

— Więcej niż ktokolwiek inny.

— A co?

— Wasze życie. Taką kradzież karze się śmiercią, ale ja jednak za strzelby daruję wam życie.

— Życie? Tylko życie? — zapytał Chińczyk rozczarowany.

— Czy to nie dość? — syknął czerwonoskóry. — Czy takich nicponiów jak wy można obdarzyć czymś więcej niż życiem? Czego jeszcze chcecie?

— Pieniądzy.

— Pieniądzy! A więc kruszcu! Możecie go także dostać, a mianowicie w postaci naszych noży. One są także szpiczaste i ostre, że będziecie ich mieli dość. Chcecie?

— Nie! Nie! Daruj nam — jęczał Chińczyk. — My chcemy żyć! Zatrzymaj sobie strzelby!

— To twoje szczęście, ty żółta ropucho! A teraz słuchaj, co ci rozkażę! Old Shatterhand i Winnetou wkrótce zauważą brak strzelb, zrobi się wielki zgiełk, zaczną szukać i dopytywać się. Co wtedy zrobicie?

— Będziemy milczeli.

— Mądrze postacie. Nie wolno wam powiedzieć ani słowa, inaczej odbierzemy wam życie, bo jesteście złodziejami. Tak samo nie wolno wam nic wspominać o nas, bo jeśli się dowiedzą, że nas spotkaliście i mówiliście z nami, odgadną wszystko, a wtedy wy będziecie



zgubieni. Czy zastosujecie się do mojego rozkazu?

— Będziemy milczeli jak kamienie!

— Tego od was wymagam, bo jeżeli zdradzicie że byliśmy tutaj, to wrócimy, żeby się zemścić. A wtedy zginiecie w męczarniach przy palu. A teraz jeszcze jedno pytanie: czy znacie imiona Iltszi<sup>[31]</sup> i Hatatitla<sup>[32]</sup>?

— Nie...

— To imiona koni Old Shatterhanda i Winnetou. Zanim odejdziecie stąd, odpowiecie na jeszcze jedno pytanie. Czy wiecie, gdzie stoją te wierzchowce?

— W szopie, tam, za nami. Słyszeliśmy, że je tam zaprowadzono.

— W takim razie to wszystko, jeśli chodzi o was. Pamiętajcie tylko o moim ostrzeżeniu i milczcie! A teraz możecie iść.

Każdy z nich dostał jeszcze po kopniaku, po czym obaj prędzej zniknęli w ciemnościach nocy, zadowoleni z tego, że uszli z życiem.

— Uff! Nie mogliśmy mieć więcej szczęścia! — powiedział wódz tonem najwyższej satysfakcji do swoich ludzi. — Mamy zaczarowany sztucer, Postrach Niedźwiedzi i Srebrną Strzelbę. Teraz jeszcze przyprowadzimy oba ogiery, które nie licząc mojego mustanga, nie mają sobie równych.

— Tokwi Kawa chce się udać do szopy? — zapytał Indianin, który przedtem pod przybranym imieniem Juwaruwy poszedł do baraku jako szpieg.

— Czy mój brat przypuszcza, że pozostawię konie? Gdyby nie istniał mój mustang, to te dwa ogiery byłyby najlepszymi końmi między jedną Wielką Wodą a drugą. Zabierzemy je, bo są z pewnością tyle samo warte, co strzelby, które odebraliśmy tym żółtym hultajom z długimi warkoczami.

Bezszelestnie podkradli się pod szopę, której drzwi nie zamykały się na prawdziwy zamek, ale na zasuwę i zaczęli nadśłuchiwać. Ze środka było słychać pojedyncze uderzenia kopytem. W szopie panował mrok. Wyglądało na to, że nie ma tam strażnika, w przeciwnym razie bowiem pomieszczenie byłoby oświetlone. Wódz odsunął zasuwę, uchylił nieco drzwi i tak się ustawił, żeby nie być widzianym od środka, po czym kilka razy zawołał półgłosem po angielsku, jak gdyby był znajomym strażnika; w ten sposób chciał sprawdzić, czy konie są pilnowane, czy nie. Nie było żadnej odpowiedzi. Czterej Indianie weszli do środka.

Konie obu Timpów zajmowały miejsca z tyłu szopy, a kare ogiery Old Shatterhanda i

Winnetou prawie na samym przedzie. Wódz rozpoznał je od razu mimo ciemności.

— Tu stoją — powiedział. — Miejcie się na baczności! Nie możemy ich dosiąść, bo nas nie znają, musimy je prowadzić, a i tak kiedy wyjdziemy, będziemy mieć z nimi kłopoty, bo nie wiadomo, czy będą chciały ruszyć, jeśli nie zobaczą swoich panów.

Ogiery ostrożnie odwiązano i powolutku wyprowadzono. Szły za Komanczami wprawdzie bez większego oporu, ale było widać, że są nieufne. Drzwi ponownie zamknięto na zasuwę, po czym Indianie oddalili się z cenną zdobyczą. Głębokie, miękkie błoto, jakie spowodował deszcz, stłumiło zupełnie kroki ludzi i zwierząt.

Tokwi Kawa był niezwykle zadowolony z tego, co zrobił. Cieszył się, że udało mu się przechytrzyć obu sławnych, a tak bardzo przez niego znienawidzonych mężów. Był całkowicie pewny swojej sprawy i przekonany, że dzisiejszego wieczoru postępował absolutnie bezbłędnie i sprytnie. A jednak mylił się. Nie przewidział kilku bardzo ważnych rzeczy, a mianowicie bystrości umysłu obu okradzionych oraz nadzwyczajnych zalet i równie dobrej tresury obu koni, które były nauczone nie słuchać obcych ludzi bez zezwolenia swoich panów.

Ale największy błąd polegał na tym, że wyjawiał Chińczykom swoje imię. Wprawdzie nie wątpił, że go nie zdradzą, ale nie brał pod uwagę przenikliwości Winnetou i Old Shatterhanda, była to więc nierozwaga nie do darowania.

## Rozdział II — DO ROCKY GROUND<sup>[33]</sup>

Kochany Czytelniku! Czy słyszałeś kiedyś o Białym Mustangu? Zajmowali się nim powołani i niepowołani pisarze, opowiadali o nim ludzie znający dobrze Dziki Zachód i tacy, których noga nigdy nie dotknęła amerykańskiego lądu. Ja sam siadywałem często z białymi i czerwonymi myśliwymi, którzy twierdzili i przysięgali, że widzieli Białego Mustanga, a mnie nawet nie przyszło na myśl wątpić w te zapewnienia, ponieważ ludzie ci jednocześnie widzieli go i nie widzieli.

Biały Mustang był podaniem, bajką, widmem, tworem wyobraźni, którego podstawą było jednak coś istniejącego naprawdę.

W czasach, kiedy stada bawołów i koni w niezliczonych tysiącach zamieszkiwały prerie, a wiosną ciągnęły na północ, jesienią zaś na południe, mogło się zdarzyć ostrożnemu strzelcowi, że zobaczył Białego Mustanga, ale tylko bardzo ostrożnemu, który umiał dobrze podchodzić zwierzynę. Biały Mustang bowiem był najbardziej doświadczonym i najsprytniejszym ze wszystkich ogierów, jakie kiedykolwiek stały na czele tabunów dzikich koni. Jego oko przenikało najgęstsze zarośla, ucho chwyciło cichy szmer kroków skradającego się wilka już ze znacznej odległości, a jego czerwone chrapy czuły woń człowieka, choćby dzieliła go od niego przestrzeń tysiąca kroków. Ze stada prowadzonego przez Białego Mustanga żaden myśliwy nie zdołał wyłowić lassem żywego konia; jeśli jakieś zwierzę padło jego ofiarą, to było zapewne chore i nieprzydatne. Nikt nigdy nie widział pasącego się Białego Mustanga, on nie miał na to czasu. Ustawicznie i bez wytchnienia biegał w zgrabnych i silnych podskokach wokół swego pasącego się stada i przy najmniejszym niebezpieczeństwie wydawał swe przeraźliwe, do głosu trąbki podobne rzenie, na dźwięk którego stado zaczynało pędzić jak burza.

Kilka razy podobno udało się go odłączyć od tabunu, by złapać jego samego. Wtedy Biały Mustang uciekał tylko wolnym cwałem, gdy tymczasem ścigający pędzili co koń wyskoczy, a mimo to nie mogli go doścignąć. A gdy w końcu wyciągnąwszy się pomknął jak strzała i zniknął na widnokręgu, zorientowali się, że ich tylko wyprowadził w pole, aby ich odciągnąć od swego stada. Pewien zuchwały vaquero<sup>[34]</sup>, mistrz w jeździe konnej, twierdził, że się z nim raz spotkał i zapędził go nad głęboki kanion. Biały Mustang podobno bez namysłu skoczył kilkaset stóp<sup>[35]</sup> w dół przepaści i pokłusował spokojnie dalej.

Vaquero zapewniał na rozmaite sposoby wszystkich i każdy mu wierzył. W towarzystwie bardzo poważnych i doświadczonych westmanów pewien hacjendero<sup>[36]</sup> z Sierry opowiadał, że

raz doznał niesłychanego szczęścia, bo zobaczył Białego Mustanga i zwabił go razem z całą gromadą dzikich koni do corralu<sup>[37]</sup>, ale przedziwny siwek przeleciał jak ptak ponad dwudziestostopowym ogrodzeniem i nikt nie wątpił w prawdziwość tego opowiadania. Tak opowiadali starzy i młodzi i zdawało się, że Białego Mustanga nie tylko nie można zranić, ale że jest wprost nieśmiertelny.

Pewnego jednak razu zniknął z ostatnim stadem, jakie widziano na sawannie. Nieubłagana cywilizacja wymordowała bawoły i mustangi, a dziś jeszcze stary westman pokazuje się to tu, to tam i twierdzi, że nie dający się nigdy schwytać Biały Mustang nie jest bynajmniej wymysłem gdyż on sam także go widział.

Tak, Biały Mustang nie był wymysłem, a jednak był tworem wyobraźni. Nie było go nigdy, a jednak istniał. Ci, którzy go widzieli, nie ulegli złudzeniu, pomylili się jednak, gdyż Biały Mustang nie był jednym koniem, ale wieloma.

Każdemu stadu dzikich koni przewodzi ogier najsilniejszy i najsprytniejszy, ponieważ to stanowisko musiał sobie zdobyć i zachować siłą i chytrą! Gdy wszystkich współzawodników spędził z pola, słuchała go cała gromada aż do najmłodszego zwierzęcia. Jeśli już u nas się mówi, że siwki są „najtwardszymi” końmi, to na prerii miało jeszcze większe znaczenie. Do tego należy dodać, że myśliwi oszczędzali jasnych zwierząt; nikt nie łowił siwków pod wierzch, ponieważ widać go było z daleka, co naraża jeźdźca na niebezpieczeństwo. Konie takie mogły zatem dochodzić do pełni sił. Oprócz tego konie jasnej maści, jakby wiedzione instynktem, były ostrożniejsze od reszty stada. Wreszcie stadu potrzeba na dowódcę konia różniącego się zabarwieniem od pozostałych. Im wyższy oficer, tym wspanialsze oznaki jego godności. Co człowiek zdobywa sztuką, to zwierzęciu daje natura. Z tego i z innych powodów nastąpiło to, o czym wie każdy westman, że każdym stadem dzikich koni, dowodzi siwek.

A więc jeżeli przewodnicze białe ogiery były najsilniejszymi, najszybszymi, najwytrwalszymi i najkąśliwszymi końmi, mogły tym samym łatwiej uniknąć prześladowań niż wszystkie inne. Każdy westman widział i podziwiał spryt i rącość takiego konia, opowiadał o tym i słuchał takich opowiadań. Życie na sawannie podnieca wyobraźnię; siwków było wiele, ale z czasem wyobraźnia zrobiła z nich jednego Białego Mustanga, którego wszędzie widziano, ale nigdzie nie zdołano pochwycić. Ten „jeden” żył wyłącznie w wyobraźni, a „poszczególne” w rzeczywistości.

Za czasów Winnetou i Old Shatterhanda istniał także Czarny Mustang, z którym sprawa

miała się podobnie z pewną jednak różnicą. Nie był to koń dziki, ale wyszkolony, nadzwyczajnie wytresowany, a był własnością wodza Komanczów Naiini. O nim także opowiadano bardzo różne historie. Posiadał podobno wszystkie zalety w niebywałym dotychczas stopniu; w żadnej walce nie odniósł rany, nie potknął się ani nie upadł, nie doścignął go żaden prześladowca i dotychczas — przepraszam za wyrażanie traperskie — jeszcze nigdy nie zdechł. Koń ten żył jeszcze za przodków, wyszedł z dziadkiem nieuszkodzony ze wszystkich bitew, potem przeniósł ojca przez niebezpieczeństwa i śmierć i trzymał się tak świetnie u obecnego wodza, że ten dla uczczenia siebie i zwierzęcia przybrał imię Czarny Mustang — Tokwi Kawa.

Tak jak Indianie byli święcie przekonani, że sztucer Old Shatterhanda jest zaczarowaną strzelbą, tak z drugiej strony, z wyjątkiem członków szczepu Naiini, którzy wiedzieli o tym lepiej, inni twierdzili, że natura „czarnego mustanga” jest taka, jak istota leku rozumianego oczywiście jako coś nadmysłowego, niepojętego. Wiara ta przynosiła właścicielowi konia szacunek i korzyści. Unikano zaczepki zarówno z nim samym, jak też i z jego plemieniem, w przekonaniu, że nie można zranić ani konia, ani jeźdźca. Uchodził wprost za niezwyciężonego. Jako sprytny człowiek wódz wyzyskiwał to chytrze, a wyniki tego okazały się wkrótce i spotęgowały jego pewność siebie. Wraz z dumą i bezwzględnością zwiększała się z czasem jego nienawiść do białych w ogóle i do wrogów Indian, aż w końcu sam uwierzył w to, że nie ma człowieka, który mógłby się z nim zmierzyć.

Tym „czarnym mustangiem” oczywiście nie był jeden koń, ale kilka. Spokrewnione ze sobą były jednakowo znaczone i były tak samo doskonałe. Tej ostatniej zalety nie można było lekceważyć, a więc łatwo zrozumieć, dlaczego wódz kradnąc w Firwood Camp ogiery Old Shatterhanda i Winnetou, twierdził z dumą: „Gdyby nie było mojego mustanga, byłyby to najlepsze konie od jednej Wielkiej Wody do drugiej”. Przez te słowa rozumiał oceany Atlantycki i Spokojny, a więc, według swego wyobrażenia, całą Amerykę Północną. Czy się w tym nie mylił, tego miały dowieść późniejsze wypadki, ale dziś wieczorem miał się przekonać, że był w błędzie, sądząc, że tak łatwo będzie je ukraść.

Tymczasem w obozie nikt jeszcze nie poszedł spać. Obecność tak rzadkich gości nie pozwoliła ludziom udać się na spoczynek zaraz po posiłku. Inżynier, Winnetou, Old Shatterhand i dwaj bracia Timpowie zabawiali się przy jednym stole ciekawymi opowiadaniem. Przy drugim siedział dozorca i zarządca, słuchając przeważnie cicho i tylko od czasu do czasu włączając się do rozmowy. Do nich przysiadł się Metys, który zachowywał się zupełnie milcząco, ale tym

pilniej wylawiał uchem wszystko, o czym mówiono. Old Shatterhand i Winnetou pozornie nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Mieszaniec nie dostrzegł ani jednego zwróconego ku sobie spojrzenia, a jednak obaj westmani śledzili go tak baczenie, że żaden jego ruch czy mina nie mogły ujść ich uwagi.

Właśnie Kas opowiadał jakąś przygodę, kiedy nagle Winnetou gestem nakazał mu milczenie.

— Co takiego? — zapytał. — Dlaczego mam przerwać?

— Cicho! — odrzekł wódz Apaczów. — Zbliżają się jeźdźcy.

Zaczęli nadśłuchiwać i rzeczywiście usłyszeli tętent szybko biegnących koni, które całkiem dosłyszalnie bryzgały głębokim błotem, a potem zatrzymały się przed drzwiami i zarżały radośnie.

— Uff! — zawołał Winnetou szybko wstając. — To nie są obce konie!

Old Shatterhand podniósł się także i potwierdził:

— Nie, to są nasze konie. Ale skąd się tutaj wzięły? Czy nie postawiliście przy nich warty, panie inżynierze?

— Jeszcze nie.

— Dlaczego? Przecież prosiłem was o to! Jeśli się nie mylę, to wy zasunęliście drzwi, kiedy oddalaliśmy się od szopy?

— Zrobiłem to, dlatego sądziłem, że nie trzeba się śpieszyć ze strażą.

— Znajdujemy się na Zachodzie, gdzie nigdy nie należy zwlekać z ostrożnością!

— Może jakiś robotnik albo ktoś inny otworzył drzwi i konie pouciekały.

— Pouciekały? Były mocno przywiązane, sir! Ten ktoś nie tylko otworzył drzwi, ale i odwiązał konie, a taki postępek wydaje mi się co najmniej osobliwy. Proszę mi podać latarnię!

Słowa te były zwrócone do shopmana, który siedział za ladą. Nad nim wisiała latarnia, którą Old Shatterhand zdjął z gwoźdźca, zapalił i wyszedł razem z Winnetou. Wszyscy przyłączyli się do nich, powodowani ciekawością, a z nimi i Metys, który nie wiedział oczywiście o tym, że jego dziadek ukradł przedtem obydwie konie.

Ogiery rzeczywiście stały na dworze i powitały swoich panów oznakami wielkiego rozdrażnienia. Parskały, machały ogonami, kręciły uszami i wspinały się na tylne nogi, zupełnie jak psy cieszące się z ujrzenia swoich właścicieli. Old Shatterhand oświetlił je i zawołał z wielkim zdumieniem:

— Do stu piorunów! Co to jest? Konie nie przyszły z szopy! Popatrzcie, ile brudu i błota leży na ich grzbietach! Cwałowały widocznie z daleka! Ale skąd i z kim?

— Z kim? — zapytał inżynier. — Z nikim, to oczywiste. Komu wpadłoby na myśl urządzać sobie przejażdżki na cudzych koniach w taką niepogodę i ciemność?

— Przejażdżki? Ciekawy jestem, czy ktoś potrafiłby dosiąść tych koni. Nikt też na nich nie siedział, bo jak widzicie, siodła są ochlapane błotem!

— A więc ja mam słuszość! Ktoś otworzył szopę, konie się wyrwały i pobieły w pole. Popędziły trochę i wróciły potem znowu. Oto i wszystko, zbadam jednak, kto jest temu winien. Nocą nie wolno nikomu wchodzić do szopy.

— Nasze konie się nie wyrwały, jeżeli sami je przywiązaliśmy. Nie mają też zwyczaju pędzić na przechadzkę bez naszego pozwolenia.

Nagle Winnetou rzekł swoim zwykłym, spokojnym głosem, wskazując przy tym na cugle swojego konia, które wziął do ręki:

— Przyznaję słuszość mojemu białemu bratu, ale one jednak się wyrwały, tylko nie z szopy, ale w drodze.

Na cuglach wisiał mocno przywiązany rzemień, który prawdopodobnie tworzył pętlę, ale teraz był rozerwany. Old Shatterhand zbadął go, rzucił Apaczowi znaczące spojrzenie i rzekł do inżyniera:

— Ma pan rację, a Winnetou się pomylił, co oczywiście zdarza mu się bardzo rzadko. Konie zerwały się w szopie. Chodźcie z nami! Musimy je mocniej przywiązać, niech się uspokoją! Nic wielkiego się nie stało!

Powiedział to tak spokojnie i z takim przekonaniem, że natychmiast wywołał skutek, jaki sobie zamierzył, bo dozorca i zarządca wrócili zaraz z Metysem do swojego stołu. Kas i Has chcieli wprawdzie pójść do szopy, ale Old Shatterhand szepnął do nich:

— Zaczynicie rozmowę z mieszkańcem i nie wypuście go dopóki nie wrócimy!

— Po co, Mr Shatterhand! — zapytał Kas.

— O tym dowiecie się później. Przytrzymajcie go tylko, ale bądźcie uprzejmi i serdeczni!

— A jeżeli będzie się upierał, żeby wyjść? Czy mamy użyć przemocy?

— Spróbujcie tego uniknąć. Zresztą nie będzie wam trudno zatrzymać go jakąś pasjonującą historią!

— Ja też tak myślę. Opowiem kilka nadzwyczajnych rzeczy i palnę przy tym parę

dobrych dowcipów, zupełnie tak, jak u spadkobierców Timpego. Chodź, Has!

Has spojrzął na niego porozumiewawczo i obaj skierowali się do domu.

Winnetou wziął konie za cugle, a Old Shatterhand oświetlał mu drogę z przodu. Inżynier szedł obok niego i rzekł kiwając głową:

— Nie rozumiem pana. Najpierw przyznajecie mi słuszność z całym spokojem, a potem wydajecie tym dżentelmenom rozkazy, jak gdyby Yato Indzie nie należało wcale ufać.

— Zrobiłem to tylko dla pozorów, gdyż trzeba być ostrożnym. Konie ukradziono i zabrano, ale one wyrwały się po drodze.

— To niemożliwe!

— Zapewniam was, że tak było!

— Czy wobec tego Yato Inda był złodziejem?

— Chyba nie, jest raczej pomocnikiem złodziei.

— Ja twierdzę, że on jest uczciwy!

— A ja twierdzę, że nie nazywa się Yato Inda, ale Ik Senanda i jest wnukiem Czarnego Mustanga. Niech pan pójdzie ze mną do szopy, tam dowiemy się kto popełnił kradzież.

— Jak to zbadacie?

— Rozmiękła ziemia powie mi niejedno. Gdyby złodziejem był nawet duch, i tak zobaczyłbym ślady.

— Ja bym tego nie potrafił, gdyż zupełnie nie znam się na tych rzeczach. Pan ma w tym oczywiście większą wprawę. Mimo to sądzę, że przyznacie, że niesłusznie oskarżacie mojego Metysa.

— Niech pan trochę poczeka!

Podczas tej sprzeczki zbliżyli się do szopy. Inżynier chciał pierwszy przestąpić próg, ale Old Shatterhand przytrzymał go i upomniał:

— Nie tak prędko, bo mógłby pan wszystko popsuć!

— Co popsuć?

— Ślady, które chcę zobaczyć. Jeśli pan wejdzie, nie rozpoznamy ich dobrze.

— Zgoda. W końcu mamy dużo czasu.

Old Shatterhand zakreślił łuk, aby nie podejść do drzwi wprost, ale z boku i nie dotknąć śladów, gdyby rzeczywiście tam były. Potem pochylił się z lampą do ziemi. Winnetou zostawił konie na miejscu, zbliżył się także i pochylił.



— Uff! — zawołał. — To były indiańskie mokasyny!

— Tak myślałem! — potwierdził Old Shatterhand. — Tutaj byli czerwonoskórzy, ale ilu?

— Mój brat to zobaczy, gdy tylko się oddalimy za tropem od szopy. To końskie ślady pomieszane z ludzkimi.

— Nie odchodźmy jeszcze! Ślady kopyt świadczą wyraźnie o tym, że konie szły wolno, a nie zostawiłyby takich śladów, gdyby uciekały. Widocznie wyprowadzono je z szopy ostrożnie.

— Drzwi są zasunięte — zauważył Winnetou wskazując na nie.

— To nowy dowód, że popełniono kradzież. Konie nie umieją zasuwac drzwi.

— Ale ludzie umieją! — wtrącił inżynier. — To był człowiek, oczywiście jeden z robotników, który po kryjomu robił coś w szopie. Podczas tego wyrwały się konie.

— W takim razie ten człowiek przybiegłby do nas i zawiadomił o tym.

— Przecież nie zrobiliby tego z obawy przed wyrzutami.

— Pshaw! Trop nam powie kto ma rację, ja czy pan. Ilu białych zatrudniacie?

— Tylu, ilu widzieliście w szopie.

— Czy wszyscy tam teraz byli?

— Wszyscy.

— To dobrze. Zwracam waszą uwagę na to, że nikt z tych ludzi nie wychodził. Jeżeli był tu rzeczywiście robotnik, to musiał to być Chińczyk.

— I ja tak sądzę.

— Jakie obuwie noszą ci synowie nieba?

— Wielkie chińskie patynki z grubymi podeszwami.

— A one pozostawiają tak wyraźny, osobliwy kształt, że nie można się co do tego pomylić. Najpierw wstąpimy tutaj.

\* \* \*

Otworzyli drzwi i weszli, nie zauważyli jednak nic, bo złodzieje nie zostawili śladów. Wprowadzili więc konie do szopy i przywiązali je, po czym wszyscy trzej zaczęli badać ślady na dworze, idąc śladami od szopy. Po kilku krokach rozdzielały się i na prawo wiodły ślady ludzkie i zwierzęce, a na lewo tylko ludzkie.

— Tędy przyszli — rzekł Old Shatterhand. — Czy mój brat widzi, ilu ich było?

Apacz przyjrzał się dokładnie tropom i powiedział:

— Czerwoni mężowie byli tacy nieostrożni, że nie szli jeden za drugim, dlatego całkiem wyraźnie widać, że było ich czterech. Chodźmy jeszcze dalej! Ślad wiedzie poza tylną część budynku.

Wkrótce dostali się do miejsca, gdzie obydwaj Chińczycy spotkali się z Indianami. Było ono już wydeptane, a Old Shatterhand dokładnie je oświetlił.

— Uff! — zawołał Winnetou. — Tu stali przez pewien czas czerwoni mężowie i rozmawiali z żółtymi mężami. Świadczą o tym bardzo wyraźne ślady grubych, prostych podeszew.

— A nie mówiłem? — rzekł inżynier. — W szopie byli robotnicy!

— Nedorzecznosc! — odparł Old Shatterhand, rozgniewany tym, że urzędnik wciąż trwał przy swoich fałszywych przypuszczeniach.

— W szopie ich nie było, bo ich ślady tam nie prowadzą. Widzi pan, że dochodzą tylko tutaj, a potem zwracają. Niech pan wreszcie porzuci swoje błędne domysły. Bardzo was o to proszę. Tu byli Indianie i to zapewne Komancze.

— Pshaw! Pewnie biedacy, którzy chcieli ukraść trochę żywności, a nieszczęśliwym przypadkiem dostali się do waszych koni.

— Cieszyłbym się, gdyby tak było. Obawiam się jednak, że stało się coś zupełnie innego. Czerwonoskórzy byli zapewne w porozumieniu z waszymi Chińczykami.

— Oho!

— Tak! Przecież pan widzi, że rozmawiali tutaj ze sobą. Gdyby nie było porozumienia, Indianie zabiliby Chińczyków.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście! A teraz niech pan patrzy: najpierw było tu tylko trzech czerwonoskórych, a czwarty przyszedł do nich z domu. Czy domyśla się pan kto to był?

— Może ten Juwaruwa, którego nie chcieliście wypuścić?

— Tak jest, to był on.

— W takim razie chcę tylko wiedzieć, którzy z moich Chińczyków tu byli!

— Zapytajcie ich samych! Wątpię jednak, czy się tego dowiecie.

— Winni będą się bali przyznać.

— A jednak mimo to ich znajdziemy.

— Tak się panu zdaje?

— Nawet jestem tego pewien.

— Przy pomocy śladów?

— Może tak, a może nie. Ale w każdym razie w inny sposób. Teraz jednak dajmy temu spokój i zajmijmy się tylko Indianami. Chodźcie!

Ruszyli teraz nie poczwórnym, ale potrójnym tropem dopóki nie doszli do miejsca, gdzie Tokwi Kawa rozmawiał z Metysem i skąd ten drugi powrócił do baraku. Potem ślady zawiiodły ich na przednią stronę baraku, gdzie Komancze czekali na Metysa. Po zbadaniu także tego miejsca, Old Shatterhand rzekł:

— Teraz rozumiem wszystko. Przyszło tu czterech Komanczów. Trzej zaczekali, a czwarty wstąpił do baraku, aby niepostrzeżenie wywołać Metysa. Zwiadowca wyszedł, ale ponieważ nie czuli się tu bezpiecznie, więc poszli do tyłu. Dlatego mój brat Winnetou szukał ich tutaj na próżno. Metys porozumiał się z trzema czerwonoskórymi i wrócił do nas, a oni poszli tam, gdzie oczekiwali Juwaruwy. Gdy Indianin się zjawił, chcieli się oddalić, a wtedy natknęli się na dwóch Chińczyków.

— Czego Chińczycy mogli tam szukać? — zapytał inżynier.

— Sami nam to powiedzą — odrzekł Old Shatterhand z pewnością w głosie.

— Ale jak się dowiemy, którzy to Chińczycy? Przecież mamy ich tutaj bardzo wielu!

— To już nasza rzecz. Niech pan nam zaufa!

— Czy nie zbadamy także ich śladów?

— Jeszcze nie. Najpierw musimy pójść do Metysa i pokierować sprawą tak, żeby on stąd uciekł.

— Uciekł? — zapytał inżynier, w najwyższym stopniu zdumiony. — Co za dziwny pomysł!

— Dlaczego?

— Albo jest on najuczciwszym człowiekiem, za którego ja go uważam, a w takim razie nie potrzebuje uciekać, albo łotrem, który chce nas wydać Indianom, a w takim razie nie można mu pozwolić uciec.

— Tak pan sądzi, ale ja mam inne zdanie. To wnuk wodza Komanczów, Tokwi Kawy. Wślizgnął się do was pod maską rzetelności, aby wydać was swojemu dziadkowi. Czarny Mustang przysłał tu dziś czterech ludzi, a może nawet był jednym z nich, aby wyznaczyć czas i rodzaj napadu. Ja przypuszczam, że był tutaj. Co na to mój brat Winnetou?

— Czarny Mustang był tutaj — odrzekł Apacz z taką pewnością, jakby widział go na własne oczy.

— Oczywiście, gdyż tylko taki wojownik jak on mógł wpaść na pomysł ukradzenia nam koni! Usłyszał jednak, że tu jesteśmy i wstrzyma się na razie z napadem dopóki nie opuścimy obozu. Dla waszego bezpieczeństwa koniecznie trzeba się dowiedzieć co zamierzają względem was i kiedy postanowili wykonać zamiar. Ale tego nie usłyszycie, jeśli Metys tu zostanie.

— Sir — odrzekł inżynier — wiem kim pan jest i co mam o panu sądzić, ale dla mnie wasze słowa są zagadkami. Muszę wam wierzyć ku swojemu wielkiemu przerażeniu, że czerwonoskórzy knują coś przeciw nam, gdyż w przeciwnym razie nie wysyłaliby ludzi na zwiady. O tym jednak, co nam grozi, mógłbym się dowiedzieć tylko od Metysa, jeśli tak twierdzicie, jest sprzymierzeńcem Indian.

— Czy sądzicie, że on wam powie?

— Zmuszę go do tego!

— Pshaw! Ciekaw jestem, jak pan się do tego zabierze!

— Pan mi przy tym pomoże!

— To nie doprowadziłoby do niczego, gdyż tak samo nie powiedziałby mi, jak i panu. Ja widzę tylko jeden pewny środek dowiedzenia się wszystkiego: musimy napędzić mu strachu, żeby drapnął!

— Jeśli jego nie będzie, to właśnie wtedy nie dowiemy się niczego, Mr Shatterhand!

— Wprost przeciwnie. Słyszał pan przecież, że udajemy się jutro do Alder Spring?

— Tak.

— Metys także to słyszał i niewątpliwie doniósł o tym czerwonoskóрым. Jestem pewien, że pojedą tam, aby się zacząić i pojmać nas. Nie damy się jednak złapać, a nawet sami ich podsłuchamy.

— Sir, to bardzo niebezpieczne!

— Dla nas nie, a dla was będzie to miało ten pożytek, że będziecie wiedzieli, co was czeka.

— Jak się o tym dowiem? Czy wy wróćcie?

— Jeżeli wywnioskujemy, że grozi wam niebezpieczeństwo, na pewno wrócimy, żeby wam pomóc. Musicie tylko puścić dzisiaj wolno Metysa.

— A jeżeli nie ucieknie?

— Ucieknij! Gdzie on zwykle śpi? Przy robotnikach?

— Nie. Urządził sobie w zaroślach pół indiański wigwam.

— Żeby go nie podglądano. Sprytna sztuka! Czy on ma konia?

— Tak, zawsze jest przywiązany w pobliżu wigwamu.

— Dobrze! Mój brat Winnetou pójdzie tam teraz, ukryje się i podpatrzy, czy Metys rzeczywiście się oddali, czy nie. Ja natomiast pójdę do baraku, aby mu napędzić stracha. Niech pan nie zrobi jakiegось błędu! Niech mu się zdaje, że nic nie wiemy o kradzieży koni dokonanej przez Indian, niech wierzy w nasze przypuszczenie, że wyrwały się same.

— Well. Czy mogę pójść z panem?

— Owszem, ale przedtem niech pan dokładnie opisz Winnetou miejsce, gdzie leży wigwam.

Winnetou mało wtrącał się do rozmowy, wysłuchał spokojnie opisu miejsca i odszedł. Był to jego zwyczaj, a zarazem dowód dla Old Shatterhanda, że zgadza się ze wszystkim, co ten obmyślił i zarządził. Gdy się oddalił, Old Shatterhand i inżynier odeszli do baraku, gdzie zastali Metysa pogrążonego w ożywionej rozmowie z braćmi Timpe, którym udało się zająć go całkowicie. Metys rzucał na białego myśliwego badawcze, skryte spojrzenia, ten zaś udawał, że tego nie zauważa. Poczciwy kas przerwał właśnie opowiadanie i zapytał:

— No, Mr Shatterhand, jak tam w szopie? Kto ma słuszość, pan czy Winnetou?

— Ja. O kradzieży koni nie może być mowy. Zapomnieliśmy zasunąć drzwi, wskutek czego wlało tam pewnie jakieś zwierzę. Konie zlekły się, zerwały i wybiegły w pole, ale szczęśliwie wróciły tutaj. Co tego więc możemy być spokojni, ale jest coś, co mnie niepokoi.

— Co takiego?

— Byli tutaj czerwonoskórzy.

— Chyba tylko jeden? Myślę o Juwaruwie, którego widziałem w baraku.

— On nie był sam. Było z nim jeszcze trzech czerwonoskórych, którzy czekali na niego na dworze.

— Do stu piorunów! — zawołał Kas odsuwając z czoła słomiany kapelusz. — Jeszcze trzech! A więc ten nędznik był szpiegiem!

— Jestem tego pewien, a poza tym twierdzą, że tu w obozie znajduje się sprzymierzeniec Indian.

— All devils! Niesłychana rzecz! Kto mógłby to być?

— Ja wiem, ale zapytajcie Yato Indę, który siedzi obok was; on wie o tym tak dobrze, jak ja.

Na to Metys powoli odwrócił się do Old Shatterhanda, popatrzył na niego błyszczącymi z gniewu oczami i zapytał z nienawiścią w głosie:

— Co ja mam wiedzieć, sir?

— To, co powiedziałem teraz temu dżentelmenowi.

— Ja nic nie wiem.

— A więc chodźcie, panowie! Coś wam pokażę. Niech Yato Inda także się przyłączy!

— Gdzie jest Mr Winnetou? — zapytał Kas wstając razem z innymi.

— Pilnuje w szopie koni, żeby się czymś nie przeraziły.

Wszyscy wyszli, nawet biali robotnicy, tylko Metys pozostał na swoim miejscu. W drzwiach Old Shatterhand odwrócił się do niego i rzekł:

— Wezwałem wszystkich, aby poszli z nami. Kto nie posłucha, będzie miał do czynienia ze mną. Ja nie żartuję!

Groźne oczy Old Shatterhanda powiedziały jeszcze więcej niż słowa. Metys powstał i ruszył za wszystkimi. Niosąc znowu latarnię Old Shatterhand prowadził ludzi do tropu zrobionego przez Metysa, kiedy z baraku wychodził do czekających na niego Komanczów. Oświetliwszy ślady rzekł:

— Przypatrzcie się dobrze tym śladom, panowie! To są ślady łotra, który na was wszystkich chce ściągnąć zgubę. Pokażę wam potem nogi, które przystają całkowicie do tych tropów! Zlinczujemy<sup>[38]</sup> tego łotra!

— Ściągnąć na nas zgubę? — zapytał przerażony dozorca.

— Jak to?

— Ten drab spotyka się z wrogimi Indianami, którzy zamierzają prawdopodobnie napaść na obóz i przemycił się do was pod fałszywym imieniem, aby ułatwić im całą sprawę.

— Z Indianami? Czy to możliwe?

— Tak, czerwonoskóry, który był tutaj przedtem, był szpiegiem, a przyszedł po to, aby wysłać do nich tamtego łotra. Widzieliśmy, jak dawali sobie znaki.

— Kto jest tym łotrem? Niech pan powie!

— Później! Najpierw postaram się o dowody. Widzicie, że idę ciągle jego śladami, a niebawem zobaczycie, dokąd one prowadzą.

Old Shatterhand szedł dalej śladem, a oni za nim, wreszcie myśliwy stanął, poświecił na ziemię i powiedział:

— Popatrzcie tutaj! Tu czekali Indianie na niego, a czwarty, imieniem Juwaruwa, znajdował się u nas w baraku i dawał mu tajemne znaki. Zbadajcie dokładnie, czy te odciski pochodzą od stóp Indian!

Nagle Has rzekł ze złością rozciągając swój długi, czarny wąs:

— Na to nie potrzeba długiego badania, sir. To widać na pierwszy rzut oka, że chodzi o Indian. Do pioruna! Obóz w niebezpieczeństwie. Pokażcie nam tego draba, żebyśmy go trochę pohuścili na gałęzi! Drzew tu pod dostatkiem i wszystkie mają ładne, mocne konary.

— Zaczekajcie jeszcze chwileczkę! Musimy pójść tym śladem jeszcze dalej. Zobaczycie całkiem wyraźnie, jak szedł.

Metys stał przy tym i oczywiście słyszał wszystko. Old Shatterhand oświecał od czasu do czasu jego twarz i widział jego błędny, strwożony wzrok, jakim obrzucał otaczających go ludzi.

Wszyscy poszli dokoła baraku, gdzie Old Shatterhand znów się zatrzymał i objaśnił:

— Potem skierowali się w tę stronę i stali tutaj dłużej, jak tego dowodzą ślady. Na przedzie nie czuli się bezpiecznie, ponieważ był tam Winnetou i ja; bali się, że ich podejźmiemy. Tu rozmawiali o nas i o zamierzonym napadzie. Potem trzej czerwonoskórzy posunęli się dalej, aby poczekać na Juwaruwę, który przyszedł tu do nich. Zdrajca natomiast powrócił stąd do baraku. Nie jestem zwolennikiem takich widowisk, ale to wszystko spowodował łotr, które należy bezwarunkowo zlinczować!

— Kto to jest, kto, kto? — pytano ciągle dokoła. Tylko Metys milczał jak zakłęty.

— Zaraz, zaraz się o tym dowiecie! Pójdziemy tylko jeszcze kawałeczek tropem dopóki nie będę mógł wam pokazać, jak dokładnie jego stopa przylega do odcisku na ziemi. Chodźcie, moi panowie!

Prowadząc ludzi znów na przednią stronę domu patrzył bystro na Metysa. Ten szedł powoli jeszcze kilka kroków, potem jednak rzucił się w bok i po kilku szybkich skokach znikł im z oczu. Teraz nadeszła stosowna chwila. Należało bezwarunkowo nie pozwolić na to, żeby mieszaniec mógł złapać oddech, a tym bardziej żeby został tutaj i z ukrycia podsłuchiwał, co zamierzają mieszkańcy obozu. Toteż Old Shatterhand zatrzymał się wkrótce i powiedział:

— Właśnie tutaj dowiecie się, kto jest tym łotrem. Niech podejździe do mnie Yato Inda! — obejrzał się za siebie i zawołał: — Gdzie Metys?

— Metys? — zapytano. — Czy to on?

— Oczywiście, że on! Myślałem, że sami odgadniecie! On nie nazywa się Yato Inda, ale Ik Senanda i jest wnukiem Czarnego Mustanga. Ten wódz chce napaść na obóz i przysłał go tutaj, żeby wybadał, czy nadarzy się do tego dobra sposobność.

Na to rozległ się krzyk i wołania za zbiegłym, brzmiące daleko po dolinie. Old Shatterhand przekrzyczał wszystkich swoim potężnym głosem mówiąc:

— Po co hałasujecie? Metys pobiegł do swojego wigwamu, żeby zabrać konia i umknąć. Śpieszcie za nim, bo wam ucieknie!

— Do swojego wigwamu? — wrzeszczał jeden głośniejsz od drugiego. Tak, do wigwamu! Biegnijmy tam, żeby go złapać!

Puścili się rzeczywiście w tę stronę, tylko Old Shatterhand został z inżynierem na miejscu.

— No, co pan na to? — zapytał pierwszy z uśmiechem. — Czy się nie udało?

— Tak, jeśli mimo wszystko nie mylicie się co do Metysa. Naprawdę trudno mi go uważać za tak złego człowieka.

— Czy uciekłby, gdyby był dobry?

— To prawda. A w takim razie musimy dziękować Bogu, że was nam zesłał. Co stałoby się z nami! Indianie zabraliby nam wszystko, nawet życie!

— Życie i skóry oraz zapasy i wszystko inne z wyjątkiem pieniędzy. Te zastrzegł sobie pewnie Metys. Znam się na tym, bo już kilkakrotnie przeżyłem takie sprawy. Ale cicho! Czy nic pan nie słyszy?

— Po tamtej stronie pędzi koń.

— To Metys na nim odjeżdża, ścigany trwogą przed sędzią Lynchem. Nie wpadnie mu teraz na myśl ukryć się tutaj, by nas podsłuchać. Pozbyliśmy się go na razie całkiem.

— Ale na jak długo? Pojedzie pewnie do Komanczów i wróci z nimi.

— A my pojedziemy za nimi i zjawimy się tu przed nimi z powrotem. Nie obawiajcie się niczego! Słyszysz pan krzyki waszych ludzi? Szukają go bez skutku. Ach, teraz wyładowują swoją złość na wigwamie!

Po tamtej stronie zarośli zajaśniał mały płomyk, który jednak mimo spowodowanej deszczem wilgoci powiększał się coraz bardziej. To robotnicy podpalili wigwam. Przy świetle ognia Old Shatterhand ujrzał zbliżającego się Winnetou, który podszedł do niego i inżyniera i



rzekł:

— Winnetou leżał na czatach i usłyszał nadbiegającego Metysa, który wstąpił potem do wigwamu. Nagle zabrzmiały okrzyki zemsty, a mieszaniec wypadł na dwór ze strachu, popędził do swojego konia, dosiadł go i uciekł.

— Czy pojedzie dalej, czy zostanie tu w ukryciu? — zapytał Old Shatterhand chcąc wiedzieć, co Winnetou myśli o tej sprawie.

— Pojedzie daleko, bardzo daleko, a zatrzyma się dopiero wtedy, gdy będzie pewny, że nie zdołamy go już doścignąć. Słyszałem świst jego oddechu, co świadczyło o nadzwyczajnym strachu. Sądzę, że nawet mu nie przejdzie przez myśl, żeby tu zostać.

— I ja tak przypuszczam. Możemy zatem podjąć na nowo nasze przerwane badania, baz obawy o to, że nas skrycie podsłucha.

— Jakie badania?

— Śladów dwóch Chińczyków, których jeszcze nie ustaliliśmy.

— Czy inni mogą być przy tym?

— Co najwyżej obaj bracia Timpowie. Większa liczba osób towarzyszących mogłaby popsuć ślady.

Robotnicy powrócili z bezskutecznego pościgu za Metysem. Chcieli się dowiedzieć od Old Shatterhanda czegoś więcej o jego podejrzeniu i o wszystkim, co miało z tym związek. Myśliwy wezwał ich, żeby poszli do baraku i zczekali tam przez jakiś czas. Obiecał przy tym, że niebawem przyjdzie i wyjaśni im wszystko. Następnie zwrócił się z Winnetou, inżynierem i braćmi Timpe znowu ku tylnej ścianie domu, gdzie przedtem widział ślady Chińczyków. Odnaleźli je wkrótce przy świetle latarni i poszli za nimi.

Przypuszczając, że trop zaprowadzi ich dokoła obu rogów baraku do wejścia, poszli za nim, ale przekonali się, że tak nie było, gdyż trop ciągnął się do mieszkania inżyniera i to do tylnej strony domu. Tam stała oparta o mur drabina, sięgająca aż do dachu.

— Uff! — zawołał Apacz do inżyniera. — Czy ta drabina zawsze tutaj stoi?

— Nie — odrzekł zapytany potrząsając przy tym głową z zakłopotaniem.

— A czy stała wtedy, gdy byliśmy w środku?

— Nic o tym nie wiem. Wydaje mi się to bardzo podejrzane. Kto to mógł zrobić?

— Oczywiście, że Chińczycy! — odrzekł Old Shatterhand. — Okradzione pana najprawdopodobniej, a razem z wami i nas!

— Uff, Uff! — dodał Apacz. — Nasze strzelby przepadły.

— Nie bierzcie mi tego za złe, Mr Winnetou, ale wam chyba nie dopisuje rozum? — zawołał inżynier z przestraczem.

— Strzelby przepadły — powtórzył wódz.

— Ja także to mówię — oświadczył Old Shatterhand bez rozdrażnienia.

— I mówicie to tak obojętnie, jak gdyby chodziło o kilka zapalek, a nie o trzy najkosztowniejsze strzelby na Dzikim Zachodzie!

— Po cóż się zbytnio niepokoić? To tylko zaszkodziłoby sprawie. Im spokojniej przyjmujemy fakty, tym prędzej i pewniej odzyskamy strzelby.

— Nie wyobrażam sobie, żeby dopuszczono się kradzieży. Ale jeśli rzeczywiście tak się stało, to te łotry będą musiały natychmiast oddać strzelby. Za karę wypędzę ich, ale przedtem każę ich oćwiczyć na pół lub trzy ćwierci do śmierci.

— Oni nie mogą zwrócić strzelb!

— Nie? A to czemu?

— Ponieważ sami ich już nie mają.

— A kto?

— Komancze.

— Do licha! To byłoby dla was bardzo źle, bardzo źle! Ale dlaczego przyszła wam do głowy taka niedorzeczna myśl?

— W bardzo prosty sposób. Ślady Chińczyków łączą się ze śladami Komanczów i zaraz wracają. Indianie odebrali im strzelby.

— Sądzicie więc, że strzelby skradziono umyślnie dla Indian?

— Nie! Najpierw, widząc te tropy obok siebie, przypuszczałem wprawdzie, że byli w tajemnym porozumieniu, teraz jednakże wiem, że się myliłem. Chińczycy dokonali kradzieży na własną rękę, a gdy odeszli, aby schować strzelby, natknęli się na Indian, którzy zażądali od nich broni.

— To oczywiście możliwe, ale nie mamy jeszcze pewności. Trudno już teraz twierdzić, że wasze strzelby znikły. Chodźmy do środka i zobaczymy! Kto wie, może się mylicie!

— Pomyłka jest wykluczona. Czy wasi Chińczycy mają strzelby?

— Nie!

— A więc! Przypatrzcie się tym trzem odciskom w błocie! Mogą pochodzić tylko od

strzelb. Złodzieje zeszli z drabiny i żeby na chwilę uwolnić sobie ręce, oparli strzelby o ścianę. Są trzy odciski, jeden wielki, drugi średni, a trzeci mały; to moja rusznica na niedźwiedzie, srebrzysta strzelba Winnetou i sztucer Henry'ego. Więcej dowodów nie potrzeba.

— To prawda, to istotnie prawda! — zawołał inżynier przyjrzawszy się trzem odciskom w błocie. — Rzeczywiście to byli Chińczycy! Każę zaćwiczyć ich na śmierć! Ale teraz pytanie, którzy to byli?

— Już my ich wykryjemy. Ich ślady wprawdzie nie przydadzą się na wiele, ale może w domu natkniemy się na jakieś wskazówki. A gdyby i ich zabrakło, to w głowie westmana znajdują się jeszcze inne haki, na których będzie można powiesić tych łajdaków.

— Miejmy nadzieję, sir! Do stu piorunów! To właściwie straszny wstyd dla mnie i dla naszego obozu. Najpierw spotkała nas radość i zaszczyt przyjęcia was, tak znakomitych westmanów, a teraz okazuje się, że okradzione was w tak wyrafinowany i bezczelny sposób. Przecież nie potrzeba im broni; nie umieją się z nią obchodzić. Jaki cel właściwie im przy tym przyświecał?

— Dla mnie to także zagadka, którą jednak będzie można jeszcze rozwiązać.

W tej chwili jasnowłosy Kas rzekł:

— Nie wiem, czy podam dobrą myśl czy głupią, sir, ale wpadłem właśnie na coś w rodzaju wyjaśnienia.

— No?

— Zanim przysłyszcie mówiono o was. My wspomnieliśmy oczywiście o waszych strzelbach i o tym, że są takiej wartości, że wcale nie można jej oznaczyć. Czy kilka z tych żółtych warkoczy nie usłyszało tego przypadkiem i nie postanowiło ukraść strzelb, aby je potem sprzedać za wysoką cenę?

— Hm! To wcale nie głupia myśl, Mr Timpe. Obie komory baraku dzieli tylko cienka ścianka, przez którą łatwo było usłyszeć treść rozmowy. A jeśli się nie mylę, to przy tej ściance siedziało dwóch Chińczyków w odosobnieniu od reszty.

— To prawda — potwierdził inżynier. — Byli to dwaj firsthands<sup>[39]</sup>, których używamy do pośrednictwa.

— Czy to uczciwi ludzie? — zapytał Old Shatterhand.

— Tego nie twierdzę, sir! Za żadnego z nich nie dałbym głowy. Trzeba ich pilnować. Nie kradną tylko wtedy, kiedy nie ma co kraść. Ich główną zasadą jest to, że nie widzą w tym grzechu

ani hańby, lecz raczej dobry uczynek i zaszczyt, jeśli uda się choć trochę wyzyskać białego. Z tego, że ci dwaj Chińczycy doszli do stanowisk przodowników nie należy wnosić, że są rzetelniejsi od innych. Przeciwnie: są inteligentniejsi, dlatego jeszcze mniej można im ufać. Przesłuchamy więc tych dwóch!

— Tak. Najpierw jednak wstąpimy do waszego domu, aby się przekonać, czy strzelby zniknęły.

Inżynier otworzył drzwi i zapalił w środku światło. Okazało się, że westmani mieli rację. Strzelby ukradziono, a dokonano tego przez dziurę w dachu, przez którą złodzieje weszli do pokoju.

Jest całkowicie zrozumiałe, że była to dla obu mężów niepowetowana strata. Przyzwyczajeni jednak do panowania nad sobą we wszystkich okolicznościach nie poskarżyli się i teraz ani jednym słowem. Tylko inżynier objawiał wściekłość i zapewniał, że każe sprawców zaćwiczyć na śmierć.

— Najpierw musimy ich odnaleźć — rzekł spokojnie Old Shatterhand. — A zresztą, nawet gdy ich wykryjemy, ja sprzeciwię się tak niehumanitarnej karze.

— Czy ma im to ująć bezkarnie, sit? — zapytał urzędnik.

— Nie, ale możemy ich ukarać bez okrucieństwa.

— Niech pan zważy, że znajdujemy się na Dzikim Zachodzie! Na Wschodzie zamknięto by złodziei na pewien czas, tu jednak panuje prawo prairii. Według niego koniokrada karze się śmiercią, a czy wasza broń nie jest więcej warta od konia?

— Oczywiście, że więcej. Mimo to proszę was, żebyście ukaranie pozostawili nam. Odpokutują dość ciężko, ale sprawiedliwie. A teraz chodźmy do baraku, aby przesłuchać Chińczyków.

Robotnicy jeszcze nie spali. Nawet ci, którzy już wcześniej się położyli, siedzieli znowu przy stołach i rozmawiali o najnowszym wypadku. Obaj przodownicy zajęli swoje poprzednie miejsca. Byli niepewni i przypatrywali się trwożliwie i badawczo wchodzącym. Old Shatterhand wezwał ich krótko, ale stanowczo:

— Przenieście się do tamtej sali!

Chińczycy poszli, przy czym jeden szepnął drugiemu:

— Szuet put tek!

Old Shatterhand usłyszał jednak te słowa. Po twarzy przemknął mu lekki uśmiech

zadowolenia. Chińczyk wyraził się w ojczystym języku i bardzo cicho. Nie wątpił więc wcale, że nikt go nie zrozumiał, ponieważ nawet gdyby słowa doszły do czyichś uszu, to tutaj, tak daleko od Chin i na takim odludziu, nie było nikogo rozumiejącego po chińsku. Nie domyślał się, że Old Shatterhand przebywał także w Chinach podczas swoich dalekich podróży i że nigdy nie zwiedzał kraju nie poznawszy najpierw jego języka.

Kiedy potem stanęli przed nim w mniejszym pomieszczeniu, spojrzął na nich przenikliwie i oświadczył, wyjmując rewolwer zza pasa i odciągając kurek z groźnym trzaskiem:

— Znajdujecie się w obcym kraju. Czy znacie jego prawa?

Chińczycy podnieśli na niego zuchwale oczy, a jeden z nich odrzekł:

— Ten kraj rządzi się wielu prawami. O jakich myślicie, sir?

— O prawach odnoszących się do kradzieży.

— Znamy je dobrze.

— Powiedz więc jak się karze za kradzież?

— Więzieniem.

— Ale nie w tych stronach. Kto na Zachodzie ukradnie broń albo konia, podlega karze śmierci. Czy wiecie o tym?

— Słyszeliśmy o tym, ale nas to nic nie obchodzi, gdyż my nigdy nie porwiemy się na cudzą własność.

— Nie kłam!

— Co pan mówi? Ja miałbym kłamać! Słyszeliśmy, że jest pan wielkim i sławnym człowiekiem, ale my także nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, ale przodownikami i nie pozwolimy się obrażać!

— Pshaw! Twój ton wkrótce się zmieni, człowieku! Jeśli otwarcie się przyznacie, to postąpimy z wami łagodnie, jeśli zaś będziecie się wypierali, to nie spodziewajcie się pobłażliwości. Ukradliście nasze trzy strzelby?

Zapytany zrobił minę jak gdyby nie wiedział o co chodzi, potrząsnął ze zdziwieniem głową i odrzekł:

— Czy ukradliśmy strzelby? My? Skąd wam, sir, przyszło do głowy takie dziwne przypuszczenie? Czy zginęły wam strzelby?

Chińczyk powiedział to tonem tak dziecięco szczerym i niewinnym, że Old Shatterhand wymierzył mu tak siarczysty policzek, że uderzony poleciał między stoły, daleko pod szynkwę,

skąd z trudem starał się podnieść. Myśliwy nie spojrzął na niego wcale, ale zwrócił się do drugiego:

— Widziałeś teraz, jak odpowiadam na kłamstwa i bezczelność. Wyznaj więc szczerą prawdę! Czy ukradliście nasze strzelby?

— Nie! — twierdził mimo to zapytany.

— Czy weszliście do domu inżyniera?

— Nie!

— Kiedy potem chcieliście schować strzelby, odebrali wam Indianie?

— Nie! — zaprzeczył Chińczyk po raz trzeci, ale z mniejszą pewnością siebie niż poprzednio.

— Człowieku, ja cię ostrzegam! Twój towarzysz kazał ci wprawdzie wypierać się, ale bądź raczej uczciwy!

— Kiedy mi kazał, sir?

— Kiedy wstawaliście ze swoich miejsc.

— Ja o niczym nie wiem, sir!

— Kłamiesz, słyszałeś przecież, jak do ciebie po cichu powiedział: „szuet put tek!”

— Tak, on to powiedział.

— A co znaczą te chińskie słowa?

— „Chodź, idziemy razem!” Mój towarzysz powiedział to, ponieważ mieliśmy iść za wami.

— Słuchaj, ty jesteś sprytny, ale mnie mię oszukasz! „Chodź” znaczy „lai”, a „iść” znaczy „k’iu”; „szuet put tek” zaś znaczy „nie wyjawić niczego”. Czy i temu zaprzeczysz?

Chińczyk, który stał jeszcze pod szynkwasem, trzymał się wciąż za bolący policzek, a teraz załamał ręce z przerażeniem. Drugi natomiast cofnął się o dwa czy trzy kroki, wpatrzył się w myśliwego szeroko otwartymi oczami i zapytał jękając się ze strachu:

— Jak to? Pan... pan... umie... umie mówić po chińsku?

Old Shatterhand skorzystał z przerażenia pytając czym prędzej:

— Kto był tym Indianinem, który odebrał wam strzelby?

Chińczyk wpadł bezmyślnie w pułapkę i odrzekł bez zastanowienia:

— Nazwał siebie Czarnym Mustangiem, wodzem Komanczów.

— Put yen put jii, put yen jii! — krzyknął pierwszy Chińczyk od szynkwasu<sup>[40]</sup>.

Ten trwożny okrzyk znaczy tyle co „ani słowa nie”.

— Tien na, agaj yn! — O nieba, biada, biada! — zawołał jego towarzysz, który dopiero teraz zorientował się, jaki błąd popełnił.

— Milczcie! — zaśmiał się Old Shatterhand. — Poznaliście właśnie, że na nic nie przyda się wasza chińszczyzna. Dowiedziono wam winy, zostaniecie powieszoni lub rozstrzelani bezwarunkowo jeszcze dzisiaj wieczorem, jeżeli w dalszym ciągu będziecie się wypierali. Jeśli zaś opowiecie nam dokładnie jak to się stało, darujemy wam życie

— Darujecie życie? — zapytał drugi Chińczyk, mniej uparty od pierwszego. — A jaka potem spotka nas kara?

— To będzie całkowicie zależało od waszej szczerości. Jeśli nic nie zataicie, ale to nic, to w każdym razie wyjdziecie na tym lepiej niż przypuszczacie.

— W takim razie powiem, tak, powiem.

Chińczyk spojrział pytająco na współzłodzieja, który skinął mu potakująco głową, widząc że jeśli już raz weszło się w błoto, to nie należy się pchać w nie jeszcze dalej. Zbliżył się trzymając rękę na piekącym policzku i obaj powiedzieli częściowo z własnej inicjatywy, a częściowo na pytania, jak się wszystko odbyło. Gdy przyznali się do wszystkiego, jeden z nich zwrócił się do Old Shatterhanda:

— Teraz usłyszeliście już wszystko, sir. Nie mamy już nic do powiedzenia, jesteście więc pewni, że nam karę całkiem darujecie.

Na to inżynier podbiegł do niego:

— A tobie co, złodzieju? Całkiem karę darować? Piękne żądanie! Czy ty wiesz, co to znaczy ukraść broń westmanowi? To znaczy narazić go na pewną śmierć! I to jeszcze takie strzelby! Chciałem kazać zaćwiczyć was na śmierć, ale ponieważ Mr Shatterhand sprzeciwił się temu, a wy zgodziliście się wyznać wszystko, więc daję łasce pierwszeństwo przed prawem i każę wam wyliczyć tylko po sto batów.

Z powodu tej groźby obaj podnieśli głośny krzyk. Winnetou zawołał tylko pogardliwie „uff”. a Old Shatterhand zapytał go:

— Jaką karę obmyślił mój brat dla tych złodziei?

Apacz patrzył przez kilka chwil przed siebie, a potem po jego brązowej twarzy przemknął osobiwy uśmiech.

— Tę — odrzekł czyniąc oburącz ruch jak przy skalpowaniu.

Biali to pojęli i porobili bardzo poważne miny, ale Chińczycy nie rozumieli tych gestów i patrzyli pytająco na Old Shatterhanda.

— Ukłękniście przede mną, tuż przy sobie! — rozkazał biały myśliwy.

Posłuchali natychmiast.

— Zdejmijcie czapki!

Zdjęli swoje niskie czapki bez daszków, a w następnej chwili w dłoni Old Shatterhanda błysnął nóż. Robotnicy i urzędnicy krzyknęli głośno sądząc, że chce ich naprawdę oskalpować.

Dwa szybkie chwytę lewą ręką za głowy Chińczyków, dwa równie prędkie cięcia prawą wystarczyły na to, że pozbawił ich nie głów, ale warkoczy.

Widzowie odetchnęli z ulgą, a Chińczycy zeszytnieli z przerażenia. Dla „Synów Nieba” największą hańbą jest utracić warkocz i w pewnych okolicznościach wolałby oddać zamiast niego życie. Toteż obaj zdrętwieli w pierwszej chwili, potem nagle wcisnęli czapki na tyse głowy, zerwali się i wybiegli głośno lamentując. Ogólny śmiech długo rozbrzmiewał za nimi.

Tylko Old Shatterhand i Winnetou się nie śmiali, a pierwszy z nich objaśnił nawet poważnie:

— Ta scena może wam się wydawać śmieszna, ale tak nie jest, moi panowie. Chińczyków ukaraliśmy według ich pojęć o wiele surowiej niż gdyby skazano ich na kilkuletnie więzienie.

— Co? Czy to możliwe? — zapytał inżynier. — A gdyby nawet tak było, to tutaj nie panują chińskie, ale nasze prawa. Żeby za taką niecną kradzież utracili tylko włosy! Ja nie mogę się na to zgodzić!

— Nie tylko włosy, ale także honor sir! — wtrącił Old Shatterhand.

— Pshaw, honor! Ci złodzieje dowiedli, że nie mają honoru, a czego się nie ma, tego nie można utracić! Ukaraliście ich na swój sposób, ja dodam do tego pewne uzupełnienie.

— Jakie?

— Wypędzę ich, ponieważ nie mogę trzymać takich łotrów u siebie.

— Nie będziecie potrzebowali ich wypędzać.

— Nie? Jak to?

— Ponieważ brak warkoczy uniemożliwił im pobyt tutaj. Nie pokażą się już więcej i znikną pewnie tej nocy.

— Jeśli tak, to jestem zadowolony. Muszę jednak uważać, żeby razem z nimi nie zniknęły inne rzeczy. Te dwa warkoczę zachowam sobie na pamiątkę tego wieczoru.



Schylił się, aby je podnieść, ale Old Shatterhand wziął je do ręki i rzekł:

— Pozwólcie, sir! Te warkocze podarujemy komuś innemu.

— Tak? A komu?

— Tokwi Kawie, wielkiemu i sławnemu wodzowi Komanczów.

— Jemu? A to dlaczego?

— Aby go zawstydzić i rozzłościć.

— Nie rozumiem.

— A jednak to dość łatwo zrozumieć. Winnetou zdecydował, żeby ich oskalpować, a więc potrzebował warkoczy z pewnego, określonego powodu. Jesteście chyba teraz przekonani, że Czarny Mustang chce napaść na wasz obóz?

— Tak.

— Czego on może od was chcieć? Pieniądzy?

— Chyba nie. Te zapewne wytargował Yato Inda dla siebie. Zresztą Indianie nie potrzebują dolarów. Będą raczej usiłovali zabrać nam broń i amunicję.

— To prawda, ale pewnie interesują ich także warkocze Chińczyków.

— Naprawdę?

— Tak. Kto zna Indian tak jak my, ten wie dobrze, jak myślą i czego chcą. Uśmiecha im się nadzieja zdobycia takiej ilości skalpów, jakich jeszcze nigdy nie mieli! Jaki to łup, jaki zaszczyt! To im się jednak nie uda, a ponieważ nigdy nie byłem nieuczynliwym i współczuję każdemu bliźniemu, czy jest barwy czerwonej, czy białej, więc uroczyste wręcę Czarnemu Mustangowi te dwa warkocze jako odszkodowanie.

— No, to mi się podoba! Jaka złość ogarnie Mustanga! Coś takiego potrafi wymyślić tylko Old Shatterhand.

— Co do tego, mylicie się, niestety. Ja tego nie wymyśliłem.

— Nie? A kto?

— Winnetou.

— Winnetou? Nie wiedziałem o tym.

— Ale widzieliście jego znak.

— Czy rzeczywiście chodziło mu wtedy o Czarnego Mustanga?

— Tak, oczywiście! My rozumiemy siebie bez słów. Czy mój czerwony brat przyznaje mi słuszność?

Old Shatterhand zwracając się z tym pytaniem do Apacza zwinął oba warkocze i schował je. Winnetou zaś odpowiedział:

— Mój brat dokładnie mnie zrozumiał. To będzie największym upokorzeniem dla wodza Komanczów, że z naszych rąk otrzyma te warkocze.

— Być może — zauważył inżynier przeciągłym głosem. — Ale to nie da się tak łatwo zrobić, jak się mówi. Zanim będzie można rozszłościć Mustanga warkoczami, trzeba odeprzeć tutaj jego atak i wziąć go do niewoli. Wy się o to nie troszczycie, ale mnie ogarnia strach na samą myśl o napadzie. Usiądźmy i urządzmy wojenną naradę, moi panowie!

Zsunął razem kilka stołów, żeby i biali robotnicy mieli dość miejsca i zaprosił ich gestem ręki. Wszyscy usiedli, a z nimi także Old Shatterhand i Winnetou, chociaż widać było po nich, że zamierzona narada wojenna nie ma dla nich takiego znaczenia, jak dla inżyniera. Kas także nie okazywał zakłopotania i rzekł do zgromadzonych:

— Kiedy szpaki nie wiedzą, jak w danym wypadku postąpić, siadają zazwyczaj razem na zielonej łące i paplają, zupełnie tak, jak u spadkobierców Timpego.

— Wy, zdaje się, żartujecie z tej poważnej sprawy — odrzekł inżynier tonem obrażonego. — Nie jesteśmy szpakami, ale ludźmi.

— A kto powiedział, że jesteście szpakami?

— Przecież mówił pan o tych ptakach!

— Tak, o szpakach i zielonej łące. Czy siedzimy tu na jakiejś łące?

— Pshaw!

— To pięknie! Ponieważ nie ma tu łąki, więc nie mogłem was uważać za szpaki, sir! Przecież każdemu rozsądnemu człowiekowi wolno się wyrażać czasem za pomocą pięknych obrazów i trafnych przykładów!

— Well! Ponieważ rozumnym człowiekiem nazywa pan chyba samego siebie, więc oczekujemy od pana rozumnych rad!

— Owszem, jakkolwiek zamiast kilku mam tylko jedną, ale, za to obejmującą wszystko.

— To niech pan ją wypowie!

— Zaraz i bardzo chętnie. Oto stawiam wniosek, żebyśmy nie odbywali wielkiej narady wojennej, ale zapytali po prostu Mr Winnetou i Mr Old Shatterhanda, co należy uczynić. To jest jedyna rada, bo my nie wymyślimy nic lepszego.

— Przyznaję to, ale przecież jest dużo punktów do omówienia. Trzeba się zastanowić,

kiedy nastąpi napad, ilu Indian przyjdzie i w jaki sposób na nas uderzą. Zaufać mogę tylko moim białym robotnikom, a widzicie, że jest ich tu mało. Chińczycy nie mają broni, a gdyby nawet ją mieli, to rzuciliby ją na ziemię i pouciekali. Gdybym rozporządzał tyloma białymi co mój kolega w Rocky Ground! On zatrudnia ponad osiemdziesięciu ludzi, a wszyscy są dobrze uzbrojeni. Do robót wybuchowych, którymi on kieruje, nie można zatrudniać Chińczyków.

— Rocky Ground? — zapytał Old Shatterhand. — Czy ta miejscowość nazywa się tak od dawna?

— Nie, my ją tak nazwaliśmy.

— Czy to daleko?

— Nie. Maszyną można się tam dostać w półtorej godziny.

— Hm! Ja znam dość dobrze te strony, a Winnetou jeszcze lepiej. Nie było mnie tu jednak, gdy rozpoczynaliście pracę, więc nie mam pojęcia jak biegnie wasza linia. Czy nie moglibyście mi podać poprzedniej nazwy? Wystarczy nazwa doliny, góry lub rzeki.

— Rocky Ground biegnie u stóp góry, która nie ma angielskiej nazwy. Indianie nazywają ją Ua-pesz. Ale nie wiem, co oznacza ta nazwa.

— Uff! Ua-pesz! — zawołał Winnetou, jak gdyby ta nazwa była bardzo ważna i naprowadziła go na dobrą myśl.

Kiedy wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością, zrobił ręką ruch przeczenia i dodał:

— Niech mój brat Old Shatterhand mówi za mnie. On wie o tym tak dobrze jak ja.

Oczy zebranych zwróciły się na westmana, a on skinął głową uśmiechając się z zadowoleniem i rzekł do inżyniera:

— Nie rozumie pan znaczenia wyrazu Ua-pesz? Określa on to samo, co nazwa nadana przez was: kamienną albo skalistą ziemię. Słyszeliście, że chcemy się udać do Alder Spring. Czy wiecie, gdzie leży to miejsce?

— Nie. Ale sądzę, że jeśli spodziewacie się tam znaleźć jutro wieczorem, to leży o dzień jazdy.

— Tak, o dzień jazdy, ponieważ trzeba ciągle skręcać i przejeżdżać przez doliny i parowy. Wasza kolej jednak niewątpliwie przecina tę przestrzeń w linii prostej, gdyż aby z waszego Rocky Ground dostać się do Alder Spring, potrzeba około trzech godzin. To właśnie bardzo cieszy mnie i Winnetou.

— Czemu was to cieszy, sir?

— Ponieważ uwalnia nas od wszelkiego niepokoju, a zarazem daje nam dużą przewagę czasową w stosunku do Komanczów.

— To rzeczywiście byłoby wspaniale. Ale może mi pan to wytłumaczy bliżej?

— Niech pan najpierw powie, jakie macie połączenie z Rocky Ground?

— Przede wszystkim mamy połączenie telegraficzne, więc w każdej chwili mogę wysłać depeszę.

— To pięknie! A kolej? Czy szyny sięgają aż tam?

— Już od dwóch tygodni. My znajdujemy się tu na końcu tymczasowego węzła kolejowego.

— Jakimi wagonami jeździecie?

— Oczywiście, że nie osobowymi, ale służącymi do przewozu materiału budowlanego.

— Czy macie tutaj takie wagony?

— Cały tuzin.

— I lokomotywę?

— Niestety. Wczoraj wróciła do Rocky Ground.

— A więc tam stoi?

— Tak.

— Na pewno?

— Oczywiście.

— To bądźcie łaskawi zatelegrafować o lokomotywę!

— Co? Jak? Zatelegrafować? — zapytał inżynier.

— Po maszynę? Telegrafować? Po co? Czy nam tutaj potrzebna? — zabrzmiały zewsząd pytania reszty obecnych.

Na to Winnetou rzekł spokojnie, ale stanowczo:

— Niech pan inżynier telegrafuje i nie pyta więcej. Mój brat Old Shatterhand dobrze wie czego chce.

Urzędnik nie sprzeciwiał się więcej i wyszedł, a gdy po kilkunastu minutach powrócił, rzekł:

— Depesza poszła. Przyjąłem przez to na siebie pewną odpowiedzialność, ale spodziewam się, że wybrnę z kłopotu, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego.

Niech pan się nie obawia, sir! Nie spotka was żaden zarzut — uspokoił go Old

Shatterhand.

\* \* \*

— Mogliście mi jednak przedtem powiedzieć, co maszyna ma tutaj robić!

— Nie chciałem tracić czasu, ponieważ trzeba będzie najpierw w niej napalić zanim stamtąd wyruszy.

— Ma pan rację. Właśnie odpowiedziano mi stamtąd. A kto pojedzie od nas?

— Winnetou, ja i nasi dwaj towarzysze ze wszystkimi końmi.

— A z nas nikt?

— Nie.

— Ależ Mr Shatterhand, ja nie mogę wziąć tego na siebie! Nasze lokomotywy i wagony nie są na prywatny użytek.

— Tu bynajmniej nie chodzi o sprawę prywatną, ale o pomoc dla was przeciw Komanczom. Wyjaśnię wam krótko, jak rzeczy miały się zanim tu przyjechaliśmy i jak wyglądają teraz. Nie opieram się na domysłach, ale na pewnikach. My się nie łudzimy, znamy zamiary nieprzyjaciół tak dobrze, jak gdybyśmy sami brali udział w ich naradach. Czarny Mustang postanowił napaść na obóz i wysłał tutaj swojego wnuka pod fałszywym nazwiskiem, aby wyszpiegował, kiedy nadarzy się okazja do napadu. Dzisiaj wieczorem spotkali się tutaj, aby wyznaczyć dzień napadu. Prawdopodobnie nie nastąpiłby tak szybko, gdyby nas tu nie było, a Metys nie został zdemaskowany. Indianie czekali by jeszcze. Ale teraz już wiedzą, że ich przejrzelśmy i wykonają zamiar zanim zdążacie go udaremnić przez założenie fortyfikacji i inne zarządzenia. Jestem nawet pewien, że gdyby nie było przeszkód, napadliby jeszcze dzisiaj.

— Przeszkód? — wtrącił inżynier. — Sądzę, że właśnie dzisiaj jest ich najmniej.

— Dlaczego?

— Co za pytanie! Gdyby Indianie nadeszli tu w tej chwili, bylibyśmy zgubieni!

— Gdyby! Ale nie mogą nadejść, ponieważ ich nie ma. Daję głowę za to, że Czarny Mustang był tutaj tylko z trzema lub czterema wojownikami. Jego obóz znajduje się bardzo, bardzo daleko stąd. Do tego należy dodać to, że wie o naszej obecności. Metys udał się za nim i powiadomił go o tym, co się stało. Wódz zatem nie wątpi, że tej nocy mamy się na baczności. Dowiedział się, że ja i Winnetou wyruszamy do Alder Spring. Pojmanie nas dwóch znaczy dla niego o wiele więcej niż wszystkie wasze łupy. Pojedzie więc tam czym prędzej, aby nas pojmać.

Wydaje mu się to bardzo łatwe, ponieważ ma u siebie naszą broń. Pomyśli sobie, że gdy nas złapie i uwięzi, tym łatwiej powróci tutaj i zabierze sobie długie skalpy chińskie. Nie może tego odwlec, gdyż wie, że przygotowujecie się do obrony. Należy go więc uprzedzić. Ja muszę być przed nimi w Alder Spring razem z Winnetou. Podjedziemy go, policzymy jego wojowników i podsłuchamy, w jaki sposób zamierza działać.

— Ależ, sir — wtrącił inżynier — to ogromnie niebezpieczne! Jeśli was złapie, zginiecie!

— Nie złapie nas! Niech pan będzie o to spokojny! Westmana może zaskoczyć tylko nieznane mu niebezpieczeństwo. To bardzo szczęśliwa okoliczność, że wasz Rocky Ground leży tak blisko Alder Spring. Dostaniemy się tam już nad ranem. Tam urządzimy się tak, że wszystkiemu niepostrzeżenie się przypatrzemy. A dalsze kroki dostosujemy do tego, co usłyszymy.

— Czy odzyskacie swoje strzelby?

— Wątpię.

— Mnie się zdaje, że to powinno być waszym pierwszym zadaniem!

— Naszym pierwszym zadaniem jest przygotowanie was do odparcia napadu. Jeśli to się nam uda, weźmiemy do niewoli Czarnego Mustanga. A razem z nim odzyskamy przecież naszą broń. Jestem pewien, że potrafimy go podsłuchać. Gdyby się okazało, że grozi wam niebezpieczeństwo, czym prędzej pojedziemy do Rocky Ground i sprowadzimy stamtąd wszystkich robotników na przyjęcie Komanczów.

Na te słowa inżynier zerwał się od stołu i zawołał radośnie:

— Do stu piorunów, to znakomita myśl! W takim razie niczego nam nie brakuje, nie mamy żadnego powodu do obaw. Wystrzelamy tych czerwonych łotrów od pierwszego do ostatniego!

— Czy teraz pan się zgadza ze mną?

— Naturalnie! Ma pan słuszność, zupełną słuszność, Mr Shatterhand. Sprawdza się to, co powiedziałem, że panu będziemy zawdzięczać ocalenie.

— Jesteście już uspokojeni co do tego, że skłoniłem was do zażądania maszyny?

— Najzupełniej, sir! Jestem wam nawet niestęchanie wdzięczny za to i postaram się, aby w Rocky Ground przyjęto was odpowiednio.

— Co chce pan zrobić?

— Zatelegrafuję zaraz po waszym odjeździe, że do Rocky Ground przybywają dwaj

najsławniejsi mężowie Zachodu: Old Shatterhand i Winnetou.

— To zupełnie zbyteczne, a nawet niebezpieczne.

— A to dlaczego?

— Po pierwsze: nie jesteśmy znakomitsi ani lepsi od innych ludzi, a po drugie narażacie w ten sposób cały nasz plan na udaremnienie.

— Tego się nie bójcie!

— Lepiej niech nikt nie wie kim jesteśmy i czego chcemy. To dotarłoby do Komanczów.

— Niemożliwe!

— Ja sędzę inaczej!

— Komu wpadłoby na myśl zawiadamić o czymś takim Indian?

— Pamiętajcie o Metysie, który cieszył się waszym całkowitym zaufaniem! Największa ostrożność nigdy nie zawadzi, a zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o bezpieczeństwo tylu ludzi.

— Well! Muszę jednak posłać wiadomość po prostu o tym, że przybędzie czterech pasażerów. Ale to byłoby straszne nieszczęście, gdybyście pomylili się co do dzisiejszej nocy!

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Gdyby tak Komancze nadeszli jeszcze dzisiaj, a was nie byłoby tutaj!

— Nie nadejdą!

— Tak pan sądzi? Przyznaję, że w tych sprawach jest pan tysiąc razy mądrzejszy ode mnie, ale sam pan powiedział przedtem, że nigdy nie można być zanadto ostrożnym.

— Wcale nie przeczę. Czyńcie więc co uważacie za swój obowiązek!

— Dobrze, ale co jest moim obowiązkiem?

— Każcie w różnych miejscach obozu porozpalać ogniska i postawcie tam strażę. Gdyby Komancze znajdowali się w pobliżu, w co bardzo wątpię, zobaczą, że mamy się na baczności i nie odważą się na atak.

— Rzeczywiście, najlepiej będzie, jeśli tak zrobię.

Inżynier oddalił się, aby wydać rozkazy i niebawem zapłonęło sześć wielkich ognisk, które oświetlały cały obóz. Postawił także wartę w domu, aby mu zaraz doniosła, gdyby zadzwonił znajdujący się tam aparat telegraficzny. O śnie nie było mowy. Zawczasu poczyniono przygotowania do jazdy koleją. Dla czterech pasażerów i koni wystarczył jeden obszerny wagon towarowy, w którym ustawiono kilka wygodnych siedzeń. Gdy zabrzmiał sygnał i nadeszła wiadomość, że z Rocky Ground odjechała lokomotywa, do wagonu wprowadzono konie, a dla

ich właściciele ugotowano jeszcze mocnego grogu na pożegnanie. Półtorej godziny później nadjechała lokomotywa, wagon przyczepiono, podróżni pożegnali się, wsiedli, a inżynier wysłał telegram, że w Rocky-Ground mają oczekiwać czterech podróżnych.

Chociaż tor był tylko prowizoryczny, a na dworze panowała zupełna ciemność, krótki pociąg pędził z szybkością pośpiesznego, jak to jest zwyczajem amerykańskim. Przez całą drogę nie wychyliło się ani jedno światło, ponieważ pociąg nie zatrzymywał się nigdzie. Nie można było rozróżnić gór, dolin, prerii ani lasów; zdawało się, że pociąg leci bezustannie nieskończonym tunelem, a czterej podróżni odczuli przyjemne zadowolenie, kiedy wreszcie maszyna odezwała się przeraźliwym gwizdem, a przed nimi wynurzyły się światła celu podróży.

Tu także płonęło kilka ognisk, a przy ich świetle było widać przede wszystkim długi, niski budynek o bardzo szerokim wejściu. O futrynę drzwi opierała się szczupła, średniego wzrostu postać odziana w strój westmana. Nieco bliżej stała druga osoba, która po zatrzymaniu się pociągu przystąpiła do wagonu, odsunęła całkiem na pół otwarte drzwi i rzekła:

— Rocky Ground! Wsiadajcie, panowie! Jestem ciekaw, jakiego rodzaju ludzi mój kolega z Firwood Camp wozi po nocy.

— Zaraz się przekonacie, sir — odrzekł Old Shatterhand. — Przypuszczam oczywiście, że jesteście tutaj urzędnikiem.

— Jestem inżynierem, sir. A pan?

— Usłyszycie nasze nazwiska, gdy będziemy przy ognisku. Czy macie dobre pomieszczenie dla czterech koni?

— Zobaczymy. Na razie wyjdźcie sami!

Spojrzał po kolei wszystkim w oczy, gdy wysiedli z wagonu, a potem mruknął rozczarowany:

— Hm! Sami nieznajomi! A przy tym nawet jeden Indianin! Spodziewałem się kogoś innego.

— Może przełożonych albo kogoś takiego? — zaśmiał się Old Shatterhand. — Milionowych akcjonariuszy, co? Nie bierzcie nam tego za złe, że my, ludzie prości, przerywamy wam nocny spokój! Pojedziemy zaraz dalej, będziecie jeszcze mogli spać.

— Pojedziecie dalej? W takim razie jesteście zapewne myśliwymi albo traperami<sup>[41]</sup>?

— Tak.

— A mój kolega żąda ode mnie, żebym w środku nocy, z powodu...



Nagle przerwano mu. Szczupły człowiek, który stał w drzwiach zbliżył się i powiedział:

— Sam jestem ciekaw, co to za ludzie jeżdżą sobie po nocy przez Dziki Zachód osobnym pociągiem. Jeśli się w taki sposób...

Ale i on zamilkł. Old Shatterhand był odwrócony do niego plecami, ale na dźwięk znajomego głosu podszedł bliżej. Mały człowiek zobaczył jego twarz i wykrzyknął:

— Old Shatterhand, Old Shatterhand!

— Hobble Frank! — rzekł równie zdumiony Old Shatterhand.

— I Winnetou, i Winnetou! — wołał dalej Frank, rozpoznawszy teraz Apacza.

— Uff! — odwzajemnił się wymieniony.

W tym jednym słowie zawierało się wszystko, co poczuł Winnetou z powodu tego niespodziewanego spotkania.

— To wy, naprawdę! Old Shatterhand i Winnetou! — powtarzał mały nie posiadając się z radości. — Chodźcie w moje objęcia, do mego serca, panowie! Muszę was zgnieść i udusić! Wszystko mi jedno, czy weźmiecie mi to za złe, czy nie.

Obejmował to jednego, to drugiego i wołał przy tym do urzędnika:

— Popatrzcie, inżynierze, oto dwaj bardzo sławni westmani, o których opowiadałem wam dzisiaj przez cały wieczór. Gdzież ja mogłem przypuszczać, że tak szybko znów ich zobaczę!

Po tych słowach inżynier zmienił swoją postawę wobec przybyłych i rzekł:

— Nie potrzebowałem wcale waszego opowiadania, Mr Frank. Znam tych dżentelmenów już od wielu lat, oczywiście z ich sławy przebiegającej wszystkie stany. Gdybym wiedział, że to ich przywiezie lokomotywa, zgotowałbym im inne przyjęcie. Spieszę obudzić moich wszystkich ludzi.

— Niech pan nie idzie! — przerwał mu Old Shatterhand. — Życzymy sobie, aby nas nie poznano, a dlaczego, wkrótce się pan dowie. Nie zatrzymamy się tu długo, ale po tak niespodziewanym spotkaniu z Frankiem potrwa to około godziny lub więcej zanim odjedziemy. Niech pan powie zatem, czy macie jakieś miejsce na pomieszczenie koni?

— O, Mr Shatterhand, z waszymi końmi postąpię jak z ludźmi, ponieważ wiem, jak szlachetne zwierzęta noszą pana i Winnetou. Zabierzemy je do hali, gdzie, jeśli wolno was prosić, będziecie łaskawie moimi gośćmi.

Ową „halą” był wspomniany już podłużny budynek. Jego oświetlona część tworzyła restaurację dla mieszkańców Rocky Ground. Obok znajdowało się pomieszczenie do

przechowywania wartościowych towarów. Ponieważ było teraz puste, więc wprowadzono tam konie, gdzie były dobrze zabezpieczone na wypadek niebezpieczeństwa.

Gdy przybysze weszli do restauracji, od stołu podniósł się zaspany boardkeeper<sup>[42]</sup>, który nie położył się spać w nadziei, że zarobi coś niecoś od zapowiadanych gości. Z faktu, że wysłano osobny pociąg wnioskował, że będą to dostojni panowie, może nawet kontrolerzy budowy. Teraz ku swojemu rozczarowaniu ujrzał zwykłych westmanów. Nabrał jednak o nich zupełnie innego mniemania, gdy inżynier wymienił ich nazwiska i uzupełnił to zamówieniem.

Jeszcze zanim usiedli Old Shatterhand uznał za stosowne przedstawić Frankowi Hasa i Kasa.

— Kochany Franku — rzekł — niech mi będzie wolno sprawić panu przyjemność. Chciałbym panu przedstawić...

— Stać! Cicho! — przerwał mu mały Sas. — Pan mnie zna, szanowny Mr Shatterhand?

— Oczywiście! — zaśmiał się zapytany.

— A więc niech mi pan zrobi ten zaszczyt i mówi do mnie per „ty”! Dobrze?

Old Shatterhand kiwnął głową w jedną, potem w drugą stronę i zamiast odpowiedzi mruknął tylko „hm!”.

— Hm? — zapytał mały. — Moja prośba pochodzi z serca i nietrudno ją spełnić. Przecież nawet do wielkich panów mówi się „ty!”, więc czemu pan nie mógłby tak mówić do mnie?

— A więc braterstwo, kochany Franku?

— Braterstwo? O nie! Wtedy i ja musiałbym mówić do pana po imieniu, a na to nie zdobyłbym się nigdy! Niech pan wybiera! Jeśli powie pan do mnie „panie”, to ja powiem „ty”, a jeśli pan zwróci się do mnie po imieniu, to ja z całym szacunkiem powiem „pan”. A więc niech pan decyduje! Jak będzie?

— Well! Zgadzam się na twoje życzenie.

— Mówi pan do mnie „ty”?

— Tak, ponieważ wiem, jak to rozumiesz.

— Świetnie! A teraz niech pan łaskawie mówi dalej. Chciał mi pan przedtem zrobić przyjemność.

— No właśnie, ale przerwałeś mi. Przedstawiam ci tych dwóch panów, naszych rodaków.

— Co, naprawdę Niemców?

— Nawet Sasów!

— Czy to możliwe? Sasi? Skąd?

— Oto pan Hasael Beniamin Timpe z Plauen.

— Z Plauen w Voigtland? Cieszy mnie to ogromnie. Plauen przypadło mi do serca, gdyż tam piłem najlepsze piwo w salonie Andersa i jadłem najsmaczniejsze nóżki wieprzowe z knedlami.

— A to jest Kasimir Obadia Timpe, jego kuzyn z Hofu.

— Z Hofu? Hm! Tak, tak! Ale Hof należy właściwie do Bawarii. Zachodzi tu więc geograficzno-ornitologiczna zamiana map. Ale od biedy mogę pana Kasimira Obadię uważać za swego rodaka. Który z nich jest właściwym kuzynem, pierwszy czy drugi?

— Obydwaj, kochany Franku, oczywiście, że obydwaj.

— Obydwaj? Hm, tak! Prawdopodobnie tak będzie. Nie ma chyba więcej ludzi nazywających się Timpe?

Obaj stryjeczni bracia słyszeli już o Hobble-Franku, ale nie przypuszczali, że jest on takim oryginałem. Od razu jednak poczuli do niego sympatię i Kas odpowiedział czym prędzej:

— O, jest jeszcze więcej Timpów, a mianowicie: Rehabeam Zachariasz Timpe, Piotr Micha Timpe, Marek Absalom Timpe, Dawid Machabeusz Timpe, Tobiasz Holofernes Timpe, Józef Habakuk Tim...

— Dość, dość, dość! — krzyczał Frank zatykając sobie uszy. — Jeśli tak dalej pójdzie, dostanę kurczu w łydkach albo wskoczę do pierwszej lepszej wody. Aby wysłuchać takiego spisu nazwisk trzeba mieć nerwy jak kable telegraficzne, a uszy jak słoń. Timpe, Timpe i jeszcze raz Timpe! A do tego te imiona! Powiedzcie, panowie, jakich mieliście właściwie stryjów, ciocie, rodziców chrzestnych, że nadali wam takie imiona?

— Wszyscy nazywali się także Timpe.

— O łaskawe bogi! A teraz przestańcie już, bo jeżeli jeszcze raz powiecie „Timpe”, to was po prostu zastrzelę, by ocalić własne życie! Zróbcie mi tę przyjemność i napiszcie do ministerstwa, żeby przysłali wam inne nazwisko, gdyż inaczej nie będę mógł się z wami przyjaźnić!

— Możemy wam to ułatwić. Przyjaciołom pozwalamy, aby nazywali nas skróconymi imionami, a więc Kas i Has zamiast Kasimir i Hasael. Zgoda?

— To już prędzej. We mnie też będziecie mieli przyjaciela. Usiądźmy teraz i... Ach, cóż to jest?

Pytanie to odnosiło się do pełnych talerzy i butelek ustawionych na stole przez gospodarza, który wskazał na inżyniera, a ten oświadczył, że poczyta to sobie za wielki zaszczyt, jeśli przybyli dżentelmeni zechcą być jego gośćmi. Według amerykańskich zwyczajów odmowa byłaby wielką obrazą, więc musiano przyjąć zaproszenie. Hobble-Frank i bracia Timpowie zabrali się ochoczo do posiłku. Old Shatterhand jadł mało i wypił tylko szklaneczkę wina, a Winnetou całkiem wstrzymał się od napoju. Próbował już wcześniej różnych rodzajów alkoholi, wiedział jednak zbyt dobrze, że „woda ognista” jest najgorszym wrogiem czerwonoskórych, a dodajmy do tego, że także i białych!

Podczas jedzenia rozmawiano o tym i o owym. Old Shatterhand chciał przede wszystkim wiedzieć, czemu zawdzięcza swoje dzisiejsze spotkanie z Frankiem, na co mały Sas mu odpowiedział:

— Widzimy się znowu, ponieważ powodzi mi się jak przepiórcze.

— Szczególne porównanie!

— Wcale nie szczególne! Gdy przepiórcze nie podoba się u nas, niepokoi się i leci za morze. Tak samo i pan nie zatrzymuje się długo w domu. Ilekroć zapuka się do pańskich drzwi, aby pana odwiedzić, okazuje się, że pan już wyleciał. Muszę zatem lecieć za panem, jeśli koniecznie muszę z panem porozmawiać. Miałem do pana małe pretensje, więc wsiadłem na statek w Elbie, aby udać się do pana. Tymczasem w pana domu powiedziano mi, że wyjechał pan, aby się spotkać z Winnetou. Porwała mnie periowa gorączka, zamknąłem swoją willę i popędziłem za panem. Wiedziałem, że u Apaczów Mescalero dowiem się na pewno, gdzie można pana znaleźć. Pojechaliliśmy tak daleko jak się dało przez Arkansas, po czym wzięliśmy konie, aby przez Santa Fe dostać się nad Rio Pecos.

— My? A więc nie jest pan sam?

— Nie. Mój kuzyn Droll był ze mną.

— Pocziwa ciotka Droll? A gdzie on jest teraz? Gdzie go pan zostawił?

— Wcale go nie zostawiłem. Pyta pan gdzie on jest? Leży w łóżku.

— Tutaj?

— Tak.

— Ależ, Franku, dlaczego go nie zbudzisz?

— Ponieważ odrobina snu bardzo mu się przyda. On jest chory.

— Chory? W takim razie muszę go odwiedzić. Choroba na Dzikim Zachodzie jest czymś

zupełnie innym niż w domu. Czy to coś groźnego?

— Nie, ale bolesnego, jak się zdaje.

— Jakież to cierpienie?

— Bardzo osobliwe. Nigdy o takim nie słyszałem i na początku nie chciałem wierzyć.

Droll ma w nogach wyspę Ischię<sup>[43]</sup>.

— Wyspę... Ischię? — zapytał Old Shatterhand. — A co spowodowało chorobę?

— Koń, który nie mógł się odzwyczaić od potykania się.

— Jak to? — zapytał Old Shatterhand poważnie, chociaż z trudem wstrzymywał się od śmiechu.

— Wspomniałem już na początku, że od Arkansas siedzieliśmy na koniach. Moja szkapa, którą mam jeszcze do dzisiaj, była niezła, ale na siwku Drolla nas oszukano. Potykał się jak się patrzy. Musiał się potykać, a gdzie nie było rowu, kamienia lub korzenia na drodze, potykał się o swoje własne nogi.

— Któż kupuje takiego konia?! Jeszcze w dodatku siwka! Wiesz przecież, że żaden doświadczony westman nie jeździ na siwym koniu, ponieważ jasna barwa zdradza go już z daleka przed nieprzyjacielem.

— Wiem o tym dobrze, ale jeśli koniecznie potrzebuje się koni, a są tylko siwe, to co począć? Czy pomalować bydlę atramentem, aby po pierwszym deszczu z karego znów zrobił się siwek?

— Hm, to ciekawe! Jeszcze nigdy nie widziałem większej liczby siwków wystawionych na sprzedaż. Nie pokazują ich wcale z braku chętnych do kupna.

— Potem pomyślałem sobie to samo, ale już było za późno. Przekonaliśmy się, że handlarz miał także ciemne konie, ale schował je przed nami.

— A więc po prostu was oszukano!

— Przepraszam, panie Shatterhand! Hobble Frank nie pozwoli sobie oszukać, gdyż ma na to zbyt dużo rozumu, ale jak pan się domyśli istnienia konia, jeżeli jego ziemski byt unosi się między ścianami zamkniętej stajni? Czy potrafi pan zamienić siwka na czarnego lub brunatnego konia nie przyzwyczajonego do potykania się o własne nogi? A potykała się bestia, temu nie można zaprzeczyć.

— Ja mimo to nie umiem powiązać tego potykania się z Wyspą Ischią. Siwek nie potknął się chyba o tę wyspę!

Frank domyślił się widocznie w tych słowach małej ironii, gdyż spojrzął badawczo na mówiącego. Nie zauważywszy jednak na jego twarzy nic podejrzanego odrzekł:

— To nie. Wyspą był tylko pień drzewa.

— Opowiedz nam o tym!

— To całkiem głupia historia i spadła nagle jak grom z jasnego nieba. Jechaliśmy wśród wysokiej trawy, między zaroślami, wesoło i rześko, nie przeczuwając, że zawistny los w postaci ukrytego w trawie pnia drzewa zawisł nad naszymi głowami. Nagle siwek potknął się przednimi nogami i skoczył ze strachu gwałtownie w bok. Droll, który nie spodziewając się czegoś podobnego siedział całkiem lekko, spadł z siodła w ten sposób, że usiadł na pniu zupełnie jak na krześle. Przy tym dały się słyszeć dwa odgłosy; głośny krzyk i potężny trzask. Krzyk wydał Droll, ale kto trzasnął tak potężnie, Droll czy pniak, tego nie jestem pewien. Sądzę jednak, że Droll, ponieważ, jak się wydaje, nie wszystkie kości ma na swoim miejscu. Nie dość, że był rozbity, to jeszcze co chwilę się przewracał. Nie mógł wstać, chociaż starałem się dźwignąć go z parteru na wyższe piętro. Rozpływał się od westchnień tak, że serdecznie mu współczułem. Wszystkiemu winien był ten przeklęty siwek.

Pocziwy Frank opowiadał to w tak obrazowy sposób, nie po to jednak, aby zabawić swoich przyjaciół. Był pełen współczucia dla swego ciotecznego brata i nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego opowiadanie mogło wywołać raczej śmiech niż litość. Bracia Timpowie nie spuszczała z niego wzroku i widać było, że im się podobał.

— Widzi pan teraz, jaki jest związek między siwką, pniakiem i wyspą Ischią? — zapytał Old Shatterhanda.

— Zaczynam to pojmować — odparł zapytany. — Opowiadaj dalej!

— To co nastąpi jest jeszcze boleśniejsze od tego wszystkiego, co usłyszeliście dotychczas. Zadałem sobie wiele trudu, aby mego Drolla jakoś poskładać w całość, ciągnąłem go i szarpałem za nogi, potrzasałem i popychałem od tyłu i wreszcie zerwał się, ale z bólu, a nie na skutek lepszego samopoczucia. Potem z wysiłkiem wywindowałem go na konia, oczywiście mojego, bo od chwili upadku nie chciał patrzeć na swojego. W ciągu dwóch następnych dni stracił na wadze pięć albo sześć funtów<sup>[44]</sup>, bardzo zmizerniał, oczy straciły blask i zapadły się w oczodoły. Niech pan tylko pomyśli: całe dwa dni! Tyle czasu nam zeszło zanim przybyliśmy do fortu Manners. Nigdy nie zapomnę tych dwóch dni. Te jęki, te wzdychania, te skargi i lamenty! Serce mi pękało, ale dalej dzielnie siedziałem na potykającym się siwku. Bóle wzmagały się do

tego stopnia, że dziękowałem Stwórcy, kiedy ujrzelśmy fort Manners. Tam zabrali się do niego lekarze z bańkami, ciastem gorzycznym i hiszpańskimi muchami pochodzącymi, jak się zdaje, z wyspy Ischii. Biedak musiał nawet pić terpentynę, czego rozsądny człowiek nawet bez choroby nie robi.

— Czy polepszyło mu się? — zapytał Old Shatterhand.

— Z czasem. Po tygodniu mogliśmy pomyśleć o dalszej powolnej jeździe. Wytrzymał aż dotąd, tutaj jednak stwierdził, że musi odpocząć przez kilka dni.

— Od kiedy tu jesteście?

— Od przedwczoraj. Jutro ruszamy dalej.

— Dokąd?

— Do Santa Fe.

— To już słyszałem, ale chodzi mi o to, dokąd najpierw zamierzacie się udać.

— Przez Alder Spring w góry Raton.

— To byłoby wprawdzie słuszne, gdyż wiem, że znacie tę drogę, bo jechaliście nią przedtem ze mną, ale tym razem mogłaby stać się dla was zgubną, a szczególnie jutro. Tam jest niebezpiecznie.

— Czemu?

— Ponieważ Czarny Mustang będzie tam ze sporą gromadą Komanczów. Wpadlibyście prawdopodobnie w jego ręce.

— Czarny Mustang, ten łowca skalpów? — zapytał z przerażeniem inżynier. — Czego on szuka w Alder Spring, tak blisko nas? Czy to ma być skierowane przeciwko nam, Mr Shatterhand?

— Nie. Przeciwno mnie i Winnetou.

— Jak to przeciwko wam? ,

— On wie, że mamy tam przybyć i chce nas pojmać.

— All devils! Co za szczęście, że dowiedzieliście się o tym! Teraz oczywiście zmieniliście zamiar i nie pojedziecie tam?

— Wprost przeciwnie. Pojedziemy tam właśnie dlatego.

— Gdzie wasz rozum, sir? Pędzicie wprost w lwią paszczę!

— Nie szkodzi. Nie zdąży się otworzyć.

— Ależ to zuchwalstwo, do którego nic was nie zmusza!

— Kto wam to powiedział? Musimy się tam udać, a niewykluczone, że i wy tam pojedziecie.

— Ja? Jeśli mam być szczerzy, to powiem wam, że bardzo bym się cieszył, gdybym mógł tym łotrom wlepić w czerwoną skórę kilka funtów prochu, ale nie widzę powodu, żeby się pakować w paszczę lwa.

— Nie musi pan. Chodzi o waszego kolegę i jego ludzi z Firwood Camp.

— O niego? Jak to?

— Komancze postanowili napaść na niego.

— Co? Naprawdę?

— Bez wątpienia. Oto powód, dla którego przybyliśmy do was osobnym pociągiem. Chcemy was prosić o pomoc.

— Damy wam ją chętnie i to w całej rozciągłości. A więc dlatego on zażądał lokomotywy! Mój zacny kolega jest wprawdzie tęgim inżynierem, ale w sprawach z Indianami nie jest bohaterem, a poza tym nie ma żadnego doświadczenia w walce z nimi. Ale może liczyć na mnie i moich ludzi.

— Ilu macie robotników?

— Około dziewięćdziesięciu, samych białych, a wszyscy biją się dobrze i umieją się obchodzić ze strzelbami. Ale może powie mi pan, jak to się stało, że Komancze planują napad?

— Naturalnie, musi się pan o tym dowiedzieć. Słuchajcie zatem! Jeżeli jeszcze potem będziecie gotowi nam pomóc, to przypuszczam, że osiągniemy cel bez rozlewu krwi, przynajmniej z naszej strony.

— Wiem, wiem! Słyszałem już nieraz, że udało się panu dokonać rzeczy, których inni nie mogli załatwić bez krwawych ofiar. Jestem bardzo ciekaw waszego opowiadania.

Inżynier był bardzo energiczny i odważniejszy od swego kolegi w Firwood Camp, a Old Shatterhand spodziewał się znaleźć w nim dzielnego sojusznika. Opisał mu wypadki poprzedniego wieczora, przedstawił wynikające stąd wnioski i wyjawiał swoje zamiary. Kiedy skończył, inżynier zerwał się z miejsca, wyciągnął do niego rękę i rzekł:

— Niech pan przybije! Oddaję pod wasze rozkazy siebie i wszystkich moich ludzi, zaraz lub później, jak wam się podoba!

Frank zaś odpowiedział na to:

— Dzięki Bogu, że się spotkaliśmy. Gdyby to się stało w innym chronologicznym



okresie, mógłbym pokazać temu Ciemnoczarnemu Mustangowi, że pan myśliwy z prerii, Heliogabal Morfeusz Edeward Franke zwany Hobble-Frankiem, znajduje się jeszcze wciąż na czele energiczno-postępowego tępienia łotrów! Trzeba temu dowódcy Komanczów sprawić porządne lanie. Gdy raz mnie porwie złość, to wtedy jestem zły naprawdę. U mnie zawsze jeszcze ma znaczenie kalendarzowa reguła: „veni, vidi<sup>[45]</sup>, mardi<sup>[46]</sup>, midi<sup>[47]</sup>, czyli dla nie rozumiejących po grecku: „przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem we wtorek około południa!”. Teraz idę, aby sprowadzić jeszcze jednego bohatera, którego nie powinno przy tym brakować.

Wstał i zniknął za drzwiami. Wkrótce wrócił w towarzystwie Drolla, po którym było widać przebyte cierpienia. Oczy jednak odzyskały już dawny blask, a sposób poruszania się nie wskazywał, aby jeszcze miał bóle. Bardzo się ucieszył niespodziewanym spotkaniem ze sławnymi westmanami i oświadczył, że bezwarunkowo pojedzie do Alder Spring bez względu na stan swojego zdrowia.

To spowodowało u milczącego dotychczas Winnetou lekki uśmiech i Apacz zadał mu kilka pytań, które dowiodły, że Winnetou posiadał znaczną wiedzę o budowie i chorobach ludzkiego ciała. Okazało się, że Droll miał rzeczywiście ischias i to z powodu upadku z konia. Winnetou wstał, wyjął niewielką skórzaną torebkę, w której nosił rozmaite opatrunki i rzekł ze zwykłym spokojem:

— Niech mój brat Droll zaprowadzi mnie do swojego łóża! Bóle przestaną mu dokuczać już za godzinę.

Wziął go za rękę i wyszli razem. Niebawem obecnych doleciał przeraźliwy krzyk.

— To Droll! — zawołał Hobble-Frank. — Co Winnetou z nim robi? Prawdopodobnie chce mu wyrwać wyspę z nóg, ale powinien to robić sprawiając mniejszy ból i z delikatnością. Muszę pójść do ciotki Droll, bo taki krzyk przecina mi duszę jak piła.

Zerwał się, by wybiec, ale Old Shatterhand powstrzymał go mówiąc:

— Zaczekaj tu, kochany Franku! Winnetou doskonale wie co robi, a na takie właśnie cierpienia Indianie znają środki, o których nasi lekarze nie mają pojęcia.

Jakby na potwierdzenie tych słów wszedł Winnetou i powiedział:

— Nasz brat Droll musiał wytrzymać bardzo silny, ale bardzo krótki ból, aby prędko wyzdrowieć. Teraz wypoczywa, ale za godzinę będzie tak zdrow jak przedtem, zanim w nogę wlała mu słynna wyspa naszego Franka.

Słowa te zawierały małą niewinną ironię pod adresem Franka, który wyczuł ją

natychmiast i odpowiedział:

— Jeśli Winnetou ma zamiar kpić ze mnie, to niech będzie tak dobry i pójdzie do zwrotnika Raka i zobaczy, że ta wyspa leży w pobliżu niego. W moje wiadomości wątpić może każdy, ale ja o to nie dbam. Nie mam zwyczaju się sprzeczać i jeżeli ktoś podważa moje zdanie, otulam się promienną aureolą mojego naukowego milczenia. Howgh!

Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, Frank pograżył się w zadumie.

Po godzinie sprawdziło się twierdzenie Winnetou. Zjawił się bowiem Droll i oświadczył:

— Czy to nie nadzwyczajna rzecz, moi panowie? Czuję się jak nowo narodzony. Nie wiem, co zrobił Winnetou. Czy naciągnął tylko nerwy, czyje całkiem wyrwał, to wszystko jedno. Jestem zdrow jak ryba. Teraz znów mogę dosiąść konia, a Czarny Mustang dowie się, że ciotka Droll potrafi jeszcze czegoś dokonać!

## Rozdział III — NAPAD

Ua-pesz, u której stóp leżała stacja Rocky Ground, była porośnięta gęstym lasem. Wody spływające z tej góry zlewały się na dole w dość szeroki potok, który płynął na południowy wschód, a potem zbaczał na północ. Na tym zakręcie łączył się z nim niniejszy strumyk, wytryskający u stóp innej góry, zwanej już wtedy Corner Top<sup>[48]</sup> i noszącej to miano do dziś.

Wspomniane określenie miało swoją przyczynę, zarówno bowiem Ua-pesz, jak i Corner Top tworzyły narożniki dwóch podłużnych górskich łańcuchów otaczających szeroką i bardzo długą dolinę o tak licznych zakrętach, że inżynierowie kolejowi woleli nie prowadzić linii przez nią, ale przebić między Firwood Camp a Rocky krótszą drogę przez skały. Firwood Camp położone było niedaleko od wejścia do tej doliny i oddzielone od niej tylko poprzecznym pasmem gór.

Przez tę krętą dolinę musieli przejść Komancze, gdyż do Alder Spring nie mieli innej drogi. Źródłisko to, otoczone wysokimi olchami, leżało u stóp Corner Top i tworzyło wspomniany poprzednio mały strumyk, który łączył się z większym na zakręcie. Poza dwiema narożnymi górami dolina zmieniała się w szeroką prerię, przez którą płynęły strumienie połączone w jeden większy potok. Z soczystych traw wychylały się krzaki podobne do pozasuwanych na siebie zasłon i ułatwiające skradanie się nawet największym oddziałom.

Zdarzenia w Firwood Camp i zamiary ludzi biorących udział w wypadkach kazały przewidywać, że dzień dzisiejszy przyniesie ważne i niebezpieczne rzeczy.

Komancze przekonani, że Old Shatterhand i Winnetou pojedą do Alder Spring, ruszyli naprzód, aby tam na nich zaczekać i wziąć ich do niewoli. Aby tego dokonać, musieli się dobrze przygotować i zachować wszelkie środki ostrożności. Wiedzieli bowiem jak trudno było zaskoczyć obu przyjaciół. Należało tak się ukryć w pobliżu źródła, aby nie pozostawić najmniejszego śladu swojej bytności.

Old Shatterhand i Winnetou przypuszczali, że przeciwnicy będą się trzymać lewej strony doliny i wyjadą trochę dalej na prerię, aby potem zawrócić i nadejść z przeciwnej strony. Kto chciał uprzedzić Indian i śledzić ich, musiał jeszcze dalej wyjechać na prerię i zakreślić jeszcze większy łuk. Tak postanowili Old Shatterhand i Winnetou i z tego powodu nie udali się z Rocky Ground wzdłuż Ua-pesz, ale gdy tylko zaczęło świtać, skręcili w lewo i pojechali na sawannę.

Po burzy poprzedniego dnia nastąpił piękny ranek. Promienie słońca zmieniały każdą kroplę rosy wiszącą na trawach lub listkach w brylanty, powietrze było ożywcze, świeże i czyste,

a przyroda roztaczała wokół swoje milczące piękno. Jazda przez taką okolicę i w taki poranek musiała być rozkoszą dla każdego, tylko nie dla westmana zamierzającego podejść Indian. Powtarzające się od czasu do czasu parskanie koni i tętent ich kopyt słyhać było daleko w porannym, rozrzedzonym powietrzu, a na wilgotnej trawie pozostawał trop, który nawet do wieczora było łatwo odczytać. Te okoliczności groziły człowiekowi, który chętnie przebywa na sawannie, wielkim niebezpieczeństwem, a jemu, jak każdemu innemu, życie jest miłsze od wszystkich piękności natury. Toteż łatwo było zrozumieć, że Kas przerwał panujące dotąd milczenie:

— Cudowny poranek dzisiaj, zupełnie jak wtedy u spadkobierców Timpego! Wolałbym jednak, żeby na prerii leżała mgła zamiast tego blasku słonecznego.

Jeźdźcy ustawili się parami. Na przedzie jechał Old Shatterhand i Winnetou, potem Frank z ciotką Droll, a na końcu Kas z kuzynem Hasem. Mały Hobbler nie zapomniał pocziwemu Kasowi uwagi o wyspie Ischii. Gryzło go to jeszcze w tej chwili. Złapał się więc pierwszej sposobności do zadania mu ciosu i powiedział:

— Jest pan widocznie przyjacielem wszelkiego rodzaju mgieł. Czy na wyspie Ischii są one także?

Kas odezwał się na to spokojnie:

— O to musi pan spytać Drolla, on wie to na pewno, bo przecież miał w nogach tę wyspę.

— Ale mgieł nie miał. Rozumie pan? Pochodzi pan z Hofu na granicy bawarskiej. Tam mgły są częste, ale u nas w Moritzburgu powietrze jest zawsze czyste jak kryształ.

— Moritzburg? Słynny zamek myśliwski niedaleko Drezna? Czy to pańska ojczyzna?

— Ojczyzna? Szczególne pytanie! Mąż cieszący się takim satynowanym wykształceniem jak ja, ma ojczyznę na całym świecie. Nie przeczę jednak, że Moritzburg dużo mi zawdzięcza, a to dlatego, że tam po raz pierwszy ujrzałem światło dzienne. Są miejscowości, w których rodzą się tylko wielcy ludzie, a poznaje się je w większej części po tym, że odznaczają się pięknymi myśliwskimi zamkami.

— Hm! — mruknął na to Kas.

— Hmm? Czemu pan tak mamrocze? Czy ma pan jakieś wątpliwości co do tego zamku?

— Owszem, rozumiem wszystko!

— No, a z czym pan się nie zgadza?

— Z tym, że w Moritzburgu rodzą się wielcy ludzie.

— Tak! A może pan się tam urodził?

— Nie.

— A więc! To właśnie jest też niezbitym dowodem, że tylko stamtąd pochodzą wielkości. W Moritzburgu rodzili się elektorowie<sup>[49]</sup>, książęta i królowie, a ja także zacząłem tam moją życiową wędrówkę, ale nie słyszałem, żeby jakiś Timpe postawił tam swój pierwszy krok na świecie. Byłby się zsunął za drugim krokiem i utopił w filharmonijnym zapomnieniu. No, teraz mi lżej, a jeśli chce pan być moim przyjacielem, to niech się pan nie ociera o pięknie zaokrąglone kanty mojej systematycznej osobistości!

Zaspokoiwszy swoją ukrytą złość zrobił się znów serdeczny jak zawsze, oczywiście z tym zastrzeżeniem, żeby nie sprzeciwiano mu się ponownie. Droll odwrócił się w siodle i rzucił braciom Timpe błagalne spojrzenie, którzy je zrozumieli i milczeli.

Jeźdźcy byli już tak daleko za Ua-pesz, że należało się spodziewać, że na tak oddalonej prerii nie spotkają Komanczów. Skręcili więc na południe zamierzając zbliżyć się do Corner Top. Alder Spring leżało po zachodniej stronie góry, a Winnetou i Old Shatterhand jechali tak, że musieli dostać się do niej od wschodu. W ten sposób zapobiegali odkryciu swoich śladów. Corner Top nie był na szczycie pokryty lasem, można więc było z niektórych miejsc rozejrzeć się daleko i zawczasu zauważyć zbliżających się Komanczów.

Wreszcie skończył się łuk w poprzek prerii i westmani dojechali do wschodniego podnóża góry. Znaleźli dobrą kryjówkę, gdzie czterech jeźdźców mogło się ukryć z końmi, podczas gdy Old Shatterhand i Winnetou wspięli się na górę, aby stamtąd czuwać nad doliną.

Spotkanie się czterech ziomeków na Dzikim Zachodzie było rzeczywiście rzadkim wypadkiem. Frank zauważył:

— Zupełnie jak gdyby pozbierały nas razem dzikie gołębie.

— Dlaczego dzikie, a nie domowe? — zapytał Has.

— Nie rozumie pan tego? Bo na Zachodzie nie ma domowych.

— Well! Ma pan rację, kochany panie Franku.

— Ja zawsze mam rację. Pod tym względem niedługo mnie poznacie, podczas gdy co do pozostałych cech mojego charakteru trudno mnie przejrzeć. Człowiek zachowuje swoje zalety wyłącznie dla siebie. Nie można być rozpoznany. Dlatego ja trzymam swoje błyskotliwe myśli w zamkniętej puszcze i tylko ludzie uznawani przeze mnie za inteligentnych mogą doczekać się

tego zaszczytu, że pozwolę im wniknąć w głębię swego rozumu i wynieść stamtąd skarby jak na skrzydłach strzelistej modlitwy. Taka uprzywilejowana i uświęcona godzina nadeszła teraz dla was. Chcecie zapewne wiedzieć, w jaki sposób uporamy się dziś z Komanczami. Jestem skłonny udzielić wam koniecznych wyjaśnień i pozwolić, żebyście zwrócili się do mnie z pytaniami. Mów najpierw ty, kochany kuzynie Drollu.

Droll nie chciał się sprzeciwiać, znając jednak wartość oczekiwanych wyjaśnień, potrząsnął tylko głową i powiedział:

— Czemu ja, kochany Franku? Ja znam ciebie już od dawna i jestem gotów oddać pierwszeństwo tym dwóm panom. Człowiek powinien być uprzejmy.

— Masz słuszość! Znałem pewnego profesora zoologii, który zwykł zawsze tak mawiać: „Uprzejmość jest tym przyzwyczajeniem, którego nie należy się odzwyczajać”. Co powie taki zawodowiec, to zawsze jest oparte na słusznej podstawie. A więc niech Kas powie, czego chcecie się ode mnie dowiedzieć.

— Ja? — zapytał wymieniony. — Czego chcę się od pana dowiedzieć?

— No, tak.

— Nic nie chcę wiedzieć, wcale nic!

— Co? Nic, zupełnie nic? Czy to możliwe? — zapytał Frank w najwyższym zdumieniu.

— Zupełnie nic — odpowiedział Kas.

— A pan, panie Has?

— Także nic — odrzekł zagadnięty.

— Także nic? Naprawdę?

— Wcale nie żartuję.

Na to Frank zrobił taką minę, jakby stało się coś zupełnie niepojętego dla niego, po czym jego twarz przybrała wyraz wątpliwości, a potem gniewu.

— Czy może być coś podobnego? — zawołał. — Czy ktoś już dożył takiej rzeczy? Nic nie chcecie wiedzieć, wcale nic! To niesłychane! Czy rzeczywiście mogą istnieć ludzie, którzy nie potrzebują się nauczyć niczego od myśliwego na prerii i niszczyciela niedźwiedzi, Heliogabala Morfeusza Edewarda Franka? Jesteśmy w zasadzce, aby podsłuchać Indian, zamierzamy podejść ich i zwyciężyć. Zamiar ten można przeprowadzić tylko dzięki obecnej tu mojej indywidualności, a dowiaduję się właśnie, że na ziemi żyją istoty, które sądzą, że niczego ode mnie nie potrzebują! To przechodzi już wszelkie granice, to obala całą moją wiarę w

bliźniego! Okrywam głowę rzymską jedwabną mantylą<sup>[50]</sup> i nie wtrącam się do niczego ani słowem. Ale kiedy nadejdą nasi wrogowie, Komancze, kiedy to będzie znaczyło tyle co „Hannibal ad Boarding-house”<sup>[51]</sup> kiedy padnie na was trwoga i bieda sięgnie swego szczytu, wtedy przyjdziecie prosić mnie o pomoc. Ale wtedy ja podziękuję za ten zaszczyt i zamknę uszy na wasze lamenty, jak się zasuwa drzwi przed położeniem się do łóżka.

Kas potrzęsął głową ze zdziwieniem i rzekł:

— Co to było? Co pan powiedział? Hannibal ad Boarding-houses?

— Tak się właśnie wyraziłem, nie inaczej — odrzekł Frank z oczami i miną pantery gotowej rzucić się na zdobycz.

— To przecież błędne — zauważył Kas. — Tak błędne, że trudno sobie wyobrazić coś gorszego!

Droll dawał Kasowi znaki, aby milczał, ale na próżno, gdyż ten nie znał jeszcze Franka, który już poprzednio był zły, a obecnym sprzeciwianiem się tak został podrażniony, że wybuchnął ze złością na nierozważnego Kasa:

— Co? Jak? Błędne?! Pan chyba nie jest całkiem przytomny?! Światowej sławy Hobbler-Frank miałby mówić coś, co nie tylko jest nieprawdą, ale nawet fałszem, co by się nie zgadzało z wyższą temperaturą nauk? Czy ludzkość słyszała coś tak impertynencko rażącego? Mnie oczywiście takie nieortograficzne wątplenie o mojej niezbitej racji wyprowadzi z olimfatycznego<sup>[52]</sup> spokoju, dlatego pytam pana w najsmętniejszej tonacji h-mol moim głosem bakteriologicznym: co w tym, co powiedziałem, było błędne?

— To zdanie brzmi właściwie „Hannibal ante portas”.

— Tak?

— „Hannibal przed bramami!” To był okrzyk trwogi dawnych Rzymian.

— Fi, jak pan to pięknie umie wygłaszać! I któż wmówił w pana ten idiotyzm?

— O wmawianiu nie ma mowy. Słyszałem to na lekcjach historii.

— Ach, tak? A cóż za pocziwiec opowiadał panu takie historie?

— Nasz nauczyciel.

— Niemiec z Plauen, jak przypuszczam?

— Oczywiście!

— Ten genialny nauczyciel historii powszechnej był więc starożytnym Rzymianinem?

— Nie.

— No, słyszyście! Taki dudek chce wiedzieć, jak mówili dawni Rzymianie!

Gdy w kryjówce toczyła się ta osobliwa rozmowa, Old Shatterhand i Winnetou dostali się na szczyt Corner Top. Znaleźli tam kilka polanek, z których widoczność była doskonała. Jedna z nich, położona na zachodzie, nadawała się szczególnie dla celów obu przyjaciół. Stąd można było objąć wzrokiem całą dolinę, którą mieli przebyć Komancze aż do pierwszego zakrętu, odległego o milę angielską<sup>[53]</sup>. Winnetou usiadł, Old Shatterhand zrobił to samo, nie zamienili przy tym ani słowa. Ci dwaj ludzie nie potrzebowali pytać siebie nawzajem ani objaśniać sobie niczego. Znali się tak dokładnie i tak się rozumieli, że jeden znał lub odgadywał życzenia i postanowienia drugiego zanim one znalazły się na ustach. Często zdarzało się, że jechali cały dzień, przeżyli ważne rzeczy, a nie padło między nimi ani jedno słowo.

Tak było i teraz. Siedzieli obok siebie w milczeniu jedną, dwie, trzy godziny i żaden z nich nie wymówił ani sylaby, chociaż spodziewali się wypadków, w których szło o życie i śmierć. Gdyby ktoś obserwował ich niepostrzeżenie, byłby pewien, że nie sprowadziło ich tu nic innego, jak chęć położenia się i spoczynku. Ani jedno drgnienie ich twarzy, ani jedno spojrzenie nie świadczyło o tym, że cała ich uwaga była zwrócona na zachód, że na całej przestrzeni, jak daleko można było sięgnąć okiem w dolinę, nic nie mogło ujść ich baczności. Obaj bowiem opanowali wielką sztukę — przy dużym napięciu uwagi byli na pozór swobodni. Są jeszcze westmani, którzy tak doskonale panują nad swym ciałem, że dzięki temu ocalili nieraz życie sobie i innym. Nie można było bowiem przejrzeć ich myśli, zamiarów i uczuć. Old Shatterhand na przykład tylko dlatego triumfował tylekroć nad nieprzyjawnymi warunkami lub przeciwnikami, że jak mało kto umiał nadawać swojej twarzy obojętny wyraz nawet, gdy jego życie była zagrożone.

Teraz siedział z Winnetou na trawie. Obaj mieli opuszczone powieki, a ponieważ żaden z nich się nie ruszał, wyglądali tak, jak gdyby spali. Mimo to słyszeli dobrze drozda wyciągającego z ziemi robaka o dwadzieścia kroków za nimi i równie dobrze widzieli sępa, który teraz jak plamka wielkości połowy dłoni, ukazał się na wschodniej stronie nieba.

— Uff! — rzekł Winnetou.

— Well! — potwierdził Old Shatterhand i dodał: — Nadchodzą.

Wbrew tym słowom w pustej jak poprzednio dolinie nie było widać żywej istoty, ale sposób, w jaki sęp poruszał się w powietrzu, zdradzał znawcy, że pod nim niewątpliwie znajdują się istoty, po których spodziewał się łupu. Ptak uniósł się trochę na lewo od zakrętu doliny, ale



potem szybko się do niego zbliżył. Kiedy unosił się nad nim, do doliny wjechał jeździec, stanął na chwilę, aby się jej przypatrzeć, a nie zauważywszy nic podejrzanego, ruszył spokojnie dalej. Za nim pojawili się dwaj jeźdźcy, pięciu, dziesięciu, dwudziestu, czterdziestu, osiemdziesięciu i więcej. Wszystkich widać było dokładnie, chociaż z powodu odległości ich konie nie przewyższały małego psa. Winnetou posiadał doskonały wzrok i mimo tak znacznej odległości rozpoznał jeźdźców i rzekł:

— To są rzeczywiście Komancze.

— Tak — potwierdził Old Shatterhand — Tokwi Kawa jedzie na czele.

— Ten chytry wódz Komanczów wyobraża sobie, że jest bardzo sprytnym wojownikiem, a mimo to popełnia błąd niepojęty zarówno dla mnie, jak i dla mojego brata Old Shatterhanda.

— Well! On utrzymywał pewnego razu, że pod względem roztropności i męstwa nikt nie może się z nim równać. Wiem o czym mój czerwony brat Winnetou myśli. Tokwi Kawa nadciąga z Firwood Camp i jest przekonany, że my wyruszyliśmy stamtąd dziś rano i przybędziemy po nim. Nie zastanowił się nad tym, że przecież musielibyśmy zobaczyć ślady zostawione przez jego wojowników na wilgotnej trawie. Wprawdzie ślepy mógłby ich nie dojrzeć, ale odczułby je dotykiem. Tak bowiem są wyraźne. To jest wprost śmieszne!

Winnetou, po którego poważnej twarzy przemknął teraz lekki uśmiech wywołany na poły pogardą, a na poły litością, dodał:

— I mimo to chce pochwyć Old Shatterhanda i Winnetou! Uff!

— Ty, jako mały chłopiec nie popełniłbyś takiego błędu.

— I ty również, nawet wtedy, kiedy byłeś jeszcze nowicjuszem w tych sprawach. Patrz, nasz domysł się sprawdza. Oni przechodzą na drugą stronę doliny, abyśmy, idąc za nimi, nie przypuścili, że jechali do Corner Top i Alder Spring przeciwko nam.

Komancze jechali przeciwną stroną doliny dopóki nie dostali się na skraj Ua-pesz, ale i tu nie zmienili kierunku, lecz puścili się galopem przez prerię, jak gdyby chcieli dotrzeć do jakiegoś miejsca położonego daleko poza nią.

— Tak jak przewidywaliśmy, jadą okreśną drogą i za jakiś czas zjawią się tutaj — rzekł Old Shatterhand. — Jeden z nas musi zejść i zobaczyć gdzie się ukryją i rozbiją obóz, a drugi pozostanie tu na górze.

Wprawdzie Old Shatterhand nie powiedział, dlaczego ten drugi ma zostać, ale Winnetou odgadł natychmiast, gdyż skinął lekko głową i rzekł:

— Aby zaczekać na Ik Senandę, który chciał oszukać i zdradzić białych mężów. Wczoraj wieczorem wyjechał za Komanczami i nie mógł ich znaleźć z powodu ciemności. Ponieważ jednak zna drogę, to niewątpliwie dziś, kiedy się zrobiło jaśniej, natknął się na ich ślady i niebawem nadjedzie tutaj. Niech mój biały brat zaczeka na niego, a ja zejdę, by się dowiedzieć gdzie Komancze znaleźli kryjówkę.

Tak więc na razie się rozstali. Old Shatterhand nie myślał bynajmniej o niebezpieczeństwie, w jakim znajdował się razem z towarzyszami, gdyż jeśli ktoś codziennie jest na nie narażony, to tak się z nim zżyje, że wcale nie wydaje mu się groźne. Zdarzało się nawet, że czuł się nieswojo, gdy brakło niebezpieczeństwa, a z nim tego dreszczyku emocji i napięcia i uwagi oraz wysiłku fizycznego.

Minęła znowu godzina, potem jeszcze jedna, a oczekiwany wciąż się nie pokazywał, chociaż powinien już dawno tam być. Old Shatterhand nie stracił jednak cierpliwości wiedząc, że sto rozmaitych powodów mogło zatrzymać po drodze zdradzieckiego Metysa. Zobaczył go dopiero po upływie jeszcze pół godziny. Śpieszył tropem Komanczów na prerię. A więc dopiero za godzinę mógł stanąć pod Corner Top. Old Shatterhand opuścił wobec tego swoje stanowisko i jak najszybciej zszedł do towarzyszy. Zastał ich tam, gdzie zostawił, a z nimi Winnetou. Kiedy oznajmił, że widział mieszańca, Apacz zauważył:

— To bardzo się spóźnił. Czy mój brat domyśla się co go zatrzymało?

— Mogło być wiele powodów do opóźnienia jazdy — rzekł Old Shatterhand.

— Kto wie czy nie był do tego zmuszony, czy nie uczynił tego z własnej woli?

— Byłoby mi najprzyjemniej, gdyby po swojej pośpiesznej ucieczce z obozu rozmyślił się i zawrócił, aby nas podsłuchać.

— Co pan mówi? — zapytał Frank usłyszawszy te słowa. — Byłoby panu przyjemnie, gdyby nas podsłuchał?

— Tak.

— Ależ zwracanie na siebie uwagi nieprzyjaciela jest zawsze rzeczą, której trzeba unikać!

— Nie zawsze, a przynajmniej w tym wypadku.

— Tego nie mogę zrozumieć, chociaż mam bardzo bystry rozum, a jeszcze większą zdolność pojmowania. Jeżeli nas podsłuchał, to na przykład wie dobrze, że nie jechaliśmy wcale doliną na koniach, ale koleją.

— Chciałbym właśnie, żeby o tym wiedział.

— Panie Shatterhand, pan jest dzisiaj bardzo tajemniczy! Nasza podróż koleją jest nadzwyczaj ważna, a jeśli zdradzi się coś tak ważnego, to skutki tego nie mogą być dobre!

— Nie troszcz się o to, kochany Franku! Nie uważasz mnie chyba za nierozważnego ani lekkomyślnego?

— O nie, oczywiście, że nie! Taka paskudna myśl nie wkradnie się w moją szczerą przyjaźń. Przecież pan wie, że jest pan moim wzorem, przykładem, moją nicią przewodnią, ideałem pod każdym względem. Przyświeca mi pan na drodze żywota jak latarnia. Jest pan moją gwiazdą przewodnią, za którą podążam jak trzoda owiec za ulubionym pasterzem. A więc niech pan pomyśli, jakiego to wymaga zaufania z mojej strony! Czy wobec tego jest możliwe, żebym uważał pana za lekkomyślnego? To przecież byłoby największą obrazą majestatu, oczywiście, że bardziej mojego niż pańskiego!

— A więc trzymaj sobie ten swój majestat za wszystkie cztery końce i zaufaj mi! Dowiesz się prawdopodobnie wkrótce, że miałem słusność. Ja odejdę razem z Winnetou, aby podsłuchać Komanczów, a wy zostańcie tutaj, zachowujcie się spokojnie i nie opuszczajcie tego miejsca dopóki nie wrócimy.

— A jeżeli pan nie wróci?

— Wrócimy, a przynajmniej jeden z nas. Tego możesz być najzupełniej pewien.

Zwracając się zaś do Winnetou Shatterhand zapytał:

— Czy mój brat wie gdzie znajduje się obóz nieprzyjaciół?

— Tak — odrzekł wódz Apaczów.

— Czy to daleko stąd?

— Nie.

— Czy trudno ich podejść?

— Innym byłoby trudno, ale Old Shatterhandowi i mnie będzie łatwo. Niech mój brat idzie za mną!

Strzelby pożyczone od inżyniera w miejsce swoich odłożyli, aby im nie przeszkadzały w przedsięwzięciu i odeszli. Winnetou prowadził swojego białego przyjaciela przez około dziesięć minut bez szczególnych środków ostrożności przez las. Potem dotarli do miejsca, gdzie nie było już stojących drzew, tylko powalone. Olbrzymy leśne leżały jedne na drugich, wydarte z ziemi z ogromnymi koronami korzeni i potrzaskanymi gałęziami. Spowodowała to trąba powietrzna, jeden z tych huraganów, jakie często zdarzają się na Zachodzie, a szczególnie w jego

południowej części. Huragan, ta nagle zrywająca się burza, przebiega zwykle wąski, ostro odgraniczony pas ziemi i przewraca wszystko, co spotka na drodze. Obszar zniszczenia po takim orkanie, który w Ameryce Środkowej czyni jeszcze większe spustoszenie, nazywa się wiatrołomem.

Między powalonymi i obumarłymi pniami wybijała już wysoko nowa roślinność, tak gęsta, że nawet zwierzętom trudno byłoby przez nią przejść.

— Tędy? — zapytał Old Shatterhand.

Winnetou skinął głową i dodał cicho:

— Tu na lewo jest skała. Na górę się nie dostaniemy. Na prawo rozciąga się preria, na której znajdują się konie Komanczów i tam zobaczyliby nas strażnicy. Po tamtej stronie za pasem wiatrołomu szerokim na dwieście kroków obozują wojownicy. Musimy się więc tam przedostać.

— Czy mój czerwony brat był już w pobliżu obozu?

— Tak. Mój biały brat zobaczy wkrótce dobrze ukrytą ścieżkę, którą musiałem sobie utorować.

— Czy wiesz, gdzie znajduje się wódz?

— Wiem. Może uda się nam zbliżyć do niego na tyle, że usłyszymy o czym będzie mówił.

Winnetou przeszedł kilka kroków brzegiem wiatrołomu, potem położył się na ziemi i wsunął w gęstwinę gałęzi i listowia. Old Shatterhand stawiał kroki dokładnie w jego ślady. Wtedy znowu okazało się, jak niezrównanym człowiekiem był Apacz. Wyciął poprzecznie drogę na szerokość dwóch stóp, poobcinał gałęzie, a pędy przygiął do ziemi. Część pozostawionych górnych części roślin utworzyła rodzaj dachu. W ten sposób ścieżka była niewidoczna. Nie można było posuwać się na wprost, bo droga zbaczała to w prawo, to w lewo, stosownie do trudności, jakie przedstawiał teren i chaos roślinności. Sam Old Shatterhand był zaskoczony wysiłkiem, jaki włożył Winnetou w utorowanie ścieżki. Praca ta wykonana w tak krótkim czasie, była arcydziełem, jakie mogło powstać jedynie w rękach Winnetou.

Wobec takiego ułatwienia przejścia ich noże nie miały już wiele do roboty. Natomiast obaj przyjaciele musieli uważać, aby dach z roślin nad nimi nie poruszył się wcale, bo mógłby zdradzić ich obecność. Spotkali dwa jadowite węże. Jeden uciekł, a drugiego Winnetou zabił nożem. Po pewnym czasie zatrzymał się, odwrócił głowę do towarzysza i wskazał na nos. Old Shatterhand zrozumiał to wezwanie i zaczął powoli, uważnie wciągać powietrze. Doszła go woń

ogniska, potwierdził więc domysł Apacza skinieniem głowy. To był znak, że zbliżali się do miejsca pobytu Komanczów.

Posunęli się jeszcze naprzód, aż tam, gdzie Winnetou wyrąbał ścieżkę o podwójnej szerokości. Apacz skinął na swego towarzysza i szepnął:

— Czy mój brat słyszy, że znajdujemy się całkiem blisko nieprzyjaciół?

— Nie — brzmiała równie cicha odpowiedź.

— Wystarczy odgiąć tych kilka pędów, a zobaczymy Komanczów leżących przed nami.

— Nie słychać jednak żadnego szmeru. Nikt nie rozmawia. Czyżby posnęli?

— Tak, odpoczywają, ponieważ całą noc jechali.

— To prawda. Wódz pewnie jest szczególnie znużony, bo jeszcze wczoraj wieczorem jeździł do Firwood Camp i z powrotem.

— Well! Niech mój brat zobaczy jak blisko niego jesteśmy. Możemy go prawie dosięgnąć ręką.

Winnetou rozsunał nieco pędy zarośli i kazał Old Shatterhandowi popatrzeć przez powstały otwór. Jakże się zdziwił biały strzelec ujrawszy nie dalej niż pięć kroków od siebie Tokwi Kawę leżącego na ziemi! Obaj podsłuchujący znajdowali się na brzegu wiatrołomu, a zarazem na skraju prerii. Gruby, obumarły pień drzewa powalony na ziemię sterczał wśród trawy, która wyrosła po obu jego stronach i tworzyła miękkie łożo, na którym wódz rozciągnął się i zasnął. Nie opodał widać było wojowników śpiących na ziemi. Byli zmęczeni i czuli się bezpiecznie pod osłoną straży postawionych od strony prerii. Wódz zwyczajem wszystkich czerwonoskórych i białych na Zachodzie miał tuż obok siebie nabitą strzelbę, a więc w każdej chwili mógł ją pochwycić. O pień drzewa stał oparty długi i wąski pakunek owinięty kocem Tokwi Kawy i obwiązany troskliwie lassem. Na ten widok oczy Old Shatterhanda zabłyśły, a Winnetou szepnął wskazując na ten przedmiot.

— Czy mój brat wie co jest w tym kocu?

— Oczywiście, to nasze strzelby.

— Wódz śpi i wszyscy inni też. Możemy więc zabrać sobie strzelby!

— Nie, tego nie możemy zrobić!

— Mój brat zawsze powie to, co słuszne. Musimy je zostawić u Komanczów jeszcze na jakiś czas.

— Niestety! Chodzi o to, aby się nie domyślili, że ich odkryliśmy, a zniknięcie strzelb

zdradziłoby nas na pewno.

— Tak, tak, później z pewnością odzyskamy nasze strzelby.

— Oczywiście! Mimo to trudno mi się pogodzić z tą koniecznością. To broń nie tylko cenna, ale wprost niezbędna dla nas i zostawiam ją z największą niechęcią w rękach tego człowieka. Jak łatwo może się z nią coś stać! Coś, czego potem nie da się naprawić! Ciężko mi to przychodzi, naprawdę ciężko, ale tym razem musimy pójść za radą rozumu. A co to za okrzyk?

— To głos któregoś z ludzi stojących na straży — rzekł Winnetou. — Zapewne zwiadowca zbliża się do obozu.

Okrzyk, który usłyszeli Winnetou i Old Shatterhand, powtórzyło kilka głosów. Śpiący pozrywali się z miejsc, podniósł się także wódz. Domysł Apacza potwierdził się: nadeżdżał mieszaniec. Ujrawszy wodza zawrócił konia ku niemu i zsiadł z konia tuż obok niego. Tokwi Kawa zapytał zdziwiony:

— To ty, synu mojej córki! Czy pozwoliłem ci jechać za nami? Nie słysząc na razie odpowiedzi i widząc, że wnuk chce usiąść, dodał:

— Czy nie nakazałem ci pilnować bladych twarzy i zostać tam dopóki my nie nadejdziemy albo nie zjawi się od nas posłaniec?

— Kazałeś — odrzekł zapytany.

— A ty mimo to opuściłeś stanowisko!

— Ponieważ musiałem. Ojciec mojej czerwonej matki sam uzna, że nie mogłem uczynić nic innego.

— Gdybym tego nie uznał, nie wyszłoby ci to na dobre! Na pewno stało się coś ważnego, skoro ośmieliłeś się przybyć tutaj z Firwood Camp.

— Rzeczywiście coś bardzo ważnego.

— I pewnie stało się to zaraz po naszym odjeździe, ponieważ wyruszyłeś wkrótce po nas. Mów! Niech usłyszę twoje usprawiedliwienie.

— Jesteś ojcem mojej matki i znasz mnie od urodzenia. Czy dałem ci kiedyś powód do surowej nagany? Dlaczego przyjmujesz mnie wyrzutami nie przekonawszy się najpierw jaka przyczyna mnie tu sprowadza?

— Ponieważ chodzi tu o największy polów, jaki kiedykolwiek mogliśmy czy będziemy mogli zrobić, chodzi o największych wrogów naszego szczepu, o wodza Apaczów i tę nienawistną bladą twarz, która nazywa się Old Shatterhand.

— Nie pojdziesz ich — odrzekł wnuk z takim samym spokojem jak poprzednio.

— Nie? — wybuchnął wódz. — Dlaczego?

— Ponieważ już ich nie ma.

— Nie ma? Rozumiem, że nie mogą być teraz w Firwood Camp, gdyż rano mieli się wybrać w drogę, aby przybyć tu wieczorem.

— Zapominasz, że już wczoraj wieczorem musiałem opuścić Firwood Camp. Jeśli więc mówię, że ich nie ma, to musieli odjechać wczoraj, a nie dzisiaj.

— Uff! Opuścili Camp już wczoraj?

— Tak.

— Ale dopiero po nas!

— Tak.

— Uff, uff, to trzeba się przygotować, bo mogą pokazać się w każdej chwili!

— Nie pokażą się, bo wcale ich tutaj nie będzie, nie przyjadą tutaj.

— Nie... tutaj? — rzekł przeciągle wódz, widocznie stropiony. — A dokąd jadą?

— Tego nie wiem, ale prawdopodobnie bardzo daleko, gdyż pojechali na wozie ognistego konia. Biali myśliwi czynią to tylko wtedy, jeśli mają przed sobą długą, długą drogę, bo przecież zazwyczaj jeżdżą konno.

— Na koniu ognistym? Czy jesteś tego pewny?

— Sam widziałem.

— I nie pomyliłeś się?

— Nie. Widziałem jak wsiedli do wagonu, a potem koń ognisty odjechał z tym wagonem w największym pośpiechu.

— Uff, uff, uff! Przecież zamierzali udać się tu do Alder Spring! Co ich tak prędko wyгнаło?

— Strach!

— Milcz! Nienawidzę Winnetou i Old Shatterhanda najbardziej jak można, ale wiem, że oni nie znają strachu.

— Tak, oni nie, ale trzeba uwzględnić, że są z nimi dwie blade twarze, nie tak odważne jak oni. Dla tych białych twarzy wyruszyli tak prędko.

— Mówisz o strachu, ale nie wymieniasz kogo oni się tak bardzo bali.

— Ciebie i naszych wojowników.

— Nas? Przecież nic o nas nie wiedzą!

— O was nie, a przynajmniej niedokładnie, ale przypuszczają, że czerwoni wojownicy chcą napaść na obóz.

— Uff, uff! Jak mogli się o tym dowiedzieć? Kto im to zdradził? Może sam byłeś nieostrożny?

Na te słowa wnuk stracił dotychczasowy spokój i odpowiedział gniewnie:

— Nie mów o mnie! Czy widziałeś u mnie kiedykolwiek nieostrożność? Twoja własna nierozwaga zdradziła wszystko i pozbawiła nas wielkiego łupu!

Czarny Mustang zmarszczył gniewnie brwi, położył rękę na głowni noża za pasem i zawołał:

— Chłopcze, nie zapominaj z kim rozmawiasz, bo mój nóż nauczy cię szacunku należnego ojcu twojej matki i najsławniejszemu wodzowi Komanczów! Jak śmiesz mnie, Czarnemu Mustangowi, zarzucać nierozwagę!

— Ponieważ ganisz mnie za błąd, który sam popełniłeś!

— Udowodnij to!

— Powiedz, czy bylibyśmy dzisiaj wieczorem pochwycili Winnetou i Old Shatterhanda gdyby tu przyszli?

— Tak pewnie, jak pewnym jest to, że siedzę tu przy tobie.

— I wszystko co posiadają stałoby się naszą własnością?

— Oczywiście.

— I konie także?

— Tak.

— Czemu nie zaczekałeś do dzisiejszego wieczora? Dlaczego połakomiłeś się wczoraj na ich konie?

— Połakomiłem się wczoraj? — powtórzył powoli wódz, aby sobie uprzytomnić zarzut.

— Co ty o tym wiesz?

— Ja wiem o wszystkim, zwłaszcza od tej chwili, kiedy nieprzyjaciele sądzili, że już uciekłem. Wszystko zapowiadało się dobrze i gdybyście nie poszli do szopy po konie, ale oddalili się czym prędzej, najwięksi i najsławniejsi wrogowie naszego szczepu byliby teraz w drodze, aby wpaść prosto w nasze ręce. Wielka radość zapanowałaby wszędzie, gdzie znajdują się wojownicy Komanczów! Wprawdzie Kita Homasza wysłany przez ciebie do baraku wzbudził



pewną nieufność, ale udało mi się ją rozproszyć, gdyż blade twarze nie mogły nic nam udowodnić. Gdy rozmawialiśmy, nagle przed drzwiami zaparskały konie Winnetou i Old Shatterhanda i wywołały nadzwyczajny ruch. Blade twarze były wprawdzie na tyle mądre, że pozornie uwierzyły w to, że konie wyrwały się z szopy, ale mnie nie zwiodły, ponieważ szopa była zamknięta na zasuwę, a cugle, którymi przywiązano konie, nie były uszkodzone, za to wisiał na nich rzemień, obcy rzemień, którym chciano je zatrzymać. Konie nie uciekły więc same, ale zostały ukradzione. Kto je skradł? Czy zaprzeczysz temu?

— Wódz spojrział przed siebie i ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy; nie powiedział ani „Tak”, ani „Nie”, a jego wnuk mówił dalej:

— Milczeniem przyznajesz mi słusność. Blade twarze naturalnie zaczęły szukać złodziei.

— Ale ich już dawno tam nie było! — wtrącił wódz.

— Czy ślady także znikły? A może sądzisz, że Old Shatterhand i Winnetou nie potrafią wyczytać z twojego tropu więcej, dużo więcej niż sam mógłbyś im powiedzieć? Znaleźli wasze ślady, znaleźli moje i znaleźli ślady Kity Homaszy i natychmiast odgadli nasze porozumienie i nasze zamiary. Chcieli mnie pojmać i zlinczować na miejscu, ale szczęśliwie udało mi się umknąć. Pobiegłem do mojego konia i pogałęm za wami.

— Uff, uff! Czy ta ucieczka była konieczna?

— Tak.

— Nie mogli ci nic udowodnić!

— Ślady były dostatecznym dowodem. Spalili także moje mieszkanie. Czy zrobiliby to wbrew swoim przekonaniom? Wiesz przecież, z jaką surowością blade twarze przestrzegają swoich preriowych praw! Tylko ucieczka mogła mnie ocalić. Gdybym tam został, na pewno by mnie powiesili. Byłem już daleko, kiedy przyszło mi na myśl, żeby potajemnie zawrócić i podsłuchać, czy Winnetou i Old Shatterhand porzucili swój plan jazdy do Alder Spring, bo to było najważniejsze. I dobrze zrobiłem, gdyż widziałem jak razem z końmi wsiedli do wozu ognistego konia i odjechali. Nie przybędą więc do Alder Spring. Kiedy ich już nie było, opuściłem także Firwood Camp i przyjechałem tutaj, aby ci donieść co się stało. I oto jestem, a ty skarć mnie, jeśli masz prawo! Kara, jeśli należy ją wymierzyć, powinna osiągnąć tego, kto kradzieżą koni zniweczył piękny plan Komanczów! Powiedziałem!

Mieszaniec skończył sprawozdanie i czekał na odpowiedź dziadka. Wódz trzymał jakiś

czas głowę spuszczoną, po chwili jednak podniósł ją znowu i rzucił dokoła siebie badawcze spojrzenie chcąc się przekonać, czy nie słyszał tej rozmowy ktoś niepowołany. Wprawdzie wojownicy wywnioskowali z przybycia Metysa, że coś się stało lub zanosilo się na coś ważnego, ale żaden z nich nie ośmielił się zbliżyć do tak poważnego wodza bez jego wezwania. Dzięki temu też nikt nie słyszał wyrzutów, które wnuk i podwładny czynił swemu przodkowi i przelozonemu. Ten drugi odezwał się stłumionym głosem:

— Zabrałem konie z szopy. Iltszi i Hatatitla to tak słynne konie, że mądrość mojego wieku zamieniła się w głupotę młodości. Chciałem i musiałem je dostać natychmiast, nie myśląc o tym, że dziś wieczorem byłyby przecież moją własnością. W twoich żyłach płynie moja krew i dlatego nie powiesz naszym wojownikom jakie skutki pociągnął za sobą ten czyn.

— Będę milczał — oświadczył Metys.

— Czy Old Shatterhand i Winnetou wiedzą ilu nas było wczoraj w Firwood Camp?

— Tak.

— Czy wiedza także kto to był?

— Nie. Są tylko pewni, że byli to nieprzyjacielscy czerwonoskórzy.

— Czy wiedzieli, że zmierzaliśmy napaść na obóz?

— Domyślili się tego.

— U takich ludzi domysł równa się pewności. Czy przewidują datę napadu?

— Nie. Ale muszę ci powiedzieć, że rzucili mi w twarz imieniem Ik Senanda twierdząc, że nie nazywam się Yato Inda.

— Uważają więc ciebie za zdrajcę?

— Tak.

— W takim razie są pewni, że jesteś moim wnukiem i że to ja postanowiłem uderzyć na Firwood Camp. Jak się zachowali wobec utraty swoich strzelb?

— Strzelb? — zawołał zdumiony mieszaniec. — Czy je zgubili?

— Tak.

— Uff, uff, Uff! Gdzie?

— W Firwood Camp. Ja je znalazłem.

— Ty... je... znalazłeś... ty... ty...? Strzelby Old Shatterhanda i Winnetou? — wybuchnął Metys zaskoczony tą wiadomością.

— Ja! — potwierdził Tokwi Kawa z błyszczącymi radością oczami.

— Srebrną rusznicę Winnetou?

— Tak.

— Małą czarodziejską strzelbę Old Shatterhanda?

— Tak.

— I wielką rusznicę na niedźwiedzie?

— Tak.

— Gdzie, gdzie jest ta cenna broń? Mów prędko!

— Tu — odrzekł wódz wskazując na wspomniany pakunek.

— Uff, uff, uff! Dzisiaj Wielki Manitou spogląda na wojowników Komanczów promiennym obliczem! To zdobycz, której będą nam zazdrościć wszystkie szczepy czerwonego narodu! Jak ta niezrównana broń dostała się w twoje ręce?

— Przez złodziei, którzy ją ukradli i musieli oddać mnie.

Czarny Mustang opowiedział przebieg tego wydarzenia, a zaledwie skończył wybuchnął okrzykiem:

— Uff, uff! Nie pomyślałem dotąd o tym! Old Shatterhand i Winnetou odjechali mimo że im zabrano strzelby. Czy to nie dziwne? Czy nie ma w tym jakiegoś podstępu? Oni nie wyrzekną się swojej broni i odważą się na wszystko, żeby ją odzyskać!

Wnuk potrząsnął głową i rzekł:

— Nie odważą się na nic.

— Czemu tak sądzisz?

— Kto ma zdrowy rozum, musi sądzić tak samo. Dzięki czemu te szakale zdobyły taką sławę? Tylko dzięki swoim strzelbom. Czym dokonali swoich czynów? Strzelbami. Właśnie przez tę broń stali się bohaterami, bez nich nie zaczęły nic. Ukradzono im ją, czują więc, że nic już nie mogą zrobić, nie zdołają stawić czoła napadowi na obóz, ale zginą razem z jego mieszkańcami. Dlatego uciekli tak prędko. Teraz już wiem, dlaczego zaniechali jazdy do Alder Spring i tak nagle opuścili Firwood Camp. Nie wątpię, że razem z tą bronią opuściła ich wszelka moc i musieliby ulec w walce z nami. Trwoga wypędziła ich jak najdalej, trwoga przed nami i przed zgubą!

Pewność i zapal młodzieńca porwały także starego.

— Uff, uff! Powiedziałeś prawdę! — przyznał Czarny Mustang.

— Boją się nas i napadu. Uciekli z wyciem jak psy przed batami. Umknęli nam, ale

mamy ich broń. Teraz musimy się udać po skalpy żółtych ludzi. Tam będą o tym mówili, że chcemy napaść na obóz i postarają się o pomoc. Musimy więc szybko wrócić do Firwood Camp, zanim nadejdzie pomoc. Nie ma czasu na wypoczynek. Ponieważ Old Shatterhand i Winnetou dziś nie przybędą, wobec tego nie będziemy czekać, ale wyruszymy natychmiast. Nasze konie są wprawdzie znużone, ale jeżeli dostaniemy się do miejsca zwanego przez blade twarze Birch Hole<sup>[54]</sup> wieczorem, to może konie pod nami nie padną.

— A więc jednak chcesz zaczekać w Birch Hole na chwilę napadu, jak ci przedtem radziłem?

— Żadne miejsce nie nadaje się tak dobrze na przygotowanie napadu, dlatego zaprowadzę tam wojowników, którzy się tam zatrzymają, a ja podejść pod obóz, by się dowiedzieć o jakim czasie najłatwiej go otoczyć, trzeba bowiem tak działać, żeby nie uszła nam ani jedna blada, ani żółta twarz.

— Ja się podejmę zwiadów, bo znam obóz i jego mieszkańców lepiej niż ty.

— Nie, ty wcale z nami nie pojedziesz.

— Nie? — zapytał zdumiony Metys.

— Naturalnie.

— Dlaczego?

— Właśnie dlatego, że cię tam znają, a to mogłoby łatwo nas zdradzić. Ponadto jest jeszcze jeden, ważniejszy powód, a mianowicie te strzelby.

— Jak to strzelby?

— Będziemy wracali przez to miejsce, w którym teraz jesteśmy. Po co więc mam je wlec ze sobą do obozu, a potem znowu z powrotem? Są zbyt cenne, aby tak ryzykować. Być może trzeba będzie walczyć, a w tym wypadku łatwo mógłbym je uszkodzić. Zapewniam cię, że ta broń jest dla mnie więcej warta niż wszystkie skalpy, które spodziewamy się zdobyć w Firwood Camp. Toteż nie chcę jej narażać na niebezpieczeństwo i zostawię ją tutaj dopóki nie powrócimy. Ty zostaniesz przy niej na straży, gdyż nie mam do tego nikogo pewniejszego.

Metysowi pochlebiło widocznie to zaufanie, ale mimo to spróbował się sprzeciwić:

— Chciałbym jednak pojechać z wami ze względu na część łupu, którą mi obiecałeś.

— Otrzymasz ją. Powiedziałem to, a moje słowa mają ważność przysięgi.

— A więc złoto i pieniądze?

— Tak. Przrzekam ci jeszcze raz. Jesteś synem mojej córki i moim jedynym

spadkobiercą. Rozumny człowiek musi myśleć o wszystkim. Prawdopodobnie napad nie będzie niebezpieczny, ale mimo to może mnie dosięgnąć kula lub ostrze noża. Wtedy ty zostałbyś właścicielem tej broni, która łatwo mogłaby wpaść w inne ręce, gdybyś przy niej nie został. Powiedziałem i tak się stanie. Howgh!

Usłyszawszy to Metys nie ociągał się dłużej ze zgodą. Z Kitą Hamaszą, który w obozie nazwał się Juwaruwą, i z innymi wybitnymi wojownikami wódz odbył krótką naradę i odjechał z Komanczami znów w dolinę, którą tu przybył. Jego wnuk, Ik Senanda, został sam przy ukradzionych strzelbach.

Od oddalenia się czerwonoskórych minęło zaledwie kilka chwil. Metys rozsiadł swego konia i przywiązał go do kołka wbitego w ziemię, ale nie mógł dłużej utrzymać swojej ciekawości na wodzy. Rozwiązał lasso, otworzył pakunek i wyjął strzelby, aby nasycić oczy ich widokiem. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą przypatrywali mu się Old Shatterhand i Winnetou, którzy wciąż jeszcze siedzieli w pobliskich zaroślach. Nie mogli nawet marzyć o szczęśliwszym obrocie sprawy. Widzieli, z jaką pożądlivością Metys oglądał broń, jak mu się przy tym iskrzyły oczy, słyszeli okrzyki zachwytu, których nie powstrzymywał sądząc, że w tej odległej okolicy jest zupełnie sam. Okoliczność, że trzymał w rękach trzy najlepsze strzelby Dzikiego Zachodu napełniała go rozkoszą, jakiej sobie przedtem nie wyobrażał.

Jednak jego zachwyty nie mógł trwać nieskończenie. Czekąca go niemiła niespodzianka. Winnetou rozsunął ż lekka gałązki i bezszelestnie przecisnął się między nimi. Old Shatterhand uczynił to z taką samą ostrożnością. Później się wyprostowali. W kilku krokach, których nie zdołało usłyszeć nawet bystre ucho mieszkańca, znaleźli się tuż za nim. W tej właśnie chwili mówił on do siebie z promienną od radości twarzą:

— Tak, to przepyszna srebrna rusznica Apacza. To ciężka strzelba na niedźwiedzie, ważąca tyle co trzy inne, a to niezrównany sztucer Henry'ego, białej grzmiącej ręki, o którym zabobonni Indianie mówią, że jest zaczarowany. Ja to oczywiście wiem lepiej, o wiele lepiej. Czary polegają na tym, co blade twarze nazywają konstrukcją i na wielkiej celności, z jaką Old Shatterhand zwykł wysyłać kule. Nie wypuszczę już z ręki tej strzelby. Nawet Tokwi Kawa nie dostanie jej z powrotem, chociaż jest ojcem mojej matki. Będę się ćwiczył tak długo, dopóki nie będę strzelał z tej zaczarowanej strzelby tak, jak Old Shatterhand, a potem moja sława rozszerzy się jeszcze dalej niż jego!

Nagle usłyszał głos białego myśliwego:

— Nie marz o sławie, ty nędzny zdrajco! Nigdy nie nauczysz się używać tej strzelby!

Metys odwrócił się i znieruchomiał ze strachu, zobaczył bowiem Winnetou i Old Shatterhanda tuż obok siebie. Przerazenie to było w tej chwili tak wielkie, że nie zdobył się na razie na ani jedno słowo i siedział jak skamieniały.

— Tak — powtórzył Old Shatterhand z uśmiechem. — Nigdy nie nauczysz się z niej strzelać, gdyż po pierwsze nie wiesz jak się robi naboje, a po drugie ja przyszedłem właśnie, aby odebrać strzelbę.

Metys w dalszym ciągu wpatrywał się milcząco w białego, a ten mówił:

— Powiadasz, że nie oddałyś nikomu tych strzelb. Czy ty, który jesteś niczym w naszych oczach, naprawdę sobie wyobrażasz, że Winnetou i Old Shatterhand pozwolą sobie ukraść broń i nie odbiorą jej? Czy ty, nędzny robaku, rzeczywiście wpadłeś na tę zuchwałą myśl, że koniem ognistym umknęliśmy ze strachu przed wami? Jeśli tak, to ta myśl była tak bardzo bezsensowna, że nikt nie znajdzie odpowiednich słów, aby dobitnie powiedzieć jak jesteś głupi, jak nieopisanie i bezdennie głupi!

Teraz dopiero w ciele szpiega obudził się ruch. Nie zerwał się jednak, aby spróbować ucieczki. Na to był jeszcze zbyt przerażony. Wstał jednak bardzo powoli, jak ktoś cierpiący na bolesny bezwład w członkach i wykrzykiwał urywane słowa:

— Old... Shatter... hand... i Winne... tou... Rzeczywiście... na... prawdę! To oni... to oni... rzeczywiście!

— Tak, to rzeczywiście my — zaśmiał się dumnie myśliwy patrząc na skrzywioną ze strachu twarz Metysa. — Z twoich rysów wyziera blady lęk. Chciałeś nas pochwycić, a teraz stoisz przed nami jak partacz, który z trwogi nie potrafi nawet wymówić dobrze kilku słów. Ty się jąkasz ze strachu! Wstydz się!

Pogarda przebijająca się w tych słowach przywróciła mieszkańcowi panowanie nad sobą. Cofnął się, trzymając jeszcze w rękach wszystkie trzy strzelby, o krok i odrzekł:

— Co ty sobie myślisz? Ja miałbym się was bać? Mnie ani Old Shatterhand, ani Winnetou nie nastraszy! Chcecie zabrać sobie strzelby? Uff! Spróbujcie!

Mówiąc te słowa błyskawicznie się odwrócił i zaczął uciekać. Konno uciekać nie mógł, ponieważ odwiązanie wierzchowca wymagało czasu. Musiał go więc zostawić i umykać pieszo. Ale oczywiście nie żałował konia, byle tylko ocalić kosztowne strzelby! Pobiegł więc szybko krawędzią pasa wiatrolomu, po czym rzucił się w jego gęstwinę. Liczył na swoje szczęście i

szybkie nogi, które pozwolą mu uciec. Nie wiedział, że to bezskuteczne. Old Shatterhand i Winnetou przypuszczali, że Metys będzie próbował uciekać. Ik Senanda zdążył wykonać zaledwie cztery czy pięć skoków, a już doścignął go Old Shatterhand, a Winnetou nawet przegonił, po czym obaj pochwycili go i zatrzymali. Biały myśliwy wyjął rewolwer, przyłożył go mieszkańcowi do piersi i zagroził tymi słowami:

— Stój! A potem wracaj ze mną! Spróbuj tylko dalej uciekać, a wpakuję ci kulę między zębra! Ty miałbyś nam umknąć? To śmieszne! A więc wyciągaj nogi przed siebie, bo ci pomożemy!

Zaprowadzili go z powrotem na miejsce, gdzie leżała jeszcze jego strzelba, odebrali mu swoją broń i jego nóż i przygnietli go do ziemi. Metys trząśł się z wściekłości, widząc jednak, że wszelki opór mógłby mu tylko zaszkodzić, zgodził się z tym, że na razie najlepiej będzie poddać się i czekać czy nie nadarzy się później jakaś korzystna chwila.

Old Shatterhand włożył w usta dwa palce i wydał przeraźliwy, donośny gwizd, po czym usiadł razem z Winnetou obok pojmanego. Nie mówiąc do niego na początku ani słowa czekali na towarzyszy, dla których gwizd był umówionym znakiem. Hobble-Frank i Droll wiedzieli już z dawniejszych czasów jakie znaczenie miał dla nich ten znak i niebawem nadjechali z braćmi Timpe, okrążając pas wiatrołomu. Domyślili się co się wydarzyło, a kiedy zatrzymali konie, żeby zsiąść, Frank rzekł:

— Och, do licha! To nadzwyczajne! Czerwonoskórzy odeszli, a ten gagatek wprosił się do nas w gości! Dokąd odeszli Indianie i kim jest ten smętny jegomość moi panowie, któremu widocznie tak dobrze przy was?

— Przecież to jest zwiadowca, który chciał Komanczom wydać pod nóż mieszkańców Firwood Camp! — zawołał Kasimir.

— On? Hm! Muszę mu się przypatrzeć z wyższej, ptasiej perspektywy! — rzekł Frank, a obszedłszy go dokoła i obejrzawszy dodał: — A więc to ten gagatek uważał francuskie króliki za śledzie wschodnioindyjskie? Chciał zarzynać Chińczyków, a tymczasem sam zostanie przerobiony na kiełbaski. Usiądźcie sobie, koledzy i otwórzcie uszy! Pan Shatterhand powie nam łaskawie co, jak, dlaczego, po co i jeszcze więcej.

Usiedli, a biały myśliwy wyjaśnił im w krótkich słowach cały przebieg zdarzenia.

— Milutki młodzieniec z tego człowieka, to można śmiało powiedzieć — rzekł Hobble-Frank. — Jeśli tak ni stąd, ni zowąd chciał odziedziczyć strzelby, to powinien zaczekać dopóki

ich właściciele nie otrzepią ziemskiego pyłu ze swych doczesnych stóp i nie oddadzą swego ducha Bogu. Wnoszę, żebyśmy jego pretensje spadkowe tak mu wysmarowali rozczynem gorczycznym, żeby aż krzyczał. Zasłużył chyba na to! Co pan o tym myśli, Mr Shatterhand?

Na twarzy westmana nie drgnął ani jeden mięsień. Odpowiedział Hobble-Frankowi:

— Nie ominie go kara, kochany Franku! Poczekaj tylko.

— Pan zawsze tak mówi! Wszystkie pańskie komory sercowe są tak wypchane miłością do ludzi, że nawet najgorszego wroga zaprosiłby pan na obiad! Ale dziś to się panu nie uda. Ja żądam sprawiedliwości; jestem delikatnym aniołem zemsty. U mnie zawsze jest tak: jaki czyn, taka nagroda, jaki garnek, taka pokrywka, jaka tabakierka, taka tabaka. Domagam się kary dla zbrodniarza, gdyż w gwiazdach od wieków zapisane jest prawo nakazujące wyraźnie: kto nie chce słuchać, musi czuć, a kto nie ma fortepianu, nie może grać! Howgh! Frank powiedział swoje!

Mimo że Frank mówił z całym zapałem, nie zwracano na niego uwagi. Old Shatterhand zwrócił się do jeńca:

— Podaj nam najpierw swoje prawdziwe nazwisko!

Metys odpowiedział z gniewem:

— Czy jestem waszym kolegą, sir, że pozwalacie sobie mówić do mnie przez „ty”?

— Jesteś oszustem i zdrajcą i niewiele wartym człowiekiem.

— Wyzywajcie mnie jak wam się podoba, jestem przecież waszym jeńcem i nie mogę się bronić, ale powiem wam tylko, że jeśli ktoś mówi do mnie „ty”, ja mówię do niego tak samo. Bądźcie więc na to przygotowani!

— Co takiego? Gdyby taki łajdak jak ty odważył się mówić do mnie po imieniu, kazałbym ściągnąć z niego koszulę i tak sumiennie wygarbowałbym mu skórę, że nauczyłyby się poznawać różnicę między mną a sobą! Zapamiętaj to sobie! A teraz podaj swoje prawdziwe nazwisko! Ostrzegam, że nie lubię pytać dwa razy!

Old Shatterhand prawdopodobnie tym razem wykonałby swoją groźbę. Metys widocznie to poczuł, gdyż odpowiedział:

— Już je pan słyszał. Nazywam się Yato Inda, a moja matka należała do plemienia Apaczów Pinal.

— To kłamstwo! Ty jesteś Ik Senanda, wnuk Czarnego Mustanga.

— Udowodnijcie to!



— Takie żądanie to bezczelność, którą wcale nie poprawisz swojego położenia!

— To co wy nazywacie bezczelnością jest tylko moim słusznym prawem. Dlaczego obchodzicie się ze mną jak z wrogiem? Powinniście podać mi powody takiego postępowania. Czy Old Shatterhand, którego nazywają najsprawiedliwszą bladą twarzą, może przystał do rozbójników i zbrodniarzy?

Dobroduszny Kas usłyszawszy te słowa zawołał:

— Czy mam temu łajdakowi dać po głowie!? To niesłychana bezczelność! To jeszcze gorzej niż u nas u spadkobierców Timpego!

Old Shatterhand dał mu znak, aby milczał i oświadczył spokojnym głosem:

— Oczywiście, że każdy oskarżony ma swoje prawa, a ja nie mam zamiaru w niczym ich zmieniać. Dlatego nie będę zwracał uwagi na twoje zuchwalstwo i zapytam cię inaczej: czy jako dozorca Firwood Camp miałeś wobec mieszkańców uczciwe zamiary?

— Tak.

— A dlaczego potajemnie spotykałeś się z Komanczami?

— Udowodnijcie mi, że to robiłem!

— Dlaczego więc uciekłeś, gdy zauważyłeś, że dobrze odczytaliśmy ślady Czarnego Mustanga?

— Ja nie uciekłem.

— A co zrobiłeś?

— Ja wcale nie uciekłem przed wami. Odjechałem, bo chciałem wam pomóc.

— Jestem rzeczywiście ciekawy co spowodowało u ciebie tę nagłą chęć pomocy.

— Czemu nie powie ci tego twoja bystrość, którą tak bardzo wysławiają? Widziałem obce ślady tak dobrze jak wy i słyszałem wasze podejrzenie. Byliście tylko gośćmi w obozie, na was nie ciążyły żadne obowiązki. Ja natomiast miałem pilnować bezpieczeństwa mieszkańców. Dlatego, kiedy nabrałem podejrzeń, poszedłem zaraz, aby wytropić nieprzyjaciół.

— Niezłe to wymyśliłeś, ta wymówka byłaby całkiem wiarygodna, gdybym nie musiał spytać dlaczego znów tak szybko powróciłeś. Czy po to, aby wy badać co się dzieje w obozie?

— Ja nie wróciłem. Ten kto wam to powiedział, był kłamcą.

— W takim razie ty sam jesteś kłamcą.

— Ja? Jak to?

— Bo sam mówiłeś o swoim powrocie.

— Kiedy? Gdzie?

— O tym potem! Odjechałeś więc, aby się dowiedzieć gdzie znajdują się Komancze. Jak mogłeś znaleźć to miejsce w ciemnościach nocy?

— Człowiek, który pyta o takie rzeczy, nie może być westmanem!

— Well! Wysławiasz się bardzo dumnie. Prawdopodobnie jesteś sprytniejszy od nas wszystkich. Uznaję twoją słowną przewagę i rozplątuję się z podziwu nad tobą! Podziwiam ciebie, że dogoniłeś nieprzyjaciół, nawet z nimi rozmawiałeś i nie dałeś się zabić ani nawet pojmać!

— Nie wiem czemu się tak dziwicie, łatwo to wytłumaczyć. Komancze nie wiedzą, że ja po matce pochodzę od ich wrogów, Apaczów Pinal. Starałem się też być z nimi zawsze na dobrej stopie, uważają mnie więc za swojego przyjaciela i przyjęli mnie dzisiaj bardzo przyjaźnie i serdecznie.

— To pięknie! Ale w jaki sposób nasze strzelby dostały się w twoje ręce?

Pytanie to wprowadziło Metysa w zakłopotanie, usiłował to jednak ukryć i odrzekł prędko:

— W tym właśnie tkwi dowód mojej uczciwości i przyjaźni. Wczoraj wieczorem po raz pierwszy ujrzałem waszą broń, przedtem jej nie znałem. Dzisiaj zobaczyłem ją znowu u Komanczów, a Czarny Mustang chwalił się, że ją wam ukraść. Aby wam pomóc w odebraniu waszej własności, ukraść ją znowu tak, żeby tego nie zauważył.

— W takim razie muszę przyznać, że to sztuka, którą nie każdy mógłby się pochwalić. Jesteś, jak się zdaje, uosobieniem rozsądku, a Czarny Mustang, który pozwolił sobie zabrać te trzy strzelby, musi być chyba uosobieniem głupoty. A więc chciałeś je nam odnieść?

— Tak.

— Ale jak to wyjaśnisz, że próbowałeś z nimi uciekać, gdy nas spostrzegłeś?

— Zrobiłem to ze strachu. Pojawiliście się tak nagle, że nie poznałem was od razu.

— Nie poznałeś nas? A przecież nazwałeś nas po imieniu!

Mieszkańcowi trudno było znaleźć na to odpowiedź. Spojrzał przed siebie ponuro i rzekł z dobrze udanym gniewem:

— Nie pytajcie o rzeczy, których widocznie nie rozumiecie! Jeśli człowiek sądzi, że jest samotny i bezpieczny na tym odludziu, a nagle zaskoczą go osoby, których zupełnie nie mógł się w tym miejscu spodziewać, to łatwo zrozumieć, że w pierwszej chwili zachowa się inaczej niż zachowałby się po spokojnym namyśle. Jeśli tego nie rozumiecie, to szkoda mi dla was tracić

słowa!

Owszem, proszę cię, żebyś ich więcej nie tracił, chociaż rozumiemy nie tylko to, ale jeszcze wiele innych rzeczy. Prawdopodobnie myślisz, że pokazaliśmy się tobie zaraz po naszym przybyciu, jesteś jednak w wielkim błędzie. Siedzieliśmy tutaj jeszcze zanim przyjechałeś. Przedtem obserwowaliśmy Czarnego Mustanga, a potem słyszeliśmy każde słowo, które padło między wami. On nazywał cię synem swojej córki, oddał ci nasze strzelby, które niby to jemu ukradłeś, a gdy odjechał, zacząłeś się cieszyć posiadaniem tych strzelb. Mało tego, postanowiłeś już ich nie oddawać ojcu swojej matki. Chciałeś ćwiczyć, aby strzelać nawet lepiej ode mnie. I co ty na to, Ik Senando? Jaką wartość teraz mają twoje tłumaczenia? Czy wciąż wyobrażasz sobie, że oszukasz nas tchórzliwymi kłamstwami? Bo to jest tchórzostwo, nikczemne tchórzostwo, jeśli człowiek ze strachu nie chce podać swojego nazwiska. My jesteśmy przyzwyczajeni do szanowania odwagi. Gdybyś szczerze powiedział kim jesteś, gdybyś śmiało się przyznał, że chciałeś wydać Komanczom mieszkańców Firwood Camp, to okazałbyś się godnym wnukiem Czarnego Mustanga. Wprawdzie uważalibyśmy cię za wroga, ale postępowalibyśmy z tobą jak z nieprzyjacielem godnym szacunku. Natomiast twoje tchórzliwe kłamstwa napętlają nas pogardą. Podobny jesteś nie do mocnego bawołu uderzającego otwarcie rogami w całe stado wilków, ale do nędznego kojota<sup>[55]</sup> napadającego z tyłu na swoją zdobycz, kojota który woli jeść raczej śmierdzącą padlinę niż narazić swoją parszywą skórę na najmniejsze niebezpieczeństwo. Powiedz zatem, Ik Senando, czy jesteś wnukiem Czarnego Mustanga?

— Powtarzam to samo — rzekł Metys z naciskiem — bo niczego innego nie mogę powiedzieć: nie jestem Ik Senandą, ale Yato Indą. Weźcie sobie z powrotem swoje strzelby i puście mnie wolno!

— Powoli, powoli, my boy<sup>[56]</sup>. Ponieważ wciąż jeszcze się wypierasz, więc nie możemy cię uwolnić i postawimy cię przed twoim dziadkiem, aby się przekonać, czy i on jest takim samym nikczemnym tchórzem i czy wyprze się swojego wnuka.

Metysowi zabłyśły oczy.

— Zaprowadzicie mnie do Czarnego Mustanga? — zapytał.

— Tak.

— Well! Spróbujcie czy potraficie!

— Potrafimy, tego możesz być pewny. Ale stanie się to w trochę inny sposób niż ci się wydaje. Chyba znowu nabrałeś otuchy. Żebyś się tylko nie przeliczył! Spodziewasz się, że

Czarny Mustang uwolni cię, ale twój serdeczny grandfather<sup>[57]</sup> nie będzie mógł ci wcale pomóc, gdyż zostanie naszym jeńcem tak jak ty.

Mieszaniec zawołał z gniewem:

— Do tego nie dojdzie! Żadnemu Old Shatterhandowi ani Winnetou nigdy nie uda się pochwycić Czarnego Mustanga, którego sława sięga poza wszystkie góry i doliny!

— Ach, teraz wypadłeś ze swej roli! Ale nie denerwuj się! Chwytałyśmy już lepszych od Czarnego Mustanga, o którym bardzo słusznie powiadasz, że jego sława sięga poza wszystkie góry i doliny. Przechodzi ona jednak widocznie jak powietrze, gdyż tu nie można jej dostrzec.

— Jak moglibyście go schwytać? Przecież nie wiecie wcale dokąd pojechał!

— Powiedziałem ci, że go podsłuchaliśmy. Wrócił do Firwood Camp.

— I wy pojedziecie tam za nim?

— Tak.

— Wy, w szóstkę? Widzieliście chyba wielką liczbę Komanczów, którzy mu towarzyszyli?

— Pshaw! Nie jesteśmy tacy tchórzliwi jak ty. I wcale nie mamy zamiaru ich liczyć, gdyż wszystko nam jedno czy ich dziesięciu, czy stu.

— Nie bądźcie tacy pewni! To są Komancze Naiini, a więc najwaleczniejsi z tego licznego rodu. A nawet jeśli się na to zdecydujecie i pojedziecie za nimi, aby stoczyć z nimi walkę, to i tak ich nie dogonicie. Wyprzedzili was bardzo, tak bardzo, że ich nie dościgniecie. Firwood Camp padnie pod płomieniami!

— Widzisz, teraz okazujesz mniej więcej swoje właściwe oblicze. Ja przyznam ci się do moich zamiarów i powiem ci całkiem uczciwie i szczerze, że daleko prędzej od niego będziemy w Firwood Camp.

— To niemożliwe!

— Przekonamy cię, że nie masz racji!

— Czy wasze konie potrafią latać?

— Tak, my, biali, rzeczywiście mamy takie konie.

Na to zwiadowca wybuchnął szyderczym śmiechem. Old Shatterhand nie rozgniewał się z tego powodu, położył mu tylko ciężko rękę na ramieniu i rzekł z uśmiechem:

— Śmieję się, chłopcze! Ale niebawem skończy się ta radość! Opuścimy przede wszystkim to piękne miejsce, w którym miałeś czekać na swojego dziadka. Zobacysz go

prawdopodobnie znacznie wcześniej niż zamierzałeś. Teraz przywiążemy cię do twojego konia. I nie chciałbym używać siły, żeby cię do tego zmusić.

Metys zaniechał wszelkiego oporu. Na razie nie było żadnych możliwości wydostania się z niewoli. Ale od czego rozum i przebiegłość? Spodziewał się, że jego położenie wkrótce się zmieni.

Był przekonany, że biali udadzą się z nim za tropem Komanczów i skręcą we wspomnianą dolinę. Zdziwił się więc bardzo, kiedy po wyruszeniu zobaczył, że prowadzący pochód Old Shatterhand i Winnetou pojechali w przeciwnym kierunku, nie dokoła Corner Top, ale ku Ua-pesz. Nie mógł zrozumieć powodu takiego okrażenia, zwłaszcza że jechali prawie ciągle cwałem, co wskazywało pośpiech. Dopiero kiedy ujrzał szyny wychylające się z otwartej prerii, które zbaczały ku skalnej dolinie, zaczął się domyślać przyczyny jazdy w tym kierunku. Zaniepokoiło go to bardzo. Zatrwożony wyraz twarzy zwiadowcy zwrócił uwagę Franka, który rzekł do Drolla:

— Mina, jaką ten drab teraz robi, jest dla nas prawdziwym objawieniem, kochany Drollu. Tak mnie to w duchu bawi, że z trudnością powstrzymuję się od głośnego śmiechu. Czy na tobie to także robi takie wrażenie?

— Tak — odparł kuzyn. Rozmawiali obaj po niemiecku, aby Metys nie mógł ich zrozumieć. — Mieszaniec zaraz zobaczy jakiego właściwie konia miał na myśli nasz Old Shatterhand.

— Jakiego konia?

— Konia, który umie pędzić jak huragan. Czy nie słyszałeś jak to mówił?

— Oczywiście, słyszałem. On myślał o lokomotywie, którą niedługo popędzimy do Firwood Camp. Czy przypuszczasz, że będziemy tam wcześniej od Czarnego Mustanga? To byłoby okropne, gdybyśmy nie zdążyli dotrzeć do obozu przed tymi czerwonymi łajdakami!

— Tak, ponieważ zginęliby wszyscy mieszkańcy. Ale ja jestem pewien, że przyjedziemy w samą porę. Old Shatterhand i Winnetou niewątpliwie tak dokładnie obliczyli czas, że obawy są zbyteczne. Przecież pojedziemy zaraz i to tak szybko, jakby goniły nas diabły. Jeszcze nigdy nie pędziłem tak, jak dzisiaj!

— Ja także nie, ale to mi się podoba. To przyjemne uczucie mknąć tak na grzbietach Pegazów<sup>[58]</sup> po ziemskiej Ameryce Północnej. Człowiek doznaje wrażenia jak gdyby przybrał postać ptaka, a ja nawet mam pomiędzy łopatkami poetyczne uczucie, jak gdyby pękła mi tam

skóra, aby zrobić miejsce skrzydłom, albo dwóm jak u ptaków, albo czterem jak u motyli i ciem nocnych. Taka jazda jak ta jest prawdziwym artystycznym uczuciem, ale dla ciebie, mój biedaku, będzie to oczywiście herosowym<sup>[59]</sup> wysiłkiem.

— Dla mnie? A to czemu? Czy może sądzisz, że jeżdżę gorzej niż ty?

— Tego nie twierdzą, ale przed moimi niewidzialnymi oczami unosi się twoja choroba, twoja wyspa Ischia. Pewnie dolegają ci wielkie bóle!

— Wcale nie! Po wyspie nie zostało ani śladu. Nie czuję jej ani z tyłu w krzyżach, ani na dole, ani w nogach.

— To cudownie! Oby tylko nie pokazała się i nie zmartwychwstała w innej stronie ciała! Takie choroby błakają się po żywym ciele podstępnie i anonimowo, jak to się mówi u książąt in cognaco<sup>[60]</sup>. Człowiek wcale o nich nie wie dopóki nagle nie wystąpią w jakimś miejscu, które zresztą wcale się do tego nie nadaje.

— Wcale się tego nie spodziewam. Mam wrażenie, że Winnetou pomógł mi na całe życie. Twoja wyspa nie ma już zamiaru usadowić się we mnie, a to jest mi bardzo na rękę, bo nie chcę już takich bóle, jakie przeszedłem. W ogóle choroba i ciotka Droll nie istniały jeszcze razem jak długo żyję!

Mięgo i poczciwego Altenburczyka nazywano ciotką Droll dlatego, że ubranie, jakie nosił na Zachodzie, podobne było raczej do sukni starej kobiety niż do stroju mężczyzny. Tak się przyzwyczaił do tego imienia, że sam go używał mówiąc o sobie.

Jak widać z rozmowy, jazda ta wyglądała jak jazda par force<sup>[61]</sup>. Tylko na krótko puszczano konie stępa, toteż powrót trwał znacznie krócej niż podróż w tamtą stronę.

Wkrótce dojechali do stacji Rocky Ground, gdzie już ich oczekiwał Mr Swan — przedsiębiorczy inżynier.

— Halloo! — zawołał. — Już z powrotem? I szczęśliwie, jak widzę. Jak poszło? Czy Komanczów...

Urwał na widok skrepowanego zwiadowcy, po czym z widoczną radością mówił dalej:

— All devils! Przecież to jest Yato Inda, mieszany dżentelmen! I związany? To wasz jeniec, sir?

— Tak — potwierdził Old Shatterhand, do którego to pytanie było zwrócone. — Czy macie jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy go przechować, ale takie, żeby nie potrafił stamtąd wyjść na przechadzkę?

— Mam takie miejsce, i to znakomite, sir. Jeśli go tam zakwateruję, nie pomyśli nawet o niedozwolonej wycieczce. Pokażę wam je.

Inżynier miał na myśli studnię, którą właśnie kopano. Mimo dość znacznej głębokości, nie było w niej jeszcze wody. Gdy Metys usłyszał, że ma się tam znaleźć, zaczął protestować, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Nad brzegiem studni zaczął się nawet bronić, żeby go nie związano i nie spuszczone. Wtedy inżynier rzekł do Old Shatterhanda:

— Czy będziemy takie niebezpieczne stworzenie jak ten drab brać przez aksamit i jedwab? On jest wprawdzie waszym jeńcem, ale jego zbrodnia była wymierzona przeciw nam, kolejarzom. Niech pan pozwoli, że wytłumaczę mu pewne rzeczy.

— Róbcie z nim co uważacie za stosowne i dobre — odparł zapytany. — Oddaję go wam i nie chcę się o niego więcej troszczyć, gdyż jego zamiary nie dotyczyły nas. On należy teraz do was, ale postarajcie się, żeby nie wyrządził nam dziś jakiejś szkody!

— O, panie Shatterhand, może pan być najzupełniej pewien, że nie wyjdzie z tej studni dopóki nie dam mu na to wyraźnego rozkazu. A więc przeciągnijcie mu sznur pod ramionami i na dół z nim!

Kiedy zwiadowca ze związanymi nogami i rękami zaczął się znowu szarpać, przywiązano go do podkładu kolejowego i spuszczone do studni po dobrej dawce kijów, która skłoniła go do milczenia i spokoju. Inżynier był o wiele mniejszym filantropem<sup>[62]</sup> niż Old Shatterhand.

W międzyczasie poczynił przygotowania do wyprawy. Robotnicy przejrzeni i nabili broń, lokomotywa mogła ruszyć w każdej chwili, a wagony do jazdy do Firwood Camp oczekiwały pasażerów.

Sześciu westmanów otrzymało doskonały obiad jak na warunki, w jakich się znajdowali. Podczas jedzenia opowiedzieli inżynierowi o wypadkach minionego dnia.

— To udało się lepiej, o wiele lepiej niż sądziłem — rzekł inżynier. Cieszy mnie bardzo, że dostaliśmy w ręce tego łotra Metysa. Nieprędko nadarzy mu się sposobność do takich planów i zamachów! A Indianie rzeczywiście wrócili do Firwood Camp, aby napaść na obóz? Pomożemy im w tym. Cieszę się z tego, ogromnie się cieszę, naprawdę!

— Liczyłem na was i waszych ludzi — zauważył Old Shatterhand — gdyż na tamtejszym inżynierze nie można polegać!

— Święta prawda! On wprawdzie jest moim kolegą, a o koledze należy się wyrażać tylko po koleżeńsku, ale on przypadkowo nazywa się Leveret<sup>[63]</sup>, a jego odwaga, niestety, potwierdza

trafność tego nazwiska. Chińczycy nie wchodzą wcale w rachubę, gdyż na widok pierwszego lepszego Indianina rozbiegną się na cztery wiatry. Taki pan z warkoczem, gdyby dostał flintę do ręki, zrobiłby to samo co karp, od którego żądałoby się odbycia podróży balonem. A tych kilku białych nawet nie zasługuje na wzmiankę.

— To oczywiście smutne, gdyż w takich warunkach tacy ludzie mogą nam tylko zaszkodzić zamiast pomóc. Byłoby najlepiej gdybyśmy całą sprawę wzięli na siebie i gdyby oni nie dowiedzieli się o niczym dopóki nie uporamy się z czerwonoskórymi.

— Bardzo dobrze! Jest nas przeszło dziewięćdziesięciu, sądzę więc, że nie mamy powodu obawiać się Indian.

— Przyznaję panu słuszność! Przypuszczam nawet, że to się da zrobić bez przelania kropli krwi z naszej strony. Ale jak w dziewięćdziesięciu przybędziemy do Firwood-Camp, jeśli nie chcemy pokazać się mieszkańcom? Chyba że pan zatrzyma pociąg jeszcze przed stacją.

— To nam wolno. Kto mi zabroni?

— Dobrze! Ale musi pan przecież donieść o odejściu pociągu.

— Właśnie, ale jeśli dzisiaj raz tego nie uczynię, to nie zrobi się z tego powodu dziura w niebie.

— Czy znacie Birch Hole, dokąd Czarny Mustang postanowił zaprowadzić swoich ludzi?

— Jak własną kieszeń, sir. Jest to głęboki, skalisty jar wcinający się za Firwood Camp w górę. Głazy wznoszą się ze wszystkich stron prawie pionowo, a na górę jest tylko jedno wejście, w którym stoi stara, bardzo wysoka brzoza. Od niej właśnie parów uzyskał swoje nazwę.

— Hm! W takim razie to niezbyt sprytne ze strony Czarnego Mustanga, że tam zamierza ukryć swoich ludzi.

— Dlaczego? To dla nich najlepsza kryjówka, a on przecież nie przypuszcza, że znamy jego zamiary. Mnie się więc zdaje, że wybrał zupełnie dobrze.

— Ja sądzę inaczej. Czy można się wspiąć na górę po ścianach parowu?

— W jednym miejscu i to tylko za dnia. W nocy nie radziłbym nikomu, dla kogo kark jest wart choćby ćwierć dolara.

— Dobrze! A czy z wewnątrz można się dostać na krawędź parowu?

Na to inżynier podniósł szybko głowę, popatrzył badawczo na Old Shatterhanda i odpowiedział:

— Ach, sir! Zdaje mi się, że odgaduję pana plan!



— No?

— Chce pan ustawić nas na brzegu parowu, a kiedy Indianie wejdą do niego, po kryjomu obsadzić wejście. Prawda?

— A gdyby tak było?

— W takim razie wasz pomysł byłby znakomity. Jeśli bowiem tak zrobimy, to Indianie wpadną jak myszy do pułapki i będą musieli wychodzić jak one, jeden za drugim i dać się powybierać jak ryby z saka.

— Tak rzeczywiście myślałem. Czy więc wasi ludzie wydostaną się na górę?

— Tak i jeszcze raz tak! Ale czy pan Winnetou zgadza się na ten plan?

Milczący wódz Apaczów nie przemówił dotychczas ani słowa. Miał bowiem zwyczaj, ilekroć trzeba było mówić, zdawać się na Old Shatterhanda. Teraz, gdy wezwano go do wypowiedzenia swego zdania, odrzekł:

— Old Shatterhand i Winnetou w takich sprawach mają zawsze te same myśli. Plan mojego białego brata jest dobry i należy go wykonać jak powiedziano. Howgh!

— Well! — potwierdził inżynier. — Przystaję oczywiście na wszystko. Przybędziemy tam dość wcześnie, aby jeszcze za dnia, zanim nadciągną Indianie, wejść na skały. Ale kiedy się ściemni, będziemy także musieli wiedzieć którądy iść. Czy nie byłoby dobrze postarać się o oświetlenie?

— Oczywiście, to byłoby bardzo wskazane — odrzekł Old Shatterhand. — Jakimi środkami i narzędziami pan dysponuje, Mr Swan? Trzeba je oczywiście stąd zabrać, ponieważ nie możemy niczego zażądać z Firwood Camp, jeśli chcemy, aby tamci nie wiedzieli o naszych krokach.

— Wszystko będzie w najlepszym porządku, Mr Shatterhand. Kiedy musieliśmy zakończyć pewne prace w określonym terminie, często trzeba było pracować w nocy przy świetle pochodni, toteż mamy ich sporo. Mamy także beczki z naftą rozmaitej wielkości.

— Przewóz beczek byłby zbyt uciążliwy, chociaż bardzo by się nam przydało, gdybyśmy w samym wejściu podpalili jedną beczkę. Przez taki płomień żaden Komancz nie mógłby przejść.

— Well! W takim razie poradzimy sobie. Mamy dźwigary, sznury i wszystko, czego potrzeba do przewozu beczek.

— Dobrze! Ale pamiętajcie, żeby wszystko odbyło się bez hałasu i bez pozostawienia wpadających w oko śladów.

— Bądźcie spokojni! Mam tu ludzi, którym mogę zaufać. Sporządzimy prędko pewną ilość lontów. Wyznaczcie mnie na ogniomistrza i starszego inspektora oświetlenia. Zapewniam, że będziecie ze mnie zadowoleni. Czy pan się zgadza?

— Tak. Zarządźcie wszystko i postarajcie się, abyśmy zawczasu przybyli do Birch Hole. Szczegółowe zadania omówimy dopiero po obejrzeniu terenu.

Inżynier szybko i sprawnie rozdzielił pracę pomiędzy swoich ludzi. Dzięki temu można było niebawem odjeżdżać. Konie zostawiono pod bezpiecznym dozorem, a nad studnią, w której siedział Metys, postawiono straż. Następnie odjechał zatłoczony pociąg, o czym nie zatelegrafowano do Firwood Camp. Wszyscy robotnicy kolejowi z radością wzięli udział w wyprawie, a gdy pociąg dojechał do oznaczonego punktu, wszyscy wysiedli bez najmniejszej obawy o wynik całej sprawy albo o siebie. Miejsce, z którego pociąg zawrócił, leżało tak daleko od Firwood Camp, że stamtąd nie można było dostrzec przybyłych. Kolej zataczała tu półkole wokół góry, w którą wcinał się Brzozowy Jar. Uczestnicy wyprawy znajdowali się za tą górą, natomiast Firwood Camp leżało przed nią, a wejście do parowu prowadziło właśnie od strony obozu. Z miejsca, w którym stanął pociąg, dochodziło się w górę pod osłoną lasu na krawędź parowu, co nie stanowiło trudności, ponieważ było jeszcze jasno. Jednak znacznie trudniej było przenieść beczki nie pozostawiając śladów. Przy tym należało je tak schować, żeby nie odkryły ich nosy lub oczy indiańskich wywiadowców.

Do wykonania tego planu ogłosił się Winnetou, który, jak to wszyscy wiedzieli, najlepiej potrafił to wykonać. Od sposobu realizacji zależało prawie wszystko. Old Shatterhand miał zaprowadzić na górę żadnych walki robotników, ustawić ich tam odpowiednio i wydać konieczne zarządzenia.

Po wejściu na górę znaleźli się pod gęsto rosnącymi drzewami. Osłony było zatem aż nadto. Old Shatterhand nappełnił zadowoleniem widok ścian parowu, spadających prostopadle w dół. Jeśli Komancze już wejdą do środka, to o ucieczce nie mogłoby być mowy. Old Shatterhand ustawił ludzi dokoła parowu długiego na pięćset i szerokiego na pięćdziesiąt kroków i dał każdej grupie odpowiednie wskazówki. Przede wszystkim zalecił największą ostrożność i ciszę, zapoznał też ludzi z rozmaitymi znakami i sygnałami, które mogłyby być potrzebne w nocy, a których znaczenie musieli dobrze zapamiętać. Następnie zszedł na dół po stronie położonej od Firwood Camp, aby się spotkać z Apaczem.

Winnetou leżał niedaleko od wejścia za dość gęstym krzakiem i skinął nań, żeby się

zbliżył:

— Mój czerwony brat skończył już widocznie swoją robotę, jeśli odpoczywa tutaj? — zapytał Old Shatterhand.

— Winnetou zrobił już, co do niego należało — brzmiała odpowiedź. — Robotnicy, których zabrał ze sobą inżynier, to ludzie silni i pracowici. Beczki leżą tu całkiem blisko i są tak dobrze schowane, że mój biały brat musiałby dobrze się rozejrzeć, żeby je znaleźć.

— A inżynier?

— Siedzi tam w gąszczu sosnowym z ludźmi, którzy mają nieść beczki. Możesz łatwo się do niego dostać, jeśli chcesz wydać mu jakieś rozkazy na czas mojej nieobecności.

— Jak to? Zamierzasz teraz odejść?

— Niech mój brat zgadnie dokąd!

— Naprzeciw Komanczom, aby mi donieść, kiedy nadejdą.

— Tak. Będą się tak cicho skradali, że dobrze będzie ich przedtem zobaczyć.

— Chodzi także o wodza, który powiedział, że sam postara się podejść do Firwood Camp. Musimy przede wszystkim jego pojmać.

— Winnetou zabrał z Rocky Ground dość rzemieni, aby go związać. Teraz pójdę, gdyż niebawem się ściemni. Old Shatterhand zaczeka na mnie w tym miejscu.

Poderwał się i zniknął za drzewami nie zostawiając po sobie śladu na miękkim mchu. Old Shatterhand położył się na ziemi pod nisko zwisającymi gałęziami, które go zasłaniały. Na razie nie mógł robić nic innego jak tylko spokojnie czekać.

Dokoła zapanowała głęboka cisza, tylko z niezbyt odległego obozu dolatywał czasem jakiś szmer. Mrok już zapadł, choć nie minął jeszcze kwadrans od odejścia Winnetou. Trzeba było na to bystrego i wprawnego oka Old Shatterhanda, aby z miejsca, na którym leżał, rozpoznać jeszcze wejście do parowu. Teraz dopiero należało się spodziewać przybycia Komanczów, którzy byli zbyt ostrożni na to, aby podchodzić pod obóz w dzień. Mógł ich dostrzec jakiś przypadkowy robotnik spacerujący w pobliżu obozu.

Nareszcie tak się ściemniło, że Old Shatterhand widział nie dalej niż na odległość kilku kroków. Tym dalej za to sięgał jego słuch.

Po chwili wydało mu się, jak gdyby ktoś przesuwiał po trawie długie źdźbło słomy. Tysiące ludzi nie dosłyszałyby tego, on jednak zaczął nadśluchiwać ze zdwojoną uwagą.

— To może być tylko Winnetou — pomyślał sobie i rzeczywiście podniosła się o cztery

kroki przed nim postać Apacza, który podszedł bliżej, wsunął się pod krzak i rzekł cicho:

— Nadchodzą.

— Czy wiesz, gdzie zostawili konie?

— Prowadzą je z sobą.

— Cóż za nierozwaga z ich strony! Zasłużyli sobie na kije! Przecież konie powinni zostawić pod strażą dalej niż wynosi odległość stąd do obozu. Jedno zarżenie lub parsknięcie może zdradzić wszystko.

— Ci synowie Komanczów nazywają siebie wprawdzie wojownikami, ale nie są nimi!

Chociaż Winnetou wymówił te słowa cicho, można było jednak wyczuć w nich ton lekceważenia.

— Żeby tyle koni — dodał po chwili — prowadzić do tak małego i wąskiego parowu, tego wcale się nie spodziewałem.

— Nam to na rękę, gdyż konie zwiększą zamieszanie, które tam wywołamy. Słyszałeś? Już jeden koń parsknął!

Zrazu szmer był nieokreślony, ale stawał się coraz wyraźniejszy z każdą chwilą. Był to przygłuszony tętent nóg końskich, które stapały po mchu lub miękkiej trawie.

Komancze nadciągali indiańskim zwyczajem jeden za drugim, a każdy prowadził swego konia za uzdę. U wejścia do parowu zatrzymali się na chwilę. Zdawało się, że kilku weszło do środka, aby zbadać czy wewnątrz jest bezpiecznie. Wkrótce potem dały się słyszeć przytłumione wezwania i kolumna ruszyła gęsiego dalej, wchodząc w jar z powodu ciemności tak powoli, że upłynął prawie kwadrans zanim przeszedł ostatni człowiek.

Old Shatterhand i Winnetou wyskoczyli spod krzaka i podeszli pod krawędź skalną tworzącą jeden blok wejścia. Przeleźli tam zaledwie pięć minut, kiedy znów do ich uszu doszły kroki powrotne. Ukazało się trzech ludzi, którzy stanęli tak blisko przy nich, że jednego rozpoznali od razu. Był to Tokwi Kawa, który dwóm towarzyszom wydał następujące rozkazy:

— Zostaniecie tutaj na straży przy wejściu do parowu i przebijecie nożem każdego, kto by się zjawił. Nasi wojownicy muszą z powodu koni rozniecić kilka ognisk, a gdyby ktoś choć z daleka zobaczył światło, bylibyśmy zdradzeni. Czas napadu jeszcze nie nadszedł, gdyż blade twarze nie są jeszcze pod dachem, gdzie piją wodę ognistą. Ja pójdę teraz do obozu i zakradnę się pod ich mieszkania. Nie zwracajcie uwagi na to, jeśli długo zabawię, gdyż powrócę w chwili, kiedy wszyscy będą musieli umrzeć. Howgh!

Po tych słowach oddalił się powolnym, niedosłyszalnym niemal krokiem. Był oczywiście pewny, że nikt na niego nie patrzy, jednakże nie był sam, gdyż Winnetou i Old Shatterhand szli za nim, schyleni i tak cicho, że nie mógł słyszeć ich kroków.

Nie było to łatwe, bo widzieli najwyżej na odległość pięciu kroków, a nie mogli stracić go z oczu. Sunęli więc za wodzem blisko i byli pewni, że ich nie słyszy. Ilekroć stawał, oni również się zatrzymywali, a gdy potem ruszał dalej, szli także. Stąpali niedosłyszalnie jak pantera. Szli z największą uwagą, od której wiele zależało. Nie mogli dopuścić do tego, aby się potoczył jakiś kamyk lub obłamała gałązka. Mogłoby to zniweczyć cały plan.

Trwało to przez jakiś czas, dopóki nie nabrali pewności, że przekroczyli już odległość, do jakiej dochodzi głos ludzki. Zbliżyli się przy tym tak znacznie do Firwood Camp, że z daleka widzieli oświetlony barak. Teraz nadeszła decydująca chwila. Dłuższe czekanie byłoby nieostrożnością.

— Teraz! — szepnął Old Shatterhand do Apacza.

— Uff! — potwierdził Winnetou równie cicho.

Nastąpiły dwa szybkie skoki, które Komancz musiał usłyszeć. Odwrócił się, ale w tej samej chwili otrzymał od Old Shatterhanda jego słynne uderzenie pięścią w skroń, wskutek czego runął jak kloc bez życia na ziemię. Chciał krzyknąć, ale wydobył z siebie tylko krótkie i ostre westchnienie, które było raczej podobne do uderzenia skrzydłami znużonego ptaka niż do stłumionego wołania o pomoc. W następnej sekundzie klęczał przy nim Winnetou, który najpierw związał mu nogi, a potem, na plecach, ręce. Old Shatterhand natomiast zakneblował wodzowi usta i obwiązał je chustą, żeby nie mógł krzyczeć.

— Wodza już mamy — rzekł do Apacza — a jego ludzi dostaniemy z taką samą łatwością. Ja go zaniosę, ty się nie trudź.

Zarzucił długie, kościste i ciężkie ciało na plecy i poszedł w towarzystwie Winnetou z powrotem w kierunku jaru.

Oczywiście nie poszli wprost do wejścia, ale trzymali się bardziej lewej strony i doszli do sosnowej gęstwiny, pod którą leżał inżynier ze swoim oddziałem. Swan był wprawdzie człowiekiem sprytnym i rozważnym, ale przecież nie był westmanem i na widok dwóch postaci wynurzających się przed nim mógłby popełnić jakąś nieostrożność, gdyby Old Shatterhand nie przygotował go na to stłumionym głosem:

— Niech pan nie robi hałasu, Mr Swan! To my!

— Ach, to wy! Kogo tu niesiecie?

— Czarnego Mustanga — odrzekł zapytany spuszczać jeńca z pleców na ziemię.

— Wodza tych czerwonoskórych łotrów? Thunder storm! To prawdziwa sztuka, jesteście panowie niezrównani. Ale on się nie rusza! Czy nie żyje?

— Owszem, żyje. Moja ręka dotknęła go w głowę trochę niedelikatnie i stracił przytomność.

— Ach, to wasz sławny cios myśliwski, sir! Co zrobimy z wodzem?

— Rozciągniemy go na ziemi i przywiążemy do pnia.

— Ale będzie krzyczał gdy się obudzi!

— Nie będzie, ponieważ jest zakneblowany. A więc skrępcie go mocno i dobrze pilnujcie! My znów musimy się oddalić.

— Dokąd?

— Pojmać jeszcze dwóch czerwonoskórych, którzy stoją u wejścia na straży. Mogliby nam przeszkodzić w wykonaniu planu.

Shatterhand położył się z Winnetou na ziemi i poczołgali się tam, skąd Czarny Mustang wyszedł z parowu. Gdy dostali się do tego miejsca, ujrzeni strażników tak blisko, że można ich było dotknąć ręką. Obaj Komancze rozmawiali ze sobą o mało istotnych sprawach. Toteż Old Shatterhand i Winnetou nie tracili czasu, ale rzucili się na nich natychmiast, aby ich unieszkodliwić. Udało im się to dzięki temu, że tak nagle zaskoczyli czerwonoskórych. Kiedy potem przynieśli ich do inżyniera, ten rzekł:

— Już ich macie? No, nie chciałbym być waszym wrogiem, bo nie robicie sobie wielkiego zachodu z nieprzyjaciółmi. Czy przyniesiecie mi więcej czerwonoskórych?

— Nie — odrzekł Old Shatterhand. — Nie będziemy teraz pracowali en detail<sup>[64]</sup> sprowadzając do was po jednym lub po dwóch, ale en gros<sup>[65]</sup> jak przystało na dobrze wyposażonych kupców. To znaczy, że tamtych wszystkich złowimy naraz.

— Czy już czas na to?

— Tak.

— Dzięki Bogu! Nie jestem squatterem<sup>[66]</sup> ani tropicielem i nie przywykłem do tak długiego leżenia w zieleni. Powiedzcie więc, co mam zrobić najpierw?

— Każcie zanieść beczkę z naftą do wejścia i zapalcie ją tam. Ta pochodnia tak oświeci Komanczów, że szybko będą wiedzieli co będzie z ich napadu!

— Well! Zaraz to zrobimy! Przywiążemy jeszcze tylko tych dwóch czerwonoskórych.

Po chwili inżynier wytoczył przy pomocy swoich ludzi z zarośli beczkę, którą zaniesiono do wejścia i zapalono. Oczywiście nastąpił wybuch, który wyrwał górną pokrywę, ale klepki trzymały się w obręczach tak; że tylko część nafty wylała się na ziemię i płynąc paliła się dalej. Płomień wypełnił szybko cały otwór między skałami i oświetlał nie tylko parów aż do tylnej ściany, ale niewątpliwie był także widoczny po drugiej stronie, w Firwood Camp, gdzie musiano również usłyszeć wybuch.

Eksplozja przypominała huk armatniego wystrzału i wystraszyła Komanczów, którzy siedzieli dotąd spokojnie i w poczuciu bezpieczeństwa. Pytali się wzajemnie co znaczy ten huk, ale zaraz potem ujrzeni buchający w górę płomień. Jasne jak dzień światło, padające na parów, postawiło Indian w położenie włamywacza pracującego w ciemności i nagle oblanego morzem promieni elektrycznego światła. Z początku oniemieli ze strachu, a potem zaczęli krzyczeć, ale tak dziwnie, że trudno było odróżnić czy jest to wycie wojenne, czy wrzaski trwogi. Stłoczyli się blisko ognia, gdzie było jedyne wyjście z doliny, ale płomienie rozlały się już od jednej ściany do drugiej. Równocześnie huknęły strzały do wnętrza, które wprawdzie pochodziły od Old Shatterhanda i nie miały nikogo ugodzić, dowodziły jednak wyraźnie, że ta jedyna droga ucieczki jest zamknięta nie tylko ogniem, ale także przez uzbrojonych nieprzyjaciół!

Czerwonoskórzy cofnęli się więc znów ku tyłowi doliny i zwrócił wzrok na boczne ściany, aby zobaczyć, czy nie dałoby się uciec tamtędy. Nagle ujrzeni coś, co absolutnie nie mogło podzielać na nich uspokajająco. Old Shatterhand nakazał mianowicie wszystkim swoim ludziom zapalić pochodnie gdy tylko ujrzą płonącą beczkę z naftą. Posłuchano tego rozporządzenia, a Indianie spostrzegli dookoła na krawędzi płonące ognie i usłyszeli z góry groźne głosy, które wydawali ludzie na pewno nie usposobieni przyjaźnią! Jeden z tych głosów wybijał się ponad wszystkie inne:

— Hurra, hurra! Beczka płonie na dole! Teraz awantura może się zacząć! Zapalajcie pochodnie, zapalcie je wszystkie! Niech się zrobi jasno jak w Zielone Świątki w poniedziałek o wpół do jedenastej! Oświećcie ich, żeby wreszcie zaświtało im pod skalpami, że mają przed sobą pana Heliogabala Morfeusza Edewarda Franka, z którym niebezpiecznie żartować. Drollu, czy ty widzisz jak biegają i szukają wyjścia? Słyszysz jak hałasują i wrzeszczą! Drollu, Drollu, gdzie jesteś? Gdzie się podziało twoje wszędobylstwo? Gdzie ty właściwie siedzisz?

Po chwili zawołany odpowiedział z drugiej strony:

— Tu jestem, tutaj, bracie Franku! Tu lepiej widać. Jeśli chcesz widzieć wszystko, to chodź tutaj!

— Nie, zostanę tutaj gdzie jestem. Rób tylko zgiełk, porządny zgiełk, żeby konie spłoszyły się na dole i podreptały trochę swoim panom po palcach. Strzelać nam niestety nie wolno, ale rzucaj kamienie, to całkiem pomiesza szyki Komanczom.

Na szczęście Indian grunt składał się z jednolitych, kamiennych płyt. Gdyby tak było osypisko, źle byłoby z nimi. Mimo to znalazły się tu i ówdzie kamienie, które zrzucono nie bez skutku. Ugodziły one bądź ludzi, bądź zwierzęta. Pierwsi krzyczeli z bólu, a konie waliły kopytami, wrywały się i cwałowały w różnych kierunkach, zwiększając jeszcze i tak niemałe już zamieszanie.

Zaledwie upłynęły trzy lub cztery minuty po zapaleniu beczki z naftą, popłoszyły się wszystkie konie Indian i w parowie rozpoczęło się oczekiwane zamieszanie, które trudno było opanować, tym bardziej, że nie było wodza. Niedługo potem nadbiegli mieszkańcy Firwood Camp, aby się dowiedzieć jakim sposobem powstał niespodziewany pożar w nocy. Jednym z pierwszych był inżynier Leveret. Ku swojemu zdziwieniu ujrzał Old Shatterhanda i Winnetou, z którymi obok innych stał jego kolega z Rocky Ground.

— To wy, panowie, to wy? — zapytał całkiem bez tchu. — A tu pali się beczka z naftą! Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że chcemy napędzić strachu napastnikom, Mr Leveret — odrzekł Swan.

— Napastnikom? Jakim napastnikom?

— Komanczom, którzy postanowili na was napaść i pozabijać.

— Heavens<sup>[67]</sup>! Czy to miało się stać już dzisiaj?

— Oczywiście. Ale teraz siedzą w parowie, którego brzegi obsadzili moi robotnicy, a tu wstrzymuje ich ogień.

— Ale jak dostali się do parowu i jak przybyliście ze swoimi ludźmi, Mr Swan?

— W najprostszy sposób na świecie. Oni przyjechali tu konno, a my pociągiem, który specjalnie po to kazałem złożyć.

— A ja nic o tym nie wiedziałem, kompletnie nic! — zawołał zatrwożony człowiek, którego lęk najwidoczniej się zwiększał. — Dlaczego nie zawiadomiliście mnie o tym?

— Ponieważ nie miałem czasu!

— Mogliście zatelegrafować!



— Zaniechałem tego, bo sądziłem, że nie będziemy was potrzebowali i sami zniweczymy zamiary Komanczów.

— Tak... to co... innego, sir! Czy teraz przydałaby się wam nasza pomoc?

— Dziękujemy. Jeśli chcecie popatrzeć, to zostańcie, ale zachowujcie się spokojnie i unikajcie zamieszania!

— Ani mi to w głowie! Jeśli tak ładnie udało się wam wciągnąć Indian w pułapkę, nie chcę uszczuplać waszej sławy i brać ich do niewoli.

— O, co do sławy, to nie należy się mnie, ale Winnetou i Old Shatterhandowi. Zwróćcie się więc do tych dżentelmenów, jeżeli poczujecie żądzę walki i zapragniecie dać Indianom poczuć siłę swoich wypróbowanych pięści.

— Dziękuję, sir, bardzo dziękuję! Jestem inżynierem a nie westmanem i pogromcą czerwonoskórych. Po co miałbym zabijać ludzi, jeśli dotychczas nie zrobili mi nic złego! Nie mogę jeszcze ochłonać ze strachu.

— Ale to właśnie pana miano zaatakować, Mr Leveret! Właściwie powinien pan chwycić za broń!

— Ma pan rację! I uczyniłbym to chętnie, gdyby tylko było trzeba. Ponieważ jednak są już tutaj ci sławni dżentelmeni i pan ze swoimi robotnikami, więc nie rozumiem dlaczego miałbym uszczuplać wasze zasługi. Pomówię zresztą z moimi ludźmi! Tym, którzy zechcą walczyć z Indianami, pozwolę się przyłączyć. Na mnie jednak proszę nie liczyć!

— Well, to żegnajcie! Ale obejdziemy się bez waszych ludzi i nie wolno wam się pokazać z chińskimi właścicielami warkoczy!

— Już dobrze, dobrze! Zaraz tam będę i zakażę im surowo przeszkadzać wam.

Cofnął się zadowolony, że tak tanio wykiął się z obowiązku. Poprzedniego dnia był tak pełen zapału dla bohaterstwa Old Shatterhanda i Winnetou, że można było pomyśleć, że to człowiek energiczny i odważnego charakteru, tymczasem okazało się, że jest tchórzem. Zdarza się często, że ludzie podziwiający innych nie mają wcale tych cech, a nawet odznaczają się przeciwnymi. Inżynier Swan nie uważał nawet za stosowne popatrzeć jak odchodził i rzekł wzruszając ramionami:

— Sprawdza się to, co powiedziałem, panowie: nazywa się tylko Zajązek, a jest potężnym zającem. Takich ludzi w razie niebezpieczeństwa najlepiej trzymać daleko od siebie. Ale słuchajcie, co tam się dzieje?

Pomiędzy Chińczykami powstał gwałtowny ruch, którego celu ani kierunku nie można było na razie rozpoznać. Krzyczeli jeden przez drugiego w swoim języku, posuwali się tam i z powrotem, i w końcu zaczęli się cisnąć na górę. Przy tym wyrywali kije z zarośli i podnosili kamienie, aby zabrać je ze sobą. Indianie mieli szczęście, że Old Shatterhand znał język „Synów Niebios”. W otwartej walce na pewno rozbiegliby się w panice, tu jednak zobaczyli grupę nieprzyjaciół osaczonych i niezdolnych do obrony. To im dodało odwagi, której zresztą nie posiadali wcale. Toteż pchali się na wzgórze jak gdyby chcieli zdobyć je szturmem.

— Niech mój brat idzie czym prędzej za mną! — krzyknął Old Shatterhand do Apacza.

— Ta żółta zgraja cofnie się przed nami, gdy tylko spojrzymy w ich skośne oczy — odrzekł Winnetou odgadując natychmiast zamiar białego przyjaciela.

Przeszli obok ognia, wspięli się po kamieniach i prześcignęli niebawem Chińczyków, którzy okrążali górę wygodniejszym zboczem. Inżynier Swan pozostał ze swoim oddziałem na dole, śledził jednak oczami Old Shatterhanda i Winnetou, przy czym odezwał się do swoich ludzi:

— Żółci chcą zlinczować czerwonych. Zdaje się, że obaj myśliwi zagrodzą im drogę, aby nie dopuścić do rozlewu krwi.

— Oni dwaj przeciwko tylu? — rzekł jeden z robotników. — Chińczyków jest co najmniej sześćdziesięciu.

— Czy sądzicie, że Old Shatterhand albo Winnetou będą ich liczyli? Czy jeden, czy sześćdziesięciu, to we wszystkich jest to samo tchórzostwo umykające przed odwagą. Uważajcie, teraz się zderzą!

Ogień świecił aż na zbocze góry, gdzie obaj westmani zastąpili Chińczykom drogę. Na dole w parowie i na górze zapadła głęboka cisza, gdyż wszyscy rozumieli o co chodziło i byli ciekawi końca tego zajścia. Rozległ się rozkazujący głos Old Shatterhanda, ale Chińczycy nie posłuchali go i pchali się naprzód. Głos jego zabrzmiał powtórnie, lecz tak samo bezskutecznie. Wobec tego obaj z Winnetou wyjęli rewolwery i to poskutkowało, ale tylko na chwilę, bo gromada Chińczyków zatrzymała się. Niebawem jednak tłum z tyłu zaczął napierać na stojących na przedzie. Była to chwila krytyczna. Strzelać naprawdę nie chciał ani jeden, ani drugi, zamierzali tylko zagrozić. Musieli jednak wymóc posłuszeństwo, jeżeli nie miało dojść do zamierzonej rzezi. Obydwaj schowali rewolwery, a co zrobili potem, tego nie można było dostrzec. Słychać było tylko ich głosy i wrzaski Chińczyków, widać było zbitą masę ludzi

przepychających się w różne strony. Zauważono, że kilku żółtych z pierwszego szeregu wyleciało w powietrze i spadło między swoich. To z prawej, to z lewej strony któryś wypadał z grupy i staczał się z góry na dół. Po tych pojedynczych osobach zaczęli spadać parami, potem po trzech i czterech, porywając za sobą innych. Niektórzy wylatywali w górę prosto jak świece, spadali i staczali się w dół. Początkowe okrzyki wściekłości zamieniły się w lament. Słychać było jęki, kłębiącą się na górze grupa ludzi malała z każdą chwilą — ponieważ jej składowe części rozpraszały się nieustannie i staczały po zboczu góry, jak gdyby w jej środku znajdował się niewidzialny, wybuchowy materiał, którego skład chemiczny obliczony był tak, żeby ciałami Chińczyków bawić się jak piłkami. Liczba staczających się w dół powiększała się tym bardziej, im mniej było pozostałych na górze, aż wreszcie ów wybuchowy materiał przybrał postać Old Shatterhanda i Winnetou, którzy znów się ukazali. Dokonali oni ostatniego wysiłku, niemiłego wprawdzie tym, do których się odnosił, ale tym ucieszniejszego dla widzów.

Wyglądało to tak, jak gdyby pomiędzy Chińczyków dostał się olbrzymi kołowrotek i rozpoczął swoją straszliwą działalność, gdyż rozrzucało ich w taki sposób, że niemal tracili przytomność. Wydawało im się niewątpliwie, że nagle ziemia ustępuje im spod nóg, gdyż tracili coraz więcej punktów oparcia. Widać było nogi z boku i w górze, a głowy z boku i na dole, aż wreszcie to wszystko, dosłownie wszystko, zaczęło się suwać, chwiać, spadać, wylatywać, toczyć się tak, że można było stwierdzić zgodnie z prawdą iż lawina Chińczyków obsuwa się do doliny. Spływała najpierw powoli, potem coraz prędzej i prędzej, a gdy spadła całkiem na dół, rozległy się jęki i lamenty w nankinowym i kantonowym narzeczu. Utworzyła się przy tym taka gmatwanina ludzkich członków, że ze strony każdego z synów Państwa Środka potrzeba było znacznego wysiłku i znajomości anatomii, aby pozbierać rozproszone gdzieś na boki części własnego „ja”.

Wszyscy, którzy tylko nosili warkocz, dostali się mniej lub bardziej szybko i zgrabnie na dół, a na górze stali jeszcze dwaj ludzie, którzy stworzyli materiał wybuchowy. Ilu było białych, z tyłu gardeł zabrzmiało „brawo”! Następnie obaj lekko zeszli z góry, jak gdyby dokonana przez nich praca nie była dla nich żadnym wysiłkiem. Gdy stanęli na dole, nie było widać ani jednego Chińczyka — przestraszyli się wyraźnie i poobijani uciekli. Obydwaj twórcy lawiny poszli do inżyniera, Mr Swan zaczął gratulować doskonałego pomysłu i jego wykonania, ale Old Shatterhand przerwał mu ostro:

— Niebezpieczeństwo, które groziło czerwonoskórym jest zażegnane, ale czeka ich

drugie, nie ze strony żółtych, ale białych znajdujących się na górze. Oni bowiem rzucają w dół kamienie, czego dłużej nie zniosę!

— Ależ sir, Komancze to przecież mordercy! Czy was to boli, jeśli któregoś z nich trafi kamyczek?

— Nie, ale z każdym zbrodniarzem, zwłaszcza przed osądzeniem, należy obchodzić się jak z człowiekiem. Kto dręczy zwierzęta, ten nic nie jest wart, ale kto niepotrzebnie zadaje ból ludziom, ten jest wart jeszcze mniej. Według tej maksymy zwykłem postępować, a sądzę, że przynajmniej dopóki pójdziecie za tym przykładem, tak długo ja będę przy was. Wyślijcie więc na górę dwóch ludzi, jednego na prawo, a drugiego na lewo, aby powstrzymali ich od nękania Indian. Niech każdy zachowuje się spokojnie i nie czyni żadnych zaczepnych kroków dopóki ja nie dam do tego znaku!

— Well! Ale czy Indianie zostawią nas potem w spokoju?

— Będą się wystrzegali przedsięwziąć czegokolwiek przed świtem, zwłaszcza że wódz jest w naszej mocy.

— O tym jeszcze nie wiedzą!

— Rozwiążemy obydwóch pojmanych strażników i pošlemy ich do parowu. Czas już także pomówić z Czarnym Mustangiem. Sprowadźcie jego i strażników tutaj, gdzie jest jaśniej i gdzie będzie można im się lepiej przypatrzeć niż w ciemności.

— Czy jeńcom całkiem pozdejmosfera pęta?

— Jeszcze nie teraz, odwiążcie ich tylko od drzew, przyprowadźcie tu i połóżcie na ziemi tak, żeby światło padało im na twarze! Chciałbym widzieć ich dokładnie w chwili, kiedy nas poznają.

— Czy mogę im odpowiedzieć jeśli o coś zapytają, zwłaszcza gdy zrobi to wódz?

— Mówcie tylko ogólnie i nic ważnego. My oddalimy się trochę, a potem niepostrzeżenie podejmiemy z tyłu, aby usłyszeć o czym będzie z wami rozmawiał i co myśli o swoim położeniu.

Inżynier udał się do świerkowej gęstwiny, a Old Shatterhand i Winnetou odeszli kawałek, aby Czarny Mustang nie zobaczył ich od razu. Niebawem przyniesiono go na miejsce i położono tak, jak zalecił Shatterhand. Wódz i strażnicy byli odwróceny i nie mogli widzieć ani Old Shatterhanda, ani Winnetou. Obaj zbliżyli się powolnym krokiem na taką odległość, żeby móc słyszeć dokładnie o czym jeńcy będą mówili.

Inżynier stał przed nimi w milczeniu i przyglądał się im badawczo. Wodza gniewało to spojrzenie, zwłaszcza że był on bardzo dumny i uważał siebie za najsłynniejszego wojownika Komanczów. Pogarda bijąca z oblicza urzędnika oburzyła go do tego stopnia, że zapomniał o swojej godności i huknął na niego:

— Czemu nam się przypatrujesz?! Czy nie umiesz mówić, czy może ze strachu przed nami tak zlepily ci się usta, że nie możesz wydobyć z nich ani słowa?

— Ze strachu przed wami? — roześmiał się zapytany. — Nie wyglądacie bynajmniej na ludzi, których należy się bać!

— Twoja mowa brzmi bardzo dumnie, ale przeraziłbyś się, gdybyś usłyszał kim jestem!

— Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele! Bądź sobie kim chcesz. My znamy cię jako pospolitego złodzieja i rozbójnika, którego powiesimy na dobrym i mocnym sznurze.

— Co ty pleciesz! Nie ma człowieka, który odważyłby się pomyśleć o tym, żeby mnie powiesić!

— Pshaw! Zbrodniarzy się wiesza. Taki już u nas zwyczaj, a ty jesteś zbrodniarzem.

— Milcz! Jestem Tokwi Kawa, najwyższy wódz Komanczów Naiini!

— Możliwe, ale we mnie nie budzi to podziwu i nie zmienia postaci rzeczy. Jeśli jesteś najwyższym przełożonym tych łotrów, to uwzględnimy twoją prośbę o tyle, że powiesimy cię trochę wyżej od twoich ludzi.

— Jeśli nie mówisz w ten sposób ze strachu, to przemawia przez ciebie szaleństwo. Kto chce powiesić człowieka, ten najpierw powinien go pojmać.

— Czy może sądzisz, że nie jesteś naszym jeńcem?

— Jestem, ale będziecie musieli wypuścić mnie natychmiast.

— Natychmiast? Ach!

— Tak, natychmiast, gdyż nie możecie podać ważnej przyczyny, dla której pojmałście mnie i związałaście.

— Mylisz się bardzo. Jest na to więcej powodów niż potrzeba.

— A więc wymieńcie je! Tymczasem ja wam dowiodę, że one są nic nie warte. A nawet gdybyście mieli słuszne powody, to jednak musielibyście mnie puścić, bo w przeciwnym razie odbija mnie moi wojownicy, a was ukarzą w taki sposób, że spalą Firwood Camp, pozabijają wszystkich jego mieszkańców i powyrywają z ziemi szyny konia ognistego. Ja mam nad wami wszystkimi władzę, a na łaskę możecie liczyć tylko wtedy, jeżeli natychmiast mnie rozwiążecie i

zwrócić mi wolność.

— Czy chcesz, żebym cię wyśmiał wobec tych dwóch wojowników? Ty mi grozisz, chociaż leżysz przede mną jak żmija, której wyrwano jadowite zęby. Ani mi się śni uwolnić ciebie, a nawet gdybym chciał to zrobić, to nie mógłbym.

— Czemu?

— Gdyż sprzeciwiłoby się temu dwaj sławni wojownicy.

— Jacy wojownicy?

— Old Shatterhand i Winnetou.

Na to wódz roześmiał się głośno i rzekł z ironią:

— No, teraz wiem już na pewno, że przemawia przez ciebie tylko strach. Chcesz mnie przerazić tymi nazwiskami, ale ja wiem, że tych wojowników wcale tutaj nie ma.

— Ty nic nie wiesz!

— Wiem i dowiodę ci tego! Oni byli tutaj poprzedniego dnia wieczorem, ale opuścili obóz ze strachu przede mną.

— To śmieszne! Znowu ze strachu przed tobą! Nie ma człowieka, który zdołałby napędzić strachu Old Shatterhandowi i Winnetou.

— To dlaczego wyjechali z obozu tak prędko?

— Czy jesteś tego tak pewny, że ich tutaj nie ma?

— Oczywiście. Tokwi Kawa zawsze wie dobrze co mówi. Bali się mnie i uciekli w wagonie ognistego konia. Howgh!

Nagle zabrzmiał za nim głos Old Shatterhanda:

— Howgh! To słowo znaczy ustach Indianina tyle co zapewnienie, przysięga. Tokwi Kawa przysiągł więc na to kłamstwo i odtąd należy do kłamców.

To mówiąc obszedł jeńców tak, że stanął teraz zwrócony do nich twarzą.

— Uff, uff! — zawołał wódz przestraszony. — To jest Old Shatterhand!

— Tak, to ja. A kim jest ten, którego widzisz obok mnie?

Winnetou zbliżył się do wodza. Na jego widok Komanczowi wyrwał się okrzyk zdwojonego przestraszenia.

— I Winnetou, wódz Apaczów! Skąd oni się tu wzięli?

Na to Old Shatterhand skinął głową z najbardziej uprzejmym wyrazem twarzy i odrzekł:

— Ucieszysz się nadzwyczajnie, gdy się dowiesz, że wracamy właśnie stamtąd, skąd ty

przybyłeś, a mianowicie z Alder Spring.

— Nie byłem w Alder Spring.

— Ale bardzo blisko, bo pod Corner Top. Chciałeś nas tam pochwycić.

Wódz słysząc to wyraźnie się zmieszał i z trudem zapanował nad sobą. Dopiero po upływie dłuższej chwili usiłował zaprzeczyć:

— To nieprawda! Nie byłem przy Corner Top i ani mi się śniło was pojmać. Kto mi udowodni, że miałem względem was wrogie zamiary? Wśród białych twarzy nie ma ani jednej, która tak kroczyłaby po ścieżce sprawiedliwości jak Old Shatterhand. Spodziewam się, że i dla mnie będzie sprawiedliwy!

— Powiedziałeś słuszną rzecz. Zawsze starałem się postępować sprawiedliwie z moimi białymi i czerwonymi braćmi, ale biada ci, po trzykroć biada, jeżeli teraz żądasz ode mnie sprawiedliwości!

— Żądałem jej i żądam raz jeszcze!

— Nie czyn tego! Jeśli nie chcesz być zgubiony, to zdaj się raczej na moją łaskę niż na sprawiedliwość!

— Na twoją łaskę? Uff! Tokwi Kawa jeszcze nigdy nie zebrał o łaskę i teraz też się tym nie splami. Gardzę twoją łaską i litością, gdyż nie wyrządziłem ci nic złego i wystarczy mi dać znak, a moi wojownicy wypadną tutaj z parowu i pokażą wam krwawą drogę do Wiecznych Ostępów!

— Niepoważny człowieku! Spróbuj dać ten znak!

— Uff! Nie mogę, bo mam związane ręce.

— Ach, nie możesz? Żal mi ciebie, pociesz się jednak. Gdybyś nawet mógł dać znak, nie przydałoby się to na nic. Twoi wojownicy nie przyszliby, gdyż są niewoli, tak jak i ty.

— Uff! To jest kłamstwo!

— Kłamstwo? Nie obrażaj nas! Jeśli jeszcze raz odezwiesz się w ten lub podobny sposób, rozprawię się z tobą inaczej, podobnie jak ty, osławiony kacie niewinnych jeńców! Old Shatterhand i Winnetou nie kłamią! Zapamiętaj to sobie. Twój zamiar pojmania nas był wprost śmieszny. Popełniłeś także błąd wprowadzając swoich wojowników do Birch Hole, aby potem uderzyć na Firwood Camp. To my zastawiliśmy na was pułapkę, w którą wpadli twoi wojownicy. Wystarczyło nam ją zamknąć, aby ich wszystkich mieć jak ryby w sieci!

Teraz zaczęło wreszcie świtać Komanczowi w głowie. Zrozumiał, że jego położenie jest o

wiele gorsze niż przypuszczał. Pewność, z jaką Old Shatterhand stał przed nim i przemawiał, nie pozwalała mu wątpić w to, że gra, którą Komancze spodziewali się wygrać tak łatwo, jest już przegrana z kretesem. Był związany, a więc zupełnie bezsilny. Widział wysoko buchający płomień, nie dopuszczający Indian do wyjścia z pułapki, ale nie wiedział jeszcze o tym, że górne krawędzie parowu były obsadzone do koła. Nie miał też pojęcia o tym, że można mu było udowodnić wrogie zamiary. Wydawało mu się, że mimo przykrego położenia zdoła uniknąć kary i ucieknie. Oczywiście zarzut nierozwagi był dla każdego Indianina, a tym bardziej dla wodza, obelgą, którą można było zmasać jedynie krwią. Jego gniew z tego powodu był też o wiele większy niż troska, która doradzała mu rozważę. Toteż zgrzytnął zębami i rzekł, wściekle targając więzy:

— Nazywasz nierozważnym Tokwi Kawę! Gdybym nie był związany, zmiażdżyłbym cię jak niedźwiedz, kiedy jednym uderzeniem łapy zabija szczekającego na niego kojota!

— Pshaw! Nie porównuj siebie z szarym niedźwiedziem. Nie jesteś taki potężny jak ci się wydaje.

— Milcz i nie zapominaj z kim rozmawiasz! Żądam, żeby mnie wypuszczono na wolność! A może potrafisz udowodnić to, co mówisz?

— Czy słyszałeś kiedyś, żeby Old Shatterhand twierdził coś, czego nie mógłby udowodnić?

— Więc mów!

— Słuchaj, drabie, zdobądź się na inny ton jeśli nie chcesz, żeby to się źle skończyło. Ty nie masz tu nic do rozkazywania. Nie ja przed tobą, ale ty przede mną masz się usprawiedliwić. A jeśli nie uczynisz tego grzecznie, to znajdzie się dość środków na to, aby cię zmusić do uprzejmości. Nie sądz, że potrafisz nas oszukać. Kłamstwa nic nie pomogą. Zresztą jeśli tak chętnie nazywasz się najwyższym wodzem Komanczów Naiini, to powinieneś mieć na tyle dumy, żeby nie kłamać. Przybyliście tutaj, aby napaść na Firwood Camp?

— Nie!

— Wysłałeś tu swego wnuka Ik Senandę, żeby przygotował ten napad?

— Nie!

— Byłeś tu wczoraj wieczorem i rozmawiałeś z nim?

— Nie!

Te zaprzeczenia brzmiały pewnie i tak odpychająco dumnie, że inżynier zawołał z



gniewem:

— Co za bezczelność! On nas chyba uważa za naiwnych chłopców! Mam wielką ochotę zdjąć z niego tę starą bluzę, aby jego skóra zapoznała się z dobrym kijem!

Old Shatterhand mówił dalej zwrócony do wodza:

— Przyznaję zupełną słuszość temu białemu dżentelmenowi. To niesłychane tchórzostwo kłamać w tym położeniu z taką pewnością siebie. Ja nie wypierałbym się swoich czynów i zmusiłbym nieprzyjaciół do szacunku dla siebie.

— Tokwi Kawa nie może przyznać się do tego, czego nie zrobił — odpowiedział Komancz.

— Więc rzeczywiście nie byłeś tu wczoraj wieczorem?

— Nie!

— Nie rozmawiałeś z dwoma Chińczykami?

— Nie!

— I nie odebrałeś im naszych trzech strzelb?

— Nie!

— I nie odjechałeś z naszymi końmi?

— Nie!

— Ale nie zaprzeczysz chyba, że znasz swojego wnuka Ik Senandę?

— Znam go.

— On przezwał się tutaj Yato Indą.

— To stanowczo bezsensowny domysł, gdyż mojego wnuka nigdy tutaj nie było.

— A gdzie on teraz jest?

— Na pastwiskach naszego szczepu.

— W takim razie sam nie wiesz gdzie on się teraz znajduje.

— A więc pewnie jest w domu.

— Nie. Zostawiłeś go dzisiaj rano samego na Corner Top.

Wódz przymknął na chwilę oczy, aby ukryć nagły przestach, ale po chwili odrzekł szyderczo:

— Old Shatterhand miewa widocznie sny nawet gdy nie śpi.

— Pshaw! Zostawiłeś go tam na straży przy strzelbach, które nam ukradziono.

— Uff, uff! — krzyknął wódz i podniósł się do połowy pomimo więzów.

— Czy to prawda?

— Nie!

— Tokwi Kawa, pogardzam tobą! To wypieranie się dowodzi, że nie posiadasz ani odrobiny odwagi ani honoru. Jesteś tchórzliwy jak mały pies, który ucieka przed cieniem ptaka. Gdybyś miał choć trochę rozsądku, już dawno doszedłbyś do wniosku, że wszystko skończone, że wiemy o wszystkim, że tylko przy pomocy prawdy mógłbyś ocalić resztki powagi, jaką u nas posiadasz. Pokażę ci coś, z czego poznasz, że wasza wyprawa na Firwood Camp była nie tylko daremna, ale nawet musi się dla was skończyć nieszczęśliwie. Patrz! Tego się chyba nie spodziewałeś?

Old Shatterhand już przedtem położył swoje strzelby za sobą, a Winnetou zrobił to samo ze srebrną rusznicą. Teraz biały myśliwy podniósł broń i pokazał ją wodzowi Komanczów. Indianin zapomniał ze strachu o tym, że był związany i krzyknął usiłując się zerwać,

— Well! To widocznie pomogło! — zaśmiał się głośno Old Shatterhand.

— Sreb... srebr... srebrna rusznica, strzelba... strzelba na niedźwiedzie... i... zaklęta strzelba! — wyjąkał Tokwi Kawa. — Gdzie... gdzie jest Ik Senanda, syn mojej córki?

— Jest naszym jeńcem.

— Wy... wy... wzięliście go do niewoli?

— Tak.

— Pod Corner Top?

— Tak

— Jak... jak zdołaliście go znaleźć? Jak... jak dostaliście się tam?

— Byliśmy tam jeszcze zanim on przybył.

— To... to nie może być! Przecież odjechaliście wozem ognistego konia!

— Człowieku! Ty rzeczywiście nie chcesz myśleć! I taki człowiek chciał pojmać mnie i Winnetou! Znaleźliśmy wczoraj twoje ślady, z których zaraz wywnioskowaliśmy na co się zanosz. Ukradłeś nam konie i odebrałeś Chińczykom strzelby. Konie wróciły same, a dzisiaj musieliśmy się postarać o odzyskanie broni. Aby cię zaś wywieść w pole i przed tobą przybyć do Alder Spring, zrobiliśmy właśnie to, co cię tak bardzo kłopotuje: pojechaliśmy koleją.

— Uff, uff! — wymknęło się Komanczowi, który szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

— Kto wam powiedział, że miałem się udać do Alder Spring?

— Śmieszne pytanie! My sami tak pokierowaliśmy sprawą, żebyś tam pojechał.

— W jaki sposób?

— Przez twojego wnuka, zdrajcę i szpiega. Wmówiliśmy w niego, że chcemy tam być dziś wieczorem. Nasze nadzieje nie zawiodły, bo on rzeczywiście powiedział o tym tobie, a ty poprowadziłeś wojowników, aby nas pojмали. My byliśmy tam jednak przed tobą. Widzieliśmy wszystko, gdyż leżeliśmy z Winnetou tylko pięć kroków za kłosem, pod którym rozciągnąłeś się w gąszczu wiatrołomu.

— Uff, uff, uff!

— Tak, uff, uff, uff! Nie potrafisz nawet tyle zapanować nad sobą, żeby ukryć swoje zdumienie i przestach! Kiedy odjechaliście z powrotem do Firwood Camp, pojмалиśmy twojego wnuka, który musiał oczywiście oddać strzelby i natychmiast pojechać z nami.

— Gdzie on teraz jest?

— W tak pięknym miejscu, że życzyłbym tobie, żebyś mógł się tam także dostać.

— Gdzie?

— Na razie ta wiadomość jest ci niepotrzebna. Czy nadal zamierzasz bezmyślnie wypierać się wszystkiego?

Wódz Komanczów patrzył w milczeniu i pośepnie przed siebie. Nagle do głowy przysła mu pozornie zbawienna myśl o jego wojownikach. Rzekł zatem:

— Tokwi Kawa nie zna obawy; nie kłamał wcale ze strachu.

— Przyznajesz się więc, że nas okradłeś?

— Tak.

— I że chciałeś napaść na Firwood Camp?

— Tak.

— Co zrobiłbyś z jego mieszkańcami?

— Zabilibyśmy ich i oskalpowali.

— Wszystkich?

— Wszystkich.

— Do licha! — zawołał inżynier. — Mnie także?

Komanczowi było teraz wszystko jedno czy zamierzał zgładzić jednego mniej czy więcej i odpowiedział dumnym, obojętnym tonem:

— Nie widziałem cię nigdy i nie wiem kim jesteś. Gdybyśmy cię schwytali, oskalpowalibyśmy także i ciebie.

— Dziękuję bardzo, dziękuję serdecznie, mój kochany, czerwony panie! Za to miłe wyzwanie podziękuję wam jeszcze inaczej! — i zwracając się do Old Shatterhanda dodał: — Niech pan powie, Mr Shatterhand, co teraz zrobimy z tym czcigodnym dżentelmenem i jego ludźmi?!

— Najpierw damy mu sposobność do tego, żeby poznał położenie własne i swoich ludzi — odrzekł zapytany.

— W jaki sposób?

— Zaprowadzimy go na krawędź parowu, skąd będzie mógł objąć wzrokiem całą sytuację!

— A potem?

— Potem on skłoni swoich ludzi do poddania się, jeżeli naprawdę nie postradał zmysłów.

— Hm! A jeżeli zaatakują zanim on im to rozkaże?

— Postaram się, aby tak się nie stało.

— Jak?

— Już wam to powiedziałem.

Old Shatterhand zwrócił się do pojmanych strażników z pytaniem:

— Czy znacie język bladych twarzy?

Ale zanim odpowiedzieli musiał jeszcze dwukrotnie powtórzyć to zdanie.

— Rozumieliśmy o czym mówiono.

— Well! Pójdziecie teraz do parowu i doniesiecie wojownikom Komanczów, że pochwyciliśmy ich wodza i wystrzelamy ich wszystkich, jeżeli będą się bronili. Ja zaprowadzę wodza na wzgórze, żeby mógł się przekonać, że wszelki opór skończy się waszą zgubą. Potem on sam rozstrzygnie co będzie dla was najlepsze. A zanim to nastąpi radzę wam nie myśleć nawet o oporze.

— A kto nas zawiadomi o jego postanowieniu?

— On sam. Pozwolę mu przemówić ze wzgórza tak, że usłyszą go wszyscy wojownicy. Czy zgadzacie się na to?

— Tak.

— W takim razie każę wam teraz zdjąć więzy. Nie sądźcie jednak, że możecie z tego skorzystać i uciec. Wolno wam tylko wejść do parowu, a ja stanę tam ze strzelbą zaczarowaną wymierzoną w wasze głowy. Kto zboczy o krok, tego dosięgnie kula!

— Jak przejdziemy przez ogień?

— Tu z tej strony płomień nie jest tak szeroki, żeby był niebezpieczny. Można go przeskoczyć jednym susem.

— Czy polem mamy znowu wrócić, aby nas związano?

— Możecie zostać w parowie. Opowiedzcie waszym wojownikom co widzieliście i słyszeliście. Gdy to zrobicie, oni uznają, że jedynym wyjściem w tym położeniu będzie zaczekać na to, na co się zgodzi Tokwi Kawa.

Podczas zdejmowania więzów Winnetou i Old Shatterhand ustawili się w ten sposób ze strzelbami, że jeńcy nawet nie mogli pomyśleć o ucieczce.

Jeden z Indian rozpędził się i z miejsca, w którym ogień był najwęższy, wskoczył do parowu, a drugi zrobił to samo zaraz za nim. Następnie Old Shatterhand sprowadził jeszcze kilku kolejarzy, aby pilnie strzegli wejścia podczas jego nieobecności, po czym rozwiązano wodzowi nogi, żeby mógł wejść na wzgórze. Ręce zostawiono mu oczywiście związane na plecach, a ponadto Winnetou i Old Shatterhand wzięli do rąk odwiedzone rewolwery i zagrozili mu kulą przy najmniejszej próbie ucieczki. Inżynier musiał zostać na dole jako dowódca straży.

Old Shatterhand i Winnetou z Tokwi Kawą weszli na wzgórze. Byli pewni, że wódz nie da im powodu do użycia broni. Próbą ucieczki naraziłby na niebezpieczeństwo nie tylko swoje życie, ale i osaczonych wojowników. Czarny Mustang zdawał sobie z tego sprawę i szedł przed nimi bez oporu aż tam, skąd można było objąć cały parów jednym spojrzeniem. Tam też znajdował się Hobble-Frank. Gdy zobaczył nadchodzących i poznał wodza po orlich piórach, podskoczył z radością i zawołał:

— Hurra! Oto prowadzą jednego, jeśli nie opuściła mnie wrodzona inteligencja. To wódz tych czerwonoskórych włóczęgów po ścieżkach wojennych! Czy zgadłem, Mr Shatterhand?

— Tak, to on — odrzekł zapytany.

— Cieszy mnie to ogromnie! Kiedy bowiem pochwyciliśmy głównego ptaszka, to i reszta wróbli pójdzie na lep. W jaki to sposób ujęliście go tak zgrabnie za kosmyk skalpowy?

— Podeszliśmy go i powaliliśmy, kochany Franku.

— Podeszliście i powaliliście! To brzmi tak po prostu i zrozumiale, jak gdyby kucharka hotelowa mówiła do kota: „Najpierw cię zarzną, upieką na rumiano, a potem podadzą do stołu jako zającą”! Życzę dobrego apetytu, moi panowie! Teraz on się tu nasyci wspaniałym widokiem, a potem zjedzie kolejką sznurową, w wagonie pierwszej klasy?

— Coś podobnego mamy właśnie na myśli.

— Rzeczywiście? No, szanowny panie Shatterhand, w takim razie moglibyście mi przy tej uroczystości zrobić wielką grzeczność!

— Jaką? Pozwólcie mi zjechać razem z nim, ale w roli konduktora!

— Dlaczego?

— Ponieważ ręce mnie swędzą, aby mu przedziurkować bilet.

— Bez szczypiec? — zaśmiał się Old Shatterhand.

— Pozwólcie mi tylko to zrobić. Dokonam tego także bez szczypiec. Znam się na tym dobrze i zrobią to według dawnej reguły. Możecie spokojnie zdać się na mnie i zaufać, że przedziurkuję go tyle razy, że przybywając na dół będzie wyglądał jak bilet miesięczny! Zgadza się?

— Nie całkiem. Jeśli tak bardzo chcesz dziurkować, to wstąp do tramwaju konnego. Tu się niczego nie dziurkuje.

— A zatem znowu minąłem się z najpiękniejszym zawodem i z najwyższym celem życia! To naprawdę smutne, jeśli ziemskiemu człowiekowi nigdy nie wolno pójść za swoim, w gwiazdach zapisanym, uzdolnieniem! Ale co wy chcecie zrobić z tym drabem tu na górze? Czy ma z tej trybuny wygłosić przemówienie do swoich ludzi?

— Coś podobnego.

— To wcale niepotrzebne, gdyż ja jestem gotów napisać mu streszczenie tej mowy na grzbiecie, i to tak wyraźnie, że wszyscy odczytają to najwygodniej na świecie od początku do końca! Mogę to nawet wykonać wszystkimi rodzajami pisma; im większym i grubszym, tym chętniej! On tu stoi i patrzy w dolinę jak kaplica z góry. Zdaje mi się, że trochę go niepokoi nasza iluminacja i oświetlenie gazowe!

To co powiedział mały Sas nie było pozbawione słuszności. Jeśli Tokwi Kawa liczył dotychczas na pomoc swoich ludzi, to teraz musiał się przekonać, że ten rachunek dał mu całkiem inny wynik niż przewidywał. Komancze siedzieli ściśnięci przy koniach w parowie, a jedyne wyjście prowadziło przez buchający wciąż wysoko ogień, który mógł tak płonąć jeszcze do rana. Wódz wiedział o tym, gdyż widział na dole jeszcze jedną wielką beczkę z naftą. A gdyby jej nawet nie było, to w Firwood Camp znajdowało się pod dostatkiem oleju skalnego. Oprócz tego las mógł dostarczyć tyle materiału palnego, że o wygaśnięciu ognia nie było mowy.

Przypatrując się ścianom parowu wódz widział tylko jedną ścianę, którą można było się

wspiąć na górę. Ta ścieżka jednak była tak wąska i trudna, że tylko jeden człowiek i to nie prześladowany przez żadnego wroga mógł się po niej wydostać. Dla takiej liczby Indian, nie mówiąc już o koniach, była ona nie do przebycia. Na górze płonęły ogniska i pochodnie oświetlające wszystko jak w dzień. W ten sposób wódz mógł naliczyć mnóstwo bladych twarzy, dobrze uzbrojonych i gotowych odeprzeć każdego wojownika, gdyby spróbował wspiąć się na skały parowu. Na próżno więc Czarny Mustang myślał nad możliwością wydostania się z matni. Niewątpliwie brał także pod uwagę i to, czy Indianom nie udałoby się dosiąść koni i w galopie przedrzeć się przez ogień, ale i tę myśl musiał odrzucić. Po pierwsze widział strażę przed ogniem, a po drugie wszystkie blade twarze znajdujące się na górze mogły zasypać kulami cały parów. Ani jeden Indianin nie byłby w stanie wydostać się na zewnątrz, gdyż wystarczała jedna salwa, aby zablokować wyjście trupami Indian i koni.

Ten przygnębiający stan rzeczy tak zaprzętała Tokwi Kawę, że zapomniał o panowaniu nad rysami twarzy. Rozczarowanie odbijało się na niej tak wyraźnie, że Winnetou i Old Shatterhand zauważyli to od razu, zachowali jednak milczenie. Natomiast Hobble-Frank nie mógł się powstrzymać od ironicznej uwagi:

— Teraz robi minę jak pewna gęś, która w chwili, gdy chciała odlecieć, zauważyła, że wcale nie jest gęsią, ale ciężarkiem na listy.

Frank dostrzegł, że nawet Old Shatterhand nie stłumił uśmiechu z powodu tego porównania, więc mówił dalej:

— Taki jest niestety los wszystkiego co wzniosłe, co ma wprawdzie dwie nogi, ale jest pozbawione skrzydeł. W tym przykrym położeniu jestem i ja, i wódz. On chętnie chciałby być orłem, a siedzi na ziemi jak żaba. Załatwmy się z nim krótko, Mr Shatterhand!

— Bądź cicho, Franku, proszę cię! — przerwał mu Shatterhand.

— Tak? Więc i pan mnie ucisza? Ja mam być cicho, kiedy wszystkie struny mojego wnętrza brzmią w całej pełni? Moja dusza dźwięczy jak słup wody Gustawa Memmona<sup>[68]</sup>, a moje serce rozmawia w cztery oczy z przepotężną możliwością, że ten wódz Komanczów wpadnie na pomysł...

Kto wie, jaki nonsens chciał wymyśleć, ale mu przerwano.

— Uff, uff — odezwał się właśnie wódz o wiele głośniejszym niż zamierzał. Wyrwał się z zadumy jak ze snu i zmieszał się własnym okrzykiem, gdyż właśnie nic nie chciał powiedzieć.

Winnetou nie mówił jak zwykle nic, a Old Shatterhand uważał za stosowne zostawić

wodza jego własnym myśлом. Teraz jednak, gdy Indianin się odezwał, biały myśliwy zapytał:

— No, czy Tokwi Kawa zastanowił się już nad tym, jak można by uwolnić Komanczów?

— Tak — odrzekł Indianin.

— Nie ma drogi, na której można by tego dokonać.

— Taka droga istnieje!

— Ach? Jakaż to?

— Twoja sprawiedliwość.

— Nie powołuj się na nią!

— Muszę ci ją przypomnieć!

— Jeśli słuchałbym tylko jej, to spotkałaby was straszna kara?

— Za co? Czy zrobiliśmy coś złego? Czy przelaliśmy waszą krew?

— Chcieliście ją przelać.

— Czy można się mścić za nie przelaną krew?

— Nie, ale ja nie mówiłem o tym.

— Nie powiedziałeś tego rzeczywiście, ale jeżeli przyznasz, że nie można pomścić nie przelanej krwi, to musicie puścić nas wolno!

— Mylisz się. Jaka kara należy się według prawa sawanny za kradzież koni?

Zapytany odpowiedział z pewnym wahaniem:

— Śmierć, ale wasze konie wróciły do was!

— A jaka jest kara za kradzież broni?

— Także śmierć, ale wy odebraliście sobie tę broń!

— To bynajmniej nie zmniejsza twojej winy. Kradzieży rzeczywiście dokonano, a twoje życie wisi na włosku!

— A więc chcecie mnie zabić? — wybuchnął wódz.

— Nie jesteśmy mordercami. Nie zabijamy, ale karzemy, a ty żądałeś i domagałeś się kary.

— Uff! Kiedy się jej domagałem?

— Kiedy żądałeś sprawiedliwości. Przecież z szyderstwem wyrzekłeś się naszej łaski i litości.

Komancz spuścił znów głowę i zamilkł. Wiedział, że mógł się odwołać do łagodności obu słynnych mężów, ale jego duma nie pozwalała mu na to. Po pewnym czasie daremnego namysłu



zapytał:

— Czy napadliśmy na Firwood Camp?

— Nie.

— A więc mieszkające tam blade twarze nie mogą nam nic zrobić!

— Jesteś w błędzie!

— Dlaczego?

— Co byś zrobił, gdyby podszedł do ciebie grizzly, żeby cię pożreć?

— Zabiłbym go.

— A więc postąpiłbyś niesprawiedliwie, gdyż nie wolno ci go zabić zanim cię jeszcze nie pożarł.

— Ale on zrobiłby to, gdybym nie odebrał mu życia!

— To trzeba by poczekać na to jak się zachowa.

— Uff! Niedźwiedź to zwierzę, a nie człowiek!

— Jest to wolą wielkiego Manitou, żeby niedźwiedź żył z mordy i grabieży. Ale człowiek powinien na uczciwej drodze zdobywać środki do życia, a jeśli przelewa krew innych, to jest gorszy od drapieżnika. Zgodnie z tym, co powiedziałaś, człowieka, który chciałby przelać cudzą krew należy zabić natychmiast, nie czekając aż ją przeleje. Sam wydałeś wyrok na siebie.

— Uff. uff!

Po tym okrzyku znów zapadło milczenie, którego Old Shatterhand nie przerywał. Indianin musiał znów sam zacząć rozmowę. Minęła jednak długa chwila zanim się odezwał:

— Gdzie jest Ik Senanda, którego pojmałeś?

— Czeka na swój wyrok w bezpiecznym miejscu.

— Jaki to będzie wyrok?

— Śmierć.

— Co? Chcecie go zabić, chociaż on wcale nie wziął udziału w wyprawie na Firwood Camp?

— Jego udział był gorszy, ponieważ jest szpiegiem i zdrajcą i przygotował ten napad. Wiesz, że szpiegów się wiesz, że nigdy się nie zdarza, żeby któryś z nich uzyskał łaskę.

— Będziemy więc walczyli! — zagroził Tokwi Kawa.

— Dobrze! Popatrz w dół! Czy wasze kule mogą tutaj dolecieć? Natomiast jedno wezwanie z mojej strony wystarczy, aby huknęły wszystkie nasze strzelby. Jeśli każda błada

twarz wystrzeli tylko dwa razy, ani jeden czerwonoskóry nie pozostanie przy życiu. Sam o tym wiesz i nie potrzebuję ci o tym mówić.

— Uff! Od kiedy Old Shatterhand zrobił się taki chciwy krwi?

— Od kiedy zażądałeś ode mnie sprawiedliwości. Ona bowiem domaga się waszej krwi, niczego więcej.

— Wszędzie mówią, że jesteś dumny z tego, że jesteś chrześcijaninem i dobrym człowiekiem.

— Każdy człowiek powinien być dobry. To jeszcze nie powód do dumy.

— A czy to jest dobre żądać zemsty?

— Ja nie żądam zemsty. Nie próbuj pozyskać mnie takimi słowami. Co złego zrobili wam mieszkańcy Firwood Camp, że postanowiliście ich wymordować i oskalpować? Nic! A mimo to chcesz, żebyśmy zapomnieli o wszystkim. Czy wy jesteście tak samo niewinni jak oni? Dosięgnie was tylko sprawiedliwość, której sam się domagasz. Łaskę przecież odrzucasz!

Wódz znowu pochylił się bezradnie. Był w okropnym położeniu, bo nie mógł ocalić swoich ludzi ani podstępem, ani siłą. Zrozumiał to, ale czy on, dumny wódz, uważający się za najszlachetniejszego i najgroźniejszego z Komanczów, mógł prosić o łaskę tych dwóch ludzi, którzy uchodzili za jego najzaciętszych wrogów? Wszystko, co w nim żyło, wzdragало się przed tym, a jednak nie widział innego sposobu odwrócenia od siebie śmierci. Nie bał się wprowadzić samej śmierci, ale bał się rodzaju śmierci, jaki mu groził. Według jego wiary dusza człowieka ginącego jako skazaniec nie może dostać się do Wiecznych Ostępów. Ta myśl napełniała go niezwykłym strachem. Burzyły się w nim gniew i nienawiść do Winnetou i Old Shatterhanda i pragnął zostać przy życiu, aby móc zemścić się na tych ludziach, zemścić okropnie. To życzenie i nienawiść skłoniły go do kroku, którego nie uczyniłby w żadnym innym wypadku. Podniósł powoli głowę i zapytał niepewnym głosem:

— Co Old Shatterhand rozumie przez łaskę?

— Złagodzenie kary lub zupełne jej darowanie.

— Czy darowalibyście nam karę zupełnie?

— Nie, to niemożliwe.

— Ale moglibyśmy zachować życie?

— Może. Ani Winnetou, ani ja nie żądamy waszego życia. Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich białych i czerwonych ludzi i przelewamy krew tylko w obronie własnego życia.

— Uff! A więc zostawilibyście nas przy życiu?

— Tak.

— Uff, uff! Jeśli to zrobicie, to jesteście największymi i najsławniejszymi westmanami i pozostali będą musieli pójść za waszym przykładem.

— Będą musieli? O tym nawet nie myśl! Tamte blade twarze są wolnymi ludźmi, tak samo jak my. Nam nie przysługuje najmniejsze prawo rozkazywania im. Oni dobrze znają prawa Dzikiego Zachodu.

— Uważałeś jednak za możliwe, że i oni darują nam życie!

— Oczywiście! Ja i Winnetou będziemy się starali nakłonić ich do tego. Nie będzie łatwo zmienić ich chęć zemsty na pobłażanie, ale spodziewamy się, że ułagodzimy ich gniew.

— Co mam więc zrobić?

— Poddać się.

— Poddać się? — wybuchnął wódz. — Czy ty oszalałeś?

— Czy to jest szaleństwem z mojej strony, że chcę was ocalić? Dobrze! Nie zwykłem popełniać szaleństw. Nie mówmy więc o tym! Sprowadziłem cię tutaj, żeby ci dowieść, że wasz opór nie będzie nas kosztował ani kropli krwi, a wy w tej chwili będziecie zgubieni. Ten cel osiągnąłem. Gdy tylko dam znak, hukną wszystkie nasze strzelby. Zabierzemy wasze skalpy i wasze dusze w Wiecznych Ostępach będą musiały snuć się pod nogami naszych duchów jako wzgardzone sługi i zdrajcy. Twoja wina, że nie stanie się inaczej. Chodź!

— Dokąd?

— Z powrotem na dół.

— A co będzie potem?

— Gdy tylko zejdziemy, powieszą cię na drzewie, a potem damy znak i wszystkich twoich wojowników spotka śmierć. A więc chodź!

Old Shatterhand wziął Tokwi Kawę za rękę na pozór, że chce go pociągnąć za sobą, ale ten wyrwał się, cofnął o krok i zapytał z błyszczącymi oczami:

— Czy możesz nas ocalić tylko wtedy, gdy się poddamy?

— Tak.

— A będziemy żyli?

— Tak myślę.

— I wrócimy do naszego szczepu?

— Jeśli darujemy wam życie, to tak. Nie przypuszczasz chyba, żebyśmy mieli ochotę zatrzymywać was tutaj.

— A jeśli pozwolisz nam odejść, czy nie boisz się naszej zemsty?

— Pshaw! Dlaczego mam się bać? Wspominasz o zemście? Czy za swoje ocalenie nie będziecie się poczuwali do wdzięczności wobec nas?

— Ocal nas, a potem zobaczysz co zrobimy!

— A więc decyduj się prędko! Daję ci na to czas nazywany przez białych pięcioma minutami. Potem muszę usłyszeć twoją odpowiedź.

— Nie potrzebuję tego czasu, gdyż właśnie mówię, że się poddamy. Jak mamy to uczynić?

— Widzisz, tu na prawo można się wspiąć na skałę?

— Tak.

— Ścieżka jest tak wąska, że dwóch obok siebie nie przejdzie. Nakaż swoim wojownikom, żeby jeden za drugim wyszli tu na górę bez broni. Najpierw zostaną związani, a my się naradzimy. Potem...

— Związani? — przerwał wódz z gniewem.

— Tak. Jeśli ci się to nie podoba, to niech giną. Ty też jesteś związany!

— Uff! Old Shatterhand to straszny człowiek. Mówi tak łagodnie i spokojnie, ale jego wola to kamień, którego nie można zmiękczyć!

— Dobrze, że to przyznajesz! Trzymaj się nadal tego przekonania. Zgadzasz się więc na to, żeby ich związano?

Zapytany wahał się przez chwilę, potem wyprostował się dumnie i odrzekł trochę za głośno:

— Tak!

— Well! Ale ostrzegam, że tego, który nie odłoży całej broni i zostawi choćby nóż, zabijemy natychmiast!

Wódz trząsał się z wściekłości.

— Jeśli uczynię to, czego żądasz — zapytał jeszcze — czy syn mojej córki także pozostanie przy życiu?

— Tak.

— Przysięgnij!

— Old Shatterhand nigdy nie przysięga. Daję ci słowo i dotrzymam go.

— Wierzę ci. Ty często sprowadzałeś nieszczęścia na plemiona Komanczów, ale jeszcze nigdy nie skłamałeś.

— Plemiona Komanczów same były winne temu, że spotykało je nieszczęście z mojej i Winnetou strony. My chcemy być ich braćmi i przyjaciółmi, ale oni nienawidzą nas i zmuszają do obrony. Jeśli wychodzą na tym gorzej od nas, niech winią samych siebie. Czy i dziś wina nie leży po waszej stronie? Dlaczego nas okradłeś i godziłeś na nasze życie? I wy macie jeszcze odwagę nazywać nas wrogami! Pshaw!...

— Nie mów teraz o tym! Przyjdzie czas, kiedy porozmawiamy o waszej przyjaźni! Teraz mamy coś innego do zrobienia. Każ mi zdjąć więzy, żebym mógł zejść do moich wojowników!

— Ach, ty chcesz tam pójść?

— Przecież słyszałeś.

— Nie związany?

— Tak.

— Czemu?

— To nie wystarczy, że stąd rzucę im kilka rozkazów. Jeśli mają złożyć broń i poddać się, to muszę im wytłumaczyć przyczyny, które skłaniają mnie do tego kroku.

— Well! — odparł Old Shatterhand przypatrując się wodzowi z uśmiechem. — Zgadzam się, nawet jeśli knujesz przy tym jakiś podstęp. Pozwalam ci zejść na dół, ale od chwili, kiedy postawisz tam stopę, zwrócą się ku wam lufy dziewięć razy po dziesięć strzelb, a jeśli za pięć minut zawołam, a ty jako pierwszy nie wejdiesz znowu na górę, każda z tych luf wypali dwukrotnie. Powiedziałem i tak się stanie. A teraz idź! Po tym ostrzeżeniu rozwiązał wodzowi rękę. Winnetou dotąd nie wtrącił się ani jednym słowem, kiedy jednak Tokwi Kawa zabierał się do zejścia, położył mu rękę na ramieniu i oświadczył:

— To, co powiedział Old Shatterhand, jest jak przysięga, której także ja dotrzymam. Jeśli cię zawoła, a ty nie przyjdiesz natychmiast, to dosięgnie cię moja kula. Howgh!

Wódz Komanczów odwrócił się od niego bez słowa i zaczął schodzić do swoich. Gdy wszyscy przypatrywali się jego krokom, a oczy Komanczów były także na niego zwrócone, Old Shatterhand zapytał:

— Czy mój brat Winnetou zgadza się ze wszystkim, co powiedziałem?

— Ze wszystkim — potwierdził Apacz. — Mój brat postąpił bardzo rozumnie. Wódz

Komanczów nie spostrzegł, że wytrąciłeś mu z rąk wszelką broń i podstępny.

— Czy sądzisz, że wróci?

— Tak. On sam wierzy, że nie ma innej drogi ocalenia, a wojownicy go posłuchają.

Gdy Tokwi Kawa zszedł na dno parowu i wymówił do swoich ludzi pierwsze słowa, podniosło się głośne wycie w odpowiedzi na wieść, że mają się poddać. Opór Komanczów nie miał szans powodzenia. Aby to udowodnić, Old Shatterhand polecił skierować lufy na Indian. Po chwili biali przeszli na drugą stronę parowu, aby tam przyjmować wychodzących pojedynczo Komanczów i powiązać ich rzemieniami.

Biali stojący na dole pod dowództwem inżyniera także skierowali strzelby na parów. Do nich przyłączyli się robotnicy z Firwood Camp, wstydząc się zostawić całą pracę kolegom z Rocky Ground. Nie pokazał się tylko inżynier Leveret, który czuł się tym bezpieczniej, im dalej był od placu boju. Co do Chińczyków, to byli wprawdzie bardzo ciekawi wyniku rozprawy, ale nie zamierzali wystawiać na szwank własnej skóry. Rozłożyli się opodal, gotowi zerwać się i uciec wobec najmniejszego niebezpieczeństwa. Bowiem nie tylko Komancze byli dla nich postrachem, nie mogli także zapomnieć białego myśliwego i czerwonoskórego Apacza, którzy siłą swych ramion całą grupę zmienili w toczącą się z góry lawinę.

Droll także przyszedł z drugiej strony. Rozciągnął się obok kuzyna Franka, położył strzelbę nad krawędzią parowu i zapytał:

— Czy słyszałeś wszystko o czym tutaj mówiono, kuzynie Franku?

— Jak możesz pytać? — odrzekł mały. — Stałem przecież obok, a cieszę się posiadaniem dwojga uszu. Czemu nie miałbym słyszeć?

— To, że masz uszy, nie jest mi całkiem nieznanym, ale czasem ktoś ma dwoje uszu a nie chce słyszeć tego, co powinien. Czy to był wódz Komanczów?

— Właśnie.

— I paktowano z nim?

— Tak.

— I na co się zgodził?

— Komancze muszą się poddać. Mają wychodzić pojedynczo na skałę i tutaj się ich powiąże.

— No, to znowu chytry pomysł naszego Old Shatterhanda! Gdyby im wolno było wychodzić tak, jakby chcieli, jeden zaraz za drugim, to mogłoby się stać dla nas niebezpieczne.

Ale ponieważ mają się wspinać powoli i pojedynczo, to nie mogą nam zaszkodzić. Spodziewam się, że wszystko pójdzie dobrze. Sznurów i rzemieni jest pod dostatkiem. Co to znaczy, jak człowiek wejdzie w porządne towarzystwo! Od kiedy spotkaliśmy wczoraj Old Shatterhanda i Winnetou, zaraz nadarzyła się sposobność do ciekawych przygód.

— Tak? A ze mną nie zdarza ci się nic podobnego? Słuchaj, proszę cię o takie pełne szacunku poważanie, jakiego może się domagać mąż o moich kwalifikacjach! Zresztą nie spotkaliśmy ich ostatniego wieczoru, ale dzisiaj rano. Jeśli zgubiłeś się w rachubie czasu, to nie wyobrażaj sobie, że będę ci w tym pomagał. Kto sądzi, że nie może ze mną nic przeżyć, temu właśnie może się przydarzyć coś niespodziewanego. Zapamiętaj to sobie na przyszłość! Czy dlatego pozwoliłem ci się urodzić jako mojemu bratu ciotecznemu i rodzonemu kuzynowi, żebym teraz psuł sobie dobry humor twoim gadaniem? Ten człowiek twierdzi, że nie może ze mną przeżyć niczego ciekawego, a tymczasem nie umie odróżnić dodawania od dzielenia!

— No, nie gniewaj się już! — prosił Droll. — Nie chciałem cię urazić! Dlaczego po każdym słowie wybuchasz jak bomba?

— Milcz, stary dudku! Jak śmiesz porównywać mnie do bomby?

— Bo pękasz tak prędko jak ona.

— Pękam? Co za wyrażenie na tak poważną dyskusję! Czy ty nie wiesz, żółtodziobie, że bomba nie pęka, ale eksportuje?

— Chciałeś chyba powiedzieć „eksploduje”?

— Ekspłoduje? Jak to rozumiesz, kochany Drollu? — zapytał Frank uprzejmym tonem. Kto go jednak znał, ten wiedział, że właśnie ta pozorna uprzejmość zapowiada na pewno eksplozję.

— No — rzekł Droll spokojnie i nie spodziewając się jeszcze niczego. — Ekspłodować to znaczy huknąć, a eksport oznacza tyle co „wywóz”. Nieprawdaż?

— Tak, to bardzo słuszne, kochany Drollu.

— Pięknie. Cieszę się, że przyznałeś mi słuszność! Ale czekał! Zdaje się, że Old Shatterhand chce teraz coś powiedzieć!

Umówiony termin upłynął. Old Shatterhand pochylił się nad krawędzią parowu, przyłożył rękę do ust i zawołał:

— Tokwi Kawa, eta haueh<sup>[69]</sup>!

Wódz usłyszał wołanie, dał jeszcze swoim ludziom ostatni rozkaz, odwrócił się od nich i

poszedł za wezwaniem Old Shatterhanda. Wspiął się tą samą ścieżką, którą zszedł, a tymczasem jego ludzie składali na ziemi broń. Przypuszczalnie Tokwi Kawa nakazał zachowanie określonego odstępu między nim a następnym wojownikiem, bo dopiero kiedy wódz znalazł się na górze, ruszył następny Komancz. Tokwi Kawa złożył na plecach ręce do związania i powiedział ochryple:

— Tokwi Kawa dotrzymał słowa. Wiążcie go! Ale strzeżcie się, żebyśmy wam także kiedyś nie położyli na rękach rzemieni, bo wtedy nie będziecie mieli czego szukać na tym świecie!

Związanego wodza odprowadzono na bok. Skrępowano również następnego Komancza i przywiązano go plecami do pleców wodza. Takie wiązanie jeńców uniemożliwiało im ucieczkę. Komancze nadal wchodzili pojedynczo na górę, gdzie w dalszym ciągu wiązano ich po dwóch. Wreszcie wszyscy byli powiązani. Okazało się, że na górę wyszło ponad stu Indian.

Tokwi Kawa zawołał do siebie Old Shatterhanda i powiedział:

— Bardzo trudno było mi nakłonić moich wojowników do poddania się. Czy będziesz chciał zadać sobie tyle trudu, aby wywalczyć nam życie u bladych twarzy?

— Zrobię nawet więcej niż obiecałem — odrzekł westman. — Przynależę ci, że użyję całego mojego wpływu. Ponieważ byłeś tak rozsądny i posłuszny, zapewniam cię, że pozostaniecie przy życiu i odzyskacie wolność.

Komancz zareagował na to szyderczym śmiechem i popatrzył na Old Shatterhanda wzrokiem pełnym nienawiści. Po chwili rzekł:

— Posłuszny? Ja wobec was? Czy lew słucha wilka, a bawół skunksa? Co ty sobie myślisz? Kim ty jesteś? Jesteś wrzodem, który wytnę z ciała białej rasy i zostawię w odległym kącie sawanny, żeby tam gnił! A kim jest Winnetou? To godny pogardy człowiek, najbardziej tchórzliwy ze wszystkich Apaczów! Czy utraciłeś resztkę mózgu w lodzie ubiegłej zimy, że śmiesz twierdzić, że Czarny Mustang był ci posłuszny? Przysięgam ci na wielkiego Manitou i na duchy wszystkich naszych wodzów, za którymi podążymy do Wiecznych Ostępów. Przyjdzie czas, kiedy się dowiecie kto ma rozkazywać, a kto słuchać! Teraz jednak odpędzam cię precz od siebie jak odpędza się muchę. Odejdź ode mnie! Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę!

Old Shatterhand zachował zimną krew. Zapytał:

— Czy chcesz może przegadać swoje życie? Jesteś jeszcze naszym jeńcem, a nie wolnym człowiekiem!



— Pshaw! — zaśmiał się pogardliwie wódz. — Tokwi Kawa nie pozwoli się zastraszyć! Old Shatterhand powiedział, że nasze życie i wolność są zapewnione.

— Ach! A więc całkowicie polegasz na moim słowie? Czy wiesz, jaki mi wyświadczasz zaszczyt? Wypluj na mnie całą swoją złość, a jednak ja dotrzymam słowa.

— Ale tylko ze strachu przed nami, gdyż moje plemię może zażądać każdej kropli krwi, którą moglibyście nam zabrać, a wy możecie skończyć przy palu męczarni śmiercią, jaką nie zginęła jeszcze żadna blada twarz. Tylko strach, czysty strach nie pozwala wam zadraskać naszej skóry!

— Sądysz, że możesz mi teraz bezkarnie wymyślać, ponieważ dałem ci słowo. Wiesz, że ja nigdy nie splamiałem się kłamstwem i dlatego to wykorzystujesz i jesteś bezczelny. Tak jak ty szczeka pies, któremu wyłamano zęby, aby nie kąsał.

— A tym psem ty jesteś! — wrzasnął Komancz wściekle. — Popatrz na moją nogę! Wkrótce kopnie cię tak, że zawyjesz z bólu!

— Możesz sobie pozwolić na dużo ponieważ masz moje przyrzeczenie — upomniał go Old Shatterhand z łagodnym uśmiechem. — Ale nie posuwaj się za daleko! Jeśli nie potrafisz zapanować nad sobą, to wszyscy tego pożałujecie.

— Pożałujemy? I to słowo podsunął ci tylko strach. Mów co chcesz, ja się śmieję z twojej groźby!

Wtedy twarz białego myśliwego spoważniała, a jego głos zabrzmiał groźnie:

— Well! Stanie się zgodnie z twoim życzeniem. Ja spełnię tylko obietnicę, ale nie zrobię nic więcej. Zaraz się dowiesz jak to rozumiem. Postanowiłem przedtem postąpić z wami jeszcze łagodniej niż zobowiązałem się do tego. Ale teraz to przypało i moja przestroga się sprawdzi: będziesz gorzko tego żałował.

W odpowiedzi na to Komancz pomimo więzów poderwał się w górę i plunął Old Shatterhandowi w twarz. Widząc to Winnetou, zazwyczaj spokojny i wyniosły, ścisnął pięści i zawołał z gniewem:

— Szarlilh<sup>[70]</sup> on cię splamił swoją śliną. Kto ma go za to ukarać, ja czy ty?

— Nie ty, ale ja, lecz zrobię to inaczej niż myślisz — odrzekł biały westman. — On nie jest wart tego, żeby dotknęła go moja ręka.

Pozostali westmani byli bardzo oburzeni bezczelnym atakiem Komancza, który był pewny swojego bezpieczeństwa i nie usiłował powstrzymać swojego wybuchu wściekłości. Po

chwili, kiedy wiele głosów żądało odwetu, Kas nie mógł tego dłużej wytrzymać. Jego dobrodusze zwykle oczka błysnęły złowrogo. Podciągnął wyżej cholewy na swoich bocianich nogach i rzekł głośno:

— Mr Shatterhand! To już za dużo! Tego pan nie powinien tolerować! Jestem gotów zatkać mu tę szeroką paszczę!

— Czym?

— Rzemieniem, który założę mu na szyję. Potem podniesiemy go tam na drzewo, które ma kilka pięknych konarów wyśmienicie nadających się do tego celu. Jeśli mu przy tym zabraknie oddechu, to ja za to nie odpowiadam. Mógł ten oddech wykorzystać w lepszy sposób. „Kto się nie poruszy słowy, niech poczuje kij dębowy”, to stare i dobre przysłowie stosowane już dawno u spadkobierców Timpego!

— Dziękuję! Jeśli on się urodził, aby wisieć, to przypuszczam, że zdąży jeszcze znaleźć sobie stryczek. My nie musimy mu w tym pomagać.

— Co? — zawołał Hobble-Frank. — On pana tak obraził i obrzucił łupinami ze zgniłych jabłek i nie dostanie za to odpowiedniej nagrody? Ja tego nie zniosę, to mi się nie podoba jak pudłowi, którego cheszą szczotką pod włos! Uważam to za swój podstawowy obowiązek...

— Tu może być tylko mowa o moim obowiązku, a nie twoim, kochany Franku — przerwał Old Shatterhand. — Pozwól, żebym sam udzielił odpowiedzi temu czerwonoskóremu panu!

— Nie mogę się na to zgodzić! Nie mogę, bo wiem, że jeśli pan będzie nadal występował w roli prokuratora, to wiem z góry, że ten czerwonoskóry zamiast batów dostanie ryż na mleku z ostrygowym sosem.

— Nie bój się, Franku! Tym razem jestem daleki od pobłażania.

— Tak? Czyżby pan nareszcie zmądrzał? Wprawdzie późno, ale jednak! Czy zaplanował pan jakąś karę?

— Tak.

— A więc proszę wyświadczyć mi tę wielką przysługę i grzeczność, abym mógł być przy tym pierwszym śpiewakiem! Nie muszę uczyć się tej roli na pamięć, bo tak mu wykręcę wnętrze na zewnątrz, że bardzo łatwo będziemy mogli obie te strony wypukać. Proszę więc, panie inspektorze, o znak, kiedy ma się podnieść kurtyna. Wszystkie miejsca w teatrze są już zajęte, a publiczność się niecierpliwi.

— Dobrze, spełnię twoje życzenie. Czy twój nóż jest ostry?

— Ostry i szpiczasty jak błyskawica, panie Shatterhand.

— Well! A więc niech Kas i Has przytrzymają wodza, żeby nie mógł ruszyć głową, a ty utniesz mu całą czuprynę. Zostawisz tylko kilka kosmyków, do których przymocujemy te piękne, wschodnioazjatyckie ozdoby.

Mówiąc to wyciągnął z kieszeni warkocze dwóch Chińczyków, którzy ukradli strzelby.

— Hurra, prawie całkiem zapomniałem o warkoczach kang-keng-king-kong! Hurra! To olbrzymia stylistyczna myśl! Jestem tak uradowany i zachwycony jak gdyby dzisiaj był dzień moich imienin! To świetnie! Wódz pozbędzie się czupryny, a dostanie warkocze. Panowie Timpe, proszę, chodźcie tutaj! Wprawdzie wasze nazwisko nie ma pięknego klarnetowego dźwięku, ale przy takiej niesłychanej operacji nie będzie mi to przeszkadzało.

Wódz domyślał się, że chodzi o niego. Nie wiedział tylko do czego zmierzają. Zdawał sobie sprawę, że obraził Old Shatterhanda, a to mogło przynieść opłakane skutki. Tokwi Kawa wyraźnie się przestraszył, kiedy podeszli do niego Kas i Has i zaczęli mu się przyglądać.

— Czego tu chcecie? — zapytał z niepokojem.

Old Shatterhand odpowiedział za nich:

— Otrzymasz ode mnie podarunek za to, że byłeś dla mnie taki uprzejmy.

— Jaki podarunek?

— Przyszliście tutaj, aby zabrać skalpy żółtych ludzi, niestety, nie dostaliście ich, bo Chińczycy postanowili je sobie zatrzymać. Ponieważ dobrze wiesz, że jestem usposobiony do ciebie przychylnie, więc zrozumiesz, że jest mi przykro pozbawiać wodza skalpu. Moje dobre serce nakazuje mi ozdobić twoją głowę dwoma innymi skalpami. Spodziewam się, że przyjmiesz to ode mnie z wdzięcznością!

Tokwi Kawa nadal nie rozumiał o co chodzi. Nie wiedział jaki zamiar kryje się za uprzejmymi słowami westmana, więc nie odrzekł nic.

— Oczywiście warkocze powinny znaleźć się na głowie — ciągnął Old Shatterhand — sądzę więc, że będzie ci przyjemnie, jeśli je tam przywiążemy, a ty będziesz je nosił jako pamiątkę ode mnie.

— Uff, Uff! — zawołał Komancz wpadając w gniew. — Skalpów nie wiesz się na głowie, ale u pasa, a to nie są skalpy, tylko włosy tchórzliwych żółtych ludzi bez skóry. Wszystkie squaw wyśmieją i wyszydzą wojownika noszącego takie włosy.

— Ale ty mimo to będziesz je nosił, ponieważ ja ci daję je w prezencie, a jestem przyzwyczajony do szanowania moich darów.

— Schowaj je sobie! Ja ich nie chcę!

— Czy chcesz, czy nie, nie pytam o to. Przeznaczone są dla ciebie i dlatego zaraz ci je przyczepimy.

— Nie waż się tego uczynić! — krzyknął Tokwi Kawa. — Nie zapominaj o tym, że jestem wodzem!

— Pshaw! Wiesz bardzo dobrze, że ja także jestem wodzem białych myśliwych, a zarazem wodzem Apaczów, którzy obdarzyli mnie władzą równą Winnetou. A jak przemawiałeś do mnie przedtem? Czy sądzisz, płazie, że mogę cię szanować po twoich słowach? Tak ze mnie szydziłeś, że straciłeś wszystko w moich oczach. Jesteś poczwara, której przyczepię chińskie warkocze. Mam nadzieję, że to będzie przestroga dla twoich wojowników, którzy nie powinni myśleć, że Winnetou i Old Shatterhand to chłopcy, z którymi można robić co się komu podoba!

Tokwi Kawa znieruchomiał. Zagryzł wargi i syknął złowrogo:

— Ostrzegam cię! Nie hańb głowy wodza tymi odpadkami żółtych psów!

— Ty mnie ostrzegasz? Ja ostrzegałem ciebie także przedtem, a czy mnie posłuchałeś? Teraz za to zapłacisz. Nie wierzyłeś mi, kiedy ci mówiłem, że pożałujesz obelg rzucanych na mnie. Będziesz nosił te „odpadki żółtych psów”, a ja postaram się o to, żeby ci było z nimi do twarzy. Zdobi cię nie tylko lok skalpowy, ale także twoje własne włosy. Ta czupryna i warkocze to za wiele dla twojej głowy. Dlatego zetniemy ci włosy, aby zrobić miejsce na warkocze Chińczyków.

Wódz bardzo się przeraził. Nic gorszego nie mogło go spotkać. Jeśli stanie się tak, jak chce westman, to będzie zhańbiony. Pomimo więzów podniósł się do połowy i głosem drżącym od niepowstrzymanej wściekłości krzyknął:

— Chcesz mi obciąć włosy?! Moje włosy, ozdobę głowy, wyraz siły i siedzibę orlich piór, które świadczą o mojej władzy i sławie!

— Tak, i to natychmiast.

— Spróbuj, spróbuj, jeśli chcesz zginąć śmiercią, która ogromem cierpień dorówna męczarniom tysiąca na śmierć zamęczonych ludzi!

— Pshaw! Ta groźba budzi we mnie śmiech, ale nawet na chwilę nie odwlecze wykonania tego, co sobie zaplanowałem! Połóżcie go i przytrzymajcie!

Obaj Timpowie podnieśli wodza, rozciągnęli go na ziemi i przytrzymali w tej pozycji bez żadnego wysiłku. Tokwi Kawa nie stawiał w tej chwili oporu i zachowywał się jak mały chrząszcz udający w razie napaści martwego. Leżał z zamkniętymi oczami i mrucał półgłosem:

— Nie, on się nie odważy, nie może się odważyć na obcięcie wodzowi włosów. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, nigdy, odkąd istnieją czerwoni wojownicy i biali ludzie!

— Jeśli to rzeczywiście nie zdarzyło się jeszcze nigdy, to stanie się teraz — odpowiedział Old Shatterhand. — Zaczynaj Franku! Nie traćmy czasu!

— Całkiem słusznie — odrzekł mały odkładając na razie warkocze i podchodząc do Komancza z nożem w ręku.

Wódz usłyszał kroki, otworzył oczy i zobaczył zbliżającego się Franka. Zorientował się, że to co uważał za niemożliwe, miało jednak dojść do skutku, a to stwierdzenie dodało mu sił. Mimo że miał ręce związane na plecach, strącił z siebie braci Timpów. Kas i Has natychmiast go złapali, ale wódz szarpał się na wszystkie strony. Obawa przed hańbą tak go ożywiła, że trzeba było pomocy jeszcze dwóch ludzi, aby go wreszcie unieruchomić. Dopiero wtedy można było się zabrać do dzieła. Frank z zapalem zabrał się do ścinania. Zaledwie podniósł w ręku pierwszy obcięty kosmyk ciało Komancza wyprężyło się z całych sił. Po nadmiernym wysiłku wódz opadł bezsilnie. Poddał się swemu losowi nie poruszywszy się ani razu. Pozwalał nawet Frankowi, stosownie do potrzeby, przekładać głowę to w lewo, to w prawo. Gdyby to się nie działo na Dzikim Zachodzie, można by sądzić, że wódz został uspijony. W ten sposób obcięto mu całą czuprynę z wyjątkiem cienkiego pasma. Frank podniósł teraz oba warkocze w górę i zawołał:

— Tak, peruki już nie ma, ale na jej miejsce przyjdą loki! Uważajcie, moi państwo, jak ukoronuję go teraz na księcia i zdetronizowanego cesarza chińskiego! W każdym położeniu życiowym jest taka sytuacja, kiedy człowiek prosto stojący czasem się położy. W takiej sytuacji znajduje się teraz wódz Komanczów, ponieważ leży przede mną spokojnie i cicho jak półtora litra wylanej maślanki. Posłuchał naszej delikatnej namowy i z wzniosłą cierpliwością poddał się swemu losowi. To zasługa z jego strony i należy mu ją wynagrodzić, dlatego przypinam do jego głowy koronę i pytam pana, Mr Old Shatterhand, jaki powinienem nadać mu tytuł, gdyż z chińskimi ogonami na karku nie będzie już Czarnym Mustangiem.

Old Shatterhand podchwycił to pytanie i odrzekł:

— Masz słuszność, kochany Franku. Odbierzemy mu dotychczasowe nazwisko i damy inne. Przysłał teraz do Chińczyków, którym wymyślał od żółtych psów i odtąd niech się nie

nazywa Tokwi Kawa, ale Mungwi Eknan Makik.

Te trzy słowa znaczą „Wódz Żółtych Psów”. Hobble Frank, chcąc dopieć wodzowi jeszcze bardziej, zaczął wołać najpierw po angielsku, a potem w narzeczu Komanczów:

— Słuchajcie, panowie! Wódz Komanczów okazał się niegodnym swego dotychczasowego imienia, a przedtem, gdy go przesłuchiwaaliśmy, był tak tchórzliwy, że wypierał się swoich zamiarów. Wobec tego wykreślamy go z szeregów odważnych czerwonoskórych wojowników. Stracił też prawo noszenia swojego leku. Odbieramy mu go, a przywieszamy inny, mianowicie włosy Chińczyków. Na cześć nowego leku będzie się odtąd nazywał Mungwi Eknan Makik. Old Shatterhand tak powiedział!

Są w życiu Indianina sytuacje i przedmioty, które mają nadzwyczajne znaczenie. Najważniejszym zdarzeniem jest nadanie imienia, a najważniejszym przedmiotem woreczek z lekami. Indianie nie nadają dzieciom imion ani nazwisk i każdy musi sam je sobie zdobyć, zasłużyć na nie przez wybitne czyny lub zalety. Jeśli te zalety utraci lub spowoduje zapomnienie czynów, odbiera mu się jego imię. Indianin taki jest zmuszony starać się o nowe wśród wielu niebezpieczeństw, jeżeli wcześniej nie wykluczy go plemię. Zaszczytne imię posiada więc dla Indianina taką samą wartość jak życie.

Podobnie przedstawia się sprawa z lekiem. Jego zdobycie jest często mozolne i połączone z nadaniem imienia. Słowo „lek” nie ma takiego znaczenia jak u białych. Kiedy pierwsze blade twarze przybyły do Indian, czerwonoskórzy nie znali lekarstw. Ich działanie było dla Indian niewytłumaczone, uważali je za czary, za coś pochodzącego od dobrego lub złego ducha. Toteż z czasem przyzwyczaili się nazywać wszystko, co łączyli z wpływem boskim, zasłyszonym od białych słowem „lek”.

Teraz czasy się zmieniły. Zniknęły stada bawołów i mustangów, a wraz z nimi żylaste, silne postacie czerwonoskórych wojowników i białych westmanów. Ludzie jak Old Firehand, Old Surehand, Sam Hawkens, o których sławie opowiadali wszyscy, przeszli już niemal do baśni, a gdy ktoś usłyszy, że jeszcze żyje Old Shatterhand, a sam go nie widział, jest skłonny przypuszczać, że to nieprawda. Jednak wtedy, gdy sawanny i Góry Skaliste, głęboko wcięte kaniony i parowy Dzikiego Zachodu były terenami dzielnych czynów godnych homeryckich bohaterów, kiedy rzeczywiście istniał Dzikie Zachód, Indianin nie był opuszczony przez Boga i ludzi, nie był jeszcze zniewolonym człowiekiem, jakim stał się teraz, wtedy wiedział co to jest honor, wtedy istniały dla niego ideały i pojęcia, które stawiał wyżej od ziemskiego dobrobytu.

Wtedy posiadał on jeszcze widoczny przedmiot, z którym wiązał dążenie do ideału. Był nim lek.

Specyficzne własności leku podnosiły jeszcze warunki i ceremonie, wśród których można go było zdobyć oraz znaczenie, jakie miał dla całego życia. Lekiem mógł być każdy przedmiot, ale ile i jakiegokolwiek byłyby one w pleminiu, ich znaczenie zawsze było takie samo. Lek był symbolem wszystkiego, co wzniosłe i święte. Od jego posiadania zależało dobre imię, cześć, cała przyszłość i zbawienie właściciela, a biada temu, kto by go utracił przez nieuwagę albo w walce z nieprzyjacielem. Taki wojownik był już zhańbiony, czasami na całe życie, a przynajmniej do czasu, kiedy nie zdobył drugiego, nowego lub nie odbił poprzedniego. Bez leku nie miał prawa żyć w pleminiu, nawet krewni go unikali, gdyż każdy, kto się z nim stykał, stawał się tak samo pozbawionym czci jak on.

Można sobie zatem wyobrazić jaką karą, jak olbrzymią stratą było dla Czarnego Mustanga odebranie mu leku! Hańbę z tego powodu zwiększała jeszcze ta okoliczność, że zamiast woreczka z lekami miał otrzymać dwa chińskie warkocze.

To równało się nie tylko zerwaniu epoletów wysokiemu oficerowi lub generałowi, a przyczepieniu zamiast nich uszu zajęczych lub psich ogonów, to było czymś o wiele gorszym. Taki oficer byłby zhańbiony tylko na całe życie, tymczasem Czarny Mustang tracił prawo przejścia do Wiecznych Ostępów. Toteż kiedy Old Shatterhand obwieścił, że odbierze Tokwi Kawie lek, nie usłyszał żadnej odpowiedzi. W głębokiej ciszy wszyscy oczekiwali czy zrobi to naprawdę.

Old Shatterhand skinął na Franka, żeby przymocował warkocze do pozostałego pasma włosów. Frank uczynił to z przyjemnością. Wtedy Old Shatterhand zbliżył się do wodza, który miał woreczek z lekami zawieszony na szyi. Westman przeciął sznurek i powiesił sobie lek na szyi mówiąc tak głośno, aby wszyscy go słyszeli:

— Zawieszając sobie ten woreczek na szyi wieszam wodza Komanczów, Tokwi Kawę, który utracił nie tylko życie, ale i duszę. U moich stóp nie leży już Czarny Mustang, lecz Mungwi Eknan Makik, żółty pies z dwoma chińskimi warkoczami. Słyszeliście i widzieliście to wszyscy. Howgh!

Biali przyjęli to z radością, natomiast Indianie podnieśli wielki krzyk. Jeńcy, pomimo że byli powiązani po dwóch, szarpali więzy, podskakiwali, tarzali się próbując się uwolnić. Nie żalowali przy tym wyzwisk i najbardziej obraźliwych słów.

Czarny Mustang szalał. Kilku ludzi z trudem mogło go utrzymać. Wyprowadziło to

wreszcie z równowagi zwykle opanowanego Winnetou, który rzekł:

— Winnetou sądził, że synowie Komanczów są także ludźmi, ale ich wrzaski i wyzwiska dowiodły, że był w błędzie! Chciał z nimi postąpić jak z wojownikami wziętymi do niewoli, ponieważ jednak bryzgają jadem ropuch, obejdzie się z nimi jak z ropuchami i postara się o to, aby im ten jad odebrano. Nie zbliżą się już do nikogo, by go obryzgać, a niebawem dowiedzą się, w jaki sposób to się stanie. Zwleczone ich z góry i zabierzcie do parowu, gdzie będziemy ich pewniejsi niż tutaj! Tam naradzimy się co z nimi zrobić.

Usłyszawszy to Czarny Mustang zawołał:

— Nie macie się nad czym naradzać! Old Shatterhand przyrzekł nam życie!

— Życie! — rzekł Winnetou najwzgardliwszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Gdyby wodza Apaczów spotkało to co ciebie, to wyrzekłby się ochoty do życia. Wbiłby sobie w serce swój własny nóż. Tymczasem ty prosisz o dalszy ciąg swojej hańby.

— Psie! — krzyknął Komancz. — Ja nie proszę! Chcę żyć tylko po to, żeby się na was zemścić, jak nie zemścił się jeszcze żaden czerwonoskóry wojownik!

— Pshaw! Spróbuj to zrobić! Jak bardzo nie troszczymy się o twój gniew i jak mało boimy się twojej zemsty pokażemy ci w ten sposób, że darujemy ci życie.

Po tych słowach Apacz odwrócił się z pogardliwym wyrazem twarzy i ujął Old Shatterhanda za rękę, aby z nim zejść po zboczu. Obaj byli zbyt dumni na to, żeby patrzeć, w jaki sposób zostanie wykonany rozkaz Apacza. Sprowadzenie jeńców na dół nie odbyło się zbyt delikatnie, chociaż robotnicy nie mieli zamiaru krzywdzić jeńców. Na dole obwałowano z jednej strony ogień w ten sposób, że pomiędzy nim a skałą powstało miejsce, któredy przeprowadzono jeńców. Potem poukładano ich parami. Robotnicy kolejowi mieli wielką ochotę zabrać im broń, ale Old Shatterhand sprzeciwił się temu.

— Stać! — zawołał. — Niech wszystko tak leży. Jeszcze nie wiadomo co postanowimy.

Robotnicy posłuchali, choć wśród nich było wielu nie lubiących poddawać się czyjejs woli, ale wobec takich mężów jak Winnetou i Old Shatterhand nie ośmielili się protestować.

Właściwie cztery osoby miały rozstrzygnąć o losie Komanczów, a mianowicie dwaj słynni westmani i dwaj inżynierowie z Rocky Ground i Firwood Camp. Ponieważ jednak drugi z nich wynalazł sobie bezpieczne schronienie i postarał się o to, żeby go nie widziano, było zrozumiałe, że go wykluczono. Usiedli więc tylko we trzech, aby się naradzić. Inżynier Swan jeszcze nigdy nie brał udziału w takiej naradzie. Nie zastanawiał się wcale kto pierwszy powinien



zabrać głos. Zaledwie usiadł rzekł tonem pełnym przekonania:

— Te draby muszą zginąć, to nie ulega wątpliwości. Pytanie tylko: jak? Proch i ołów są drogie. Rzemienie natomiast nic nas nie kosztują, najprościej było by ich powiesić. Jestem pewien, moi panowie, że jesteście tego samego zdania.

Przez poważną twarz Apacza przemknął lekki uśmiech. Ale nie odpowiedział, wolał, aby to zrobił za niego Old Shatterhand, który również z uśmiechem skinął głową do inżyniera i odparł:

— Well, sir! Cieszy nas to bardzo, że nas tak odpowiednio oceniliście. My oczywiście jesteśmy także zupełnie pewni, że muszą umrzeć, ponieważ my jako ludzie...

— Pięknie, ładnie! — wtrącił skwapliwie inżynier. — Rozstrzelanie byłoby także zbyt wielkim zaszczytem dla takich łotrów, a więc wieszając, co ja...

Urzędnik urwał nagle, gdyż powstrzymał go tak rozkazujący ruch ręki Old Shatterhanda, że słowa zamarły mu w ustach. Jednak świadomy swojej godności uczestnika sądu preriowego rzekł po chwili:

— O co chodzi? Czemu mi przerywacie?

— Aby pokazać panu, jak to działa na człowieka, gdy mu przerywają w mowie.

— Jak to?

— Nie pozwolił mi pan dokończyć zdania. Sąd preriowy to rzecz poważna, sir. Tu nie wypada tak prędko wrywać się ze swoim zdaniem dopóki nie wypowiedzą się ludzie Dzikiego Zachodu.

— Well! Ale przyznaliście przecież, że jeńcy muszą umrzeć! Nieprawdaż?

— Tak. Jednak gdyby pan mi nie przerwał, dowiedziałyby się pan, dlaczego muszą umrzeć. Chciałem właśnie zaznaczyć, że jesteśmy pewni ich śmierci, ponieważ wszyscy jako ludzie jesteśmy śmiertelni.

— Ach, więc tylko dlatego?

— Tak

— A więc mają umrzeć, ponieważ są w ogóle śmiertelni, a nie dlatego, że zagrażali naszemu życiu?

— Całkiem słusznie!

— Hm! Jak pan to rozumie, Mr Shatterhand?

— Umrą prędzej czy później, bo są właśnie śmiertelnymi ludźmi. My nie mamy prawa

ich zabijać. Albo mówiąc dokładniej: pan tego prawa nie ma.

— Jak to?

— Czy wyrządzili panu taką krzywdę, którą według prawa preriowego karze się śmiercią?

— To... hm... rzeczywiście nie — odrzekł inżynier przeciągle.

— Wobec tego nie może pan mówić o wieszaniu. My, to jest Winnetou i ja, moglibyśmy zabić Tokwi Kawę, ponieważ ukradł nam broń i konie, a mimo to obiecaliśmy mu, że nie zginie ani on, ani żaden z jego ludzi.

— Czy nie dał pan tego przyrzeczenia trochę za wcześnie?

— W odpowiedzi zadam panu pytanie: czy słyszał pan kiedyś, żeby Old Shatterhand i Winnetou postąpili pochopnie?

— Nie. Bardzo was za to przepraszam!

— Nie widzę więc powodu do długich narad, gdyż postanowiliśmy już co się stanie z Komanczami, a sądzę, że co my uważamy za słuszne, to także panu wyda się możliwe do przyjęcia.

— Niech pan mówi, Mr Shatterhand!

— Nie moglibyśmy ich zabić nawet wtedy, gdyby zasłużyli na śmierć. Nie jesteśmy mordercami.

— Well! Zgoda!

— Oczywiście zasłużyli na karę, chcieli przecież napaść na Firwood Camp. Najlepszą i najsprawiedliwszą karą jest zawsze ta, która nie dopuszcza, aby zbrodniarz mógł powtórzyć swój czyn. A więc musimy odebrać Komanczom sposobność urządzenia nowego napadu. Udaremnimy im to w ten sposób, że za zamierzone na dziś wtargnięcie do Firwood Camp weźmiemy ich broń i konie.

— Brawo! To niezłe! To mi się podoba! Ale kto zabierze te rzeczy?

— Wy i wasi robotnicy. Traktuję to jako koszt sądowo-karne, które należy rozdzielić pomiędzy was w nagrodę za pomoc.

— Bardzo dobrze, a ludzie z Firwood Camp?

— Nagrodę otrzymują tylko ci, którzy nam pomogli.

— Jest ich tak mało, że chętnie oddamy to, co należało by się im.

— Odebraliśmy Czarnemu Mustangowi lek, ponieważ był bezczelny i obraził nas

pomimo że znajdował się w naszej mocy. Chcieliśmy oszczędzić wodza, jego ludzi i zostawić im leki. Lecz niestety, tak samo jak Czarny Mustang, szydzili z nas i obrzucali wyzwiskami, więc spotka ich ta sama kara.

— Całkiem słusznie, sir! To, co ci czerwonoskórzy uważają za lek, jest tylko fantazją, z której można się tylko śmiać.

— Nie ma pan racji. Nie chodzi tu o fantazję, ale o przekonania religijne, o najświętsze i najgłębsze uczucia, jakie mieszkają w ich sercach. Pan tego nie rozumie. Jeśli zabierzemy im leki, ograbimy ich nie tylko z najcenniejszych dóbr ziemskich, ale ich zdaniem pozbawimy ich nawet możliwości zbawienia.

— Pshaw! Wieczne Ostępy! To śmieszne!

— To wcale nie jest śmieszne. My, chrześcijanie, mówimy o niebie, Mahomet o siedmiu niebach, Bramini mają swoją nirwanę<sup>[71]</sup>, Lapończycy wieczne łąki reniferowe, Eskimosi niebieskie morza z fokami i wielorybami, a Indianie swoje Wieczne Ostępy. Kara, jaką przeznaczamy Komanczom, jest straszna. Nie chciałem do niej dopuścić, ale tak bardzo nas upokorzyli swoimi wyzwiskami, że nawet Winnetou, który przecież jest też Indianinem, nie mógł tego ścierpieć. Mimo groźby, że odbierze Komanczom ich jad, nie usłuchali go. Muszą wiedzieć, że nie można nas bezkarnie obrażać. Wieść o tym zdarzeniu rozniesie się szybko między Indianami i zdobędzie nam wśród nich szacunek. Czy Winnetou zgadza się na to?

— Mój biały brat mówił jak z mojej duszy — odrzekł Apacz. — To co czyni Old Shatterhand jest tym samym, co ja bym zrobił. Odbierzemy im leki.

— Ależ oni się straszliwie zemszczą. Myślicie, że nie? — zapytał inżynier.

— Oczywiście, że będą myśleli o zemście, ale nie nad wami, tylko nad nami — odrzekł Old Shatterhand. — Właśnie dlatego, że odbierzemy im leki, odwrócimy ich zemstę od was i skierujemy ją na siebie. Będą musieli opuścić te strony i pójść na piechotę do swoich pastwisk, a zanim tam dotrą będzie im ciężko, ponieważ nie mają broni. Nie będą mogli polować, zostanie im łowienie ryb. Będą musieli żywić się przeważnie jagodami i dzikimi owocami, a to przedłuży ich wędrówkę. A kiedy wrócą do domu, ich współplemieńcy będą ich unikali, bo zauważą brak leków. Aby na powrót zdobyć sobie cześć wojowników i szacunek u współplemieńców, będą musieli się postarać o nowe leki, co może trwać całymi latami. Tutaj więc, na teren swojej bezprzykładnej hańby, nie wrócą szybko. Natomiast biada mnie i Winnetou, gdybyśmy kiedyś nieszczęśliwie wpadli im w ręce!

— A nie boicie się?

— Bać się? Dlaczego? Gdyby człowiek na Dzikim Zachodzie lękał się wszystkiego, to nie żyłby tu długo. A więc sprawa załatwiona. Czy doda pan coś jeszcze do naszego postanowienia, Mr Swan?

— Nawet nie spróbuję — roześmiał się inżynier. — Odebraliście mi panowie wszelką ochotę do dalszej dyskusji. Ale co zrobimy ze zwiadowcą siedzącym w studni? Czy on także wierzy w woreczki z lekami?

— Nie. Pogońcie go kijem i wypuście.

— Postaram się o to, sir, postaram się, jak się należy. Moi ludzie ucieszą się zdobyczą, którą dostaną. Koni oczywiście nie potrzebują, ale jeżeli przewieziemy je kilka stacji koleją, będziemy mogli je sprzedać za wcale porządne ceny.

— Ja i moi towarzysze nie chcemy niczego z łupu prócz dwóch koni, które wybiorę dla Franka i Drolla, bo ich są bardzo kiepskie.

— Well! Wybierzcie najlepsze! Należą wam się, bo że ujęliśmy Komanczów tak ładnie, to nie nasza, ale wasza zasługa. Sądzę, że narada skończona.

— Tak. Ja zawiadomię wodza o jej wyniku. Usłyszymy zapewne wrzaski wściekłości, ale nie powinno to na nas zrobić żadnego wrażenia.

Old Shatterhand wstał i razem z Winnetou poszedł do Tokwi Kawy, którego pilnowali Frank i Droll. Ciekawy Hobbles nie czekał na to, co mu powiedzą, ale zawołał:

— Panowie radni wychodzą z ratusza, a więc posiedzenie plenarne i komisyjne zamkniecie. Czy sejm — tu wskazał na Old Shatterhanda i Winnetou — i izba niższa — przy tym wskazał na inżyniera — powzięły już swoją decyzję?

— Zaraz ją usłyszysz — odparł krótko Old Shatterhand. Zwracając się do wodza rzekł, nie nazywając go już dawnym, ale nowym, pogardliwym imieniem: — Niech Mungwi Ekan Makik usłysz, co postanowiono o nim i jego wojownikach!

Wódz odwrócił głowę na bok, dając tym do zrozumienia, że wszystko co mu powiedzą, jest dla niego śmieszne i obojętne. Old Shatterhand nie zwrócił na to uwagi i oznajmił tak głośno, żeby usłyszeli go wszyscy czerwonoskórzy:

— Synowie Komanczów zasłużyli na śmierć, ponieważ chcieli wymordować i oskalpować mieszkańców Firwood Camp, my jednak przyrzekliśmy im życie i dotrzemy słowa.

Oczy wodza rozbłysły radośnie i zawołał:

— Uff, uff! Każ więc zdjąć nam więzy i puść nas, abyśmy mogli odjechać!

— Kto nie ma konia, nie może na nim jechać — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Przecież mamy konie! — odrzekł wódz.

— Mylisz się, gdyż wszystkie wasze konie i cała broń należą do nas.

— Nasze konie i broń? — krzyknął Indianin. — Czy chcesz nas okraść?

— Milcz! — zgromił go Old Shatterhand. — Jesteście mordercami, a my was zwyciężyliśmy. Mimo to nie chciałem postąpić z wami surowo, wy jednak wbrew mojej przestrodze sztydziliście z nas i miotaliście obelgi. Nie wierzyłeś, że spotka cię kara i sztydziłeś dalej. A teraz, gdy oznajmiam ci o karze, zarzucasz mi chęć kradzieży! Ty, który odtąd nazywasz się tylko Mungwi Eknan Makik!

— Psie! — ryknął Indianin. — Nie nazywaj mnie tak!

— Pshaw! Daremne żądanie! Ja i tysiąc innych będą cię tak nazywali, a jeśli jeszcze raz usłyszę z twoich ust takie słowo jak pies, to każę cię oćwiczyć do krwi. Utraciłeś już lek, potrzeba ci jeszcze tylko bata, żebyś mógł uchodzić za najędzniejszego ze wszystkich robaków.

— Ja się zemszczę, zemszczę się straszliwie!

— Jak? Przy pomocy swego plemienia? Przecież nie możesz się tam wcale pokazać!

— Mam tutaj dość posłańców, żeby wzburzyć przeciwko wam cały szczep.

— Żaden z nich nie odważy się zbliżyć do miejsca, w którym są ucziwi wojownicy, ponieważ im także odbierzemy leki.

Wódz otworzył już usta do odpowiedzi, ale to co usłyszał, wydało mu się tak potworne, że nie wypowiedział ani słowa. Old Shatterhand mówił dalej:

— Twoi wojownicy mieli szansę, żeby zachować swoje leki i odejść z nimi, ale tak samo jak ty obrzucali nas wyzwiskami i tak samo obrazili. A więc im także odbierzemy leki i wrzucimy w ogień. Kiedy wstanie dzień, będziecie mogli odejść z życiem, które obiecałem wam darować, ale wszystko poza tym zostawicie tutaj. Zostawicie także ucziwe imiona, cześć i szacunek, których teraz odmówią wam małe dzieci i stare kobiety. Howgh!

Odpowiedzią był, tak samo jak poprzednio na górze, nieopisany wybuch wściekłości, który wzmógł się jeszcze, gdy Indianom rzeczywiście zabrano leki i wrzucono je w ogień. Ten rodzaj zniszczenia był zręcznie obmyślony przez Old Shatterhanda. Wiadomo bowiem, że jeśli czerwonoskóry wojownik utraci swój lek, robi wszystko co może, aby go odzyskać zanim

zacznie się starać o nowy. Gdyby robotnicy kolejowi zatrzymali woreczki z lekami, Komancze na pewno zostaliby potajemnie w tej okolicy, aby odzyskać utracone leki. Natomiast kiedy ta ich świętość została spalona, nie mieli tu czego szukać. Pozostał tylko jeden, należący do wodza, który zatrzymał sobie Old Shatterhand na pamiątkę, chociaż wiedział, że Czarny Mustang wyteży wszystkie siły, żeby go odebrać.

Biali mieli wiele kłopotu z zaprowadzeniem spokoju wśród Indian. Old Shatterhand wybrał dwa najlepsze konie dla Franka i Drolla, a gdy w pewnej chwili przeszedł obok wodza, ten ofuknął go jak dziki kot:

— Jak byś się cieszył, gdybym tutaj przyjechał na moim czarnym mustangu! Chociaż twoja dłoń jest niegodna dotknąć nawet piany z jego pyska, jednak zostałyby twoją własnością. Musisz się więc wyrzec najlepszego konia, jaki istnieje między jedną Wielką Wodą a drugą. Śmieję się z ciebie!

— A ja z ciebie jeszcze bardziej — odparł myśliwy. — Przecież sam powiedziałeś wyraźnie ile jest wart twój karosz. Koń, któremu z pyska cieknie piana, jest do niczego. Nawet gdybyś mi go podarował, nie przyjąłbym go, byłoby to nawet dla mnie obelgą, której nie mógłbym przebaczyć. Możesz zatrzymać sobie swoją czatlo!

Komancz chciał rozdrażnić Old Shatterhanda i obudzić w nim zazdrość, a tymczasem otrzymał odpowiedź, która go zaskoczyła. „Czatlo” znaczy „żaba”. Co za obelga, żeby słynnego mustanga nazwać żabą! Z taką samą więc złością jak wtedy, gdy mu odbierano lek, Indianin wybuchnął:

— To ty masz pianę na ustach! Wielki Manitou stworzył ciebie i zesłał na Ziemię, żeby wszystko obrzydzić i opluć! Czy sądzisz, że twój ogier i kary Winnetou są słynne? Wobec mojego mustanga są one jak dwa palce Indianina grabarza żyjącego brudem i korzeniami w porównaniu ze zwycięską włócznią wojownika Komanczów!

Old Shatterhand nie trudził się udzielaniem odpowiedzi i odszedł. Potem przez losowanie rozdzielono konie i broń Indian, żeby nikt nie narzekał, że został oszukany przy podziale łupów. W trakcie losowania Frank z Drollem i braćmi Timpe siedzieli na osobności. Nie spodziewając się już niczego z losowania, rozmawiali trochę o wypadkach tego dnia, a trochę o planach na przyszłość. Ponieważ Old Shatterhand i Winnetou chcieli jechać z braćmi Timpe, a Droll i Frank nie chcieli się z nimi rozstać, więc Frank rozplýwał się w zapewnieniach, że dokona wielkich czynów na korzyść Kasa i Hasa.

— Jestem Heliogabal Morfeusz Edeward Franke — mówił — i sądzę, że poznać mnie bliżej. Mój dom w ojczyźnie nosi nazwę „Niedźwiedzie Sadło”, gdyż w całej Ameryce nie uchowało się wiele niedźwiedzi, z którymi jeszcze się nie porachował mój sztucer. Wszystkie te niedźwiedzie zostały pochowane w moim żołądku i...

— Ze skórą i kudłami? — przerwał mu Kas.

— Niech pan nie plecie takich bzdur, panie Timpe! Czy pan myśli, że pożerałem niedźwiedzie z futrem? Czy panu się zdaje, że mój żołądek jest sklepem kuśnierskim, albo magazynem na podróżne futra, skórzane buty i rzeczy w tym rodzaju? Czy w ogóle widział pan kiedykolwiek niedźwiedzia?

— Oczywiście!

— Tak, oczywiście! W elementarzu z obrazkami. Ja strzelałem do niedźwiedzi!

— Także w elementarzu?

— Niech pan będzie cicho, kiedy mówią mądrzejsi od pana! Pan nie wyszedł nawet poza swój elementarz, a ja byłem w Ameryce wiele razy.

— A ja nie?

— A kiedy pan był?

— Teraz; siedzę przecież obok pana!

— Pan? Obok mnie? Hm, tak to prawda; dopiero teraz pana zauważyłem. Nie miałem najmniejszego pojęcia o tym, że pan znajduje się obok mnie! Z tego może pan łatwo wywnioskować, że jest pan dla mnie niczym, że dbam o pana z pańskim elementarzem tyle, co o zeszłoroczny śnieg. Ale ponieważ jesteśmy ziomkami, więc myślę, że pomogę panu mimo wszystko w odzyskaniu spadku. Zajmę się panem tak jak rodzony brat, aby mógł pan wrócić do ojczyzny jak szanowany i poważany Timpe.

Hobble-Frank prawdopodobnie przemawiałby dalej, gdyby nie nagły huk wystrzału. Old Shatterhand był jeszcze zajęty losowaniem broni, teraz odwrócił się szybko i dostrzegł Winnetou z dymiącą strzelbą, zapytał więc:

— Czemu strzelałeś?

— Ktoś zaglądał zza krawędzi skały — odrzekł Apacz.

— Trafiłeś go?

— Nie. Głowa zniknęła, gdy przyłożyłem palec do cyngla.

— Czy widziałeś go dokładnie?

— Tak.

— A co jeszcze zauważyłeś?

— To nie był biały.

— A więc Indianin?

— Winnetou nie wie tego dokładnie. Głowę było widać dopóki nie podniosłem strzelby.

Potem znowu zniknęła.

— Hm! Nikt z naszych nie został na górze. Niech mój czerwony brat pójdzie tam razem ze mną. Ten człowiek nie będzie wprawdzie czekał aż przyjdziemy, ale dobrze będzie postawić tam kogoś na straży, żeby nas ubezpieczał.

Old Shatterhand i Winnetou udali się na górę zabierając ze sobą braci Timpów, żeby postawić ich na straży. Kiedy po jakimś czasie wrócili na dół, Frank zapytał ich o wynik poszukiwań i dowiedział się, że nie znaleźli nikogo. Na górze panowała ciemność, a badanie śladów nie doprowadziłoby do niczego, ponieważ wszystko rozdeptali robotnicy i w pobliżu parowu nie można było odróżnić śladu pojedynczego człowieka.

Noc się kończyła, wkrótce zaczął szarzeć dzień. Nie było sensu trzymać dalej Indian w niewoli, ale nie należało ich uwalniać w pobliżu obozu. Byli oni wprawdzie bezbroni, ale duża ich liczba i tchórzliwość mieszkańców Firwood Camp mogła im ułatwić napad. Dlatego postanowiono wywieźć ich dość daleko w prerię i potem stopniowo po kilku wypuszczać. Tam bowiem, dzięki równości terenu, można ich było obserwować. Zresztą Komancze z pewnością przypuszczali, że będą śledzeni, a więc na razie nie było sensu wracać do Firwood Camp.

Inżynier Swan udał się do Firwood Camp, żeby zatelegrafować do Rocky Ground po pociąg, a w międzyczasie Old Shatterhand i Winnetou udzielili kolejarzom wskazówek dotyczących zabrania jeńców. Robotnicy rozwiązali Indian zostawiając im skrepowane ręce na plecach. Końce więzów przymocowano do strzemion, a robotnicy wsiedli na konie i ruszyli prowadząc czerwonoskórych w kierunku prerii. Old Shatterhand towarzyszył im w drodze przez las, po czym wraz z westmanami powrócił, aby czekać na pociąg.

Teraz dopiero pojawił się inżynier Leveret. Dowiedział się jak ukarano Komanczów, nazwał to głupotą i żałował, że ich nie powieszono. Zgromiony jednak przez inżyniera Swana odszedł jak niepyszny.

Kiedy nadjechał pociąg, wszyscy wsiedli do wagonu zabierając ze sobą konie przeznaczone dla Franka i Drolla. Obaj byli zadowoleni, że stali się właścicielami tak dobrych



zwierząt.

Należało jeszcze ukarać Metysa. W tej sprawie Frank odezwał się do Old Shatterhanda podczas jazdy:

— Teraz przedłożę panu prośbę, której pan nie może odrzucić.

— Jaką?

— Czy nie powiedział pan, że ten Ik Senanda zwany Yato Inda powinien dostać baty i dopiero wyjść na wolność?

— Tak.

— Niech pan posłucha! To za mała kara dla takiego człowieka jak on! Baty bierze każdy chłopiec, który chodzi do szkoły, chociaż nie jest Metysem. I pan prawdopodobnie dostawał lanie od ojca, chociaż nie nosił pan się wtedy z zamiarem wydawania Indianom gromady Chińczyków. Ja natomiast, choć wyposażony już wtedy tak obficie we wrodzone zalety i odznaczony przez naturę, musiałem także doświadczyć istnienia troskliwych ojców i przychylnych matek, którzy obcinają różgę tam, gdzie wyrosła i uderzają nią w sposób nieodpowiedzialny tam, gdzie, jak długo żyć będzie, nigdy nie odrośnie. O tej prawdzie przekonywałem się dość często i boleśnie, chociaż nie przyszło mi wtedy na myśl przyjmować w Firwood Camp posadę zwiadowcy. Chciałem więc powiedzieć, że najlepszy człowiek nie umknie znajomości z panną Rózią Brzezińską, a z tym łotrem, który zasługuje na całkiem inną karę, mamy się obchodzić jak z jajkiem i nie dać mu nic więcej prócz batów? Proszę pana, najszanowniejszy panie Shatterhand, jeśli posiada pan w sercu jeszcze odrobinę poczucia sprawiedliwości, uzna pan zapewne, że to zbyt mało. Zniżam się więc do zaszczytu przedstawienia panu wniosku, który spoczywa głęboko w mojej duszy, a muszę go stamtąd wydobyć, jeśli moje serce nie ma się od tego udusić i zginąć jak kanarek karmiony papryką i nasieniem cebuli.

Wszyscy z wyjątkiem Winnetou śmiali się ze sposobu wyrażania się małego westmana. Old Shatterhand zaś zapytał:

— A więc z jakim wnioskiem występujesz?

Właściwie sam mógłby się pan domyślić, zwłaszcza że pańskie wiadomości także są nie byle jakie. Każdy wykształcony jurysta<sup>[72]</sup> i prokurator<sup>[73]</sup> oprócz paragrafów o okolicznościach łagodzących zna także tak zwane okoliczności obciążające. Toteż można, zwłaszcza przy batach, nałożyć karę lżejszą lub cięższą. Ja głosuję za tą drugą.

— Masz więc na myśli cięższy kij, a tym samym grubszy?

— Niezupełnie. Z własnego doświadczenia wiem, że cienka Rózia dużo bardziej dolega, ponieważ lepiej zacina. Wiecie, moi panowie, gruby kij działa tylko na warstwę zewnętrzną, cienki zaś przechodzi na wylot. Ale ja idę dalej w swych żądaniach. Oprócz lania należy wymierzyć jeszcze drugą karę albo pierwszej nadać taką trwałość, jaka odpowiadałaby zbrodni. Ten drab przecież siedzi w studni. Należymy tam tyle wody, żeby podeszła mu do ust, a on będzie musiał podnosić głowę, aby chwycić powietrze. To będzie przynajmniej prawdziwy strach przed śmiercią, choć oczywiście nie umrze od tego. Gdy posiedzi tak przez kilka godzin i dokładnie przemoknie, wyciągniemy go i nie przestaniemy ćwiczyć dopóki całkiem nie wyschnie. W ten sposób się nie zaziębi i nie będzie nam później zarzucał, że nie uzupełniliśmy tego, czego dawniej zaniedbał jego ojciec. Przecież zasługuje na to bezsprzecznie!

Wszyscy się roześmiali, ale nagle Frank zawołał z gniewem:

— Z czego tu się śmiać? Przemawiałem jak najgorliwiej na korzyść sprawiedliwości. To przecież nic wesołego! Kodeks karny napisano tylko dla ludzi uczciwych, którzy traktują go poważnie i obierają za przykład i exemplum<sup>[74]</sup>. Ale jeśli dla was moje postępowanie karno-procesowe jest tylko żartem, to ja w swojej niewinności umyвам ręce mydłem karbolowym i migdałowym i...

Przerwał, ponieważ wybuchł taki śmiech, że całkiem zagłuszał jego słowa. Rozzłoszczony tym Frank zaczął chwilę dopóki się nie uciszyło, a potem głośno zawołał:

— Nieee, takiego wychowania jeszcze nie widziałem! Coraz gorzej z dzisiejszą ludzkością! Powiedzcie mi panowie, podajcie choćby jeden jedyny powód dla którego przy całej mojej godności jestem zmuszony słuchać tak piekielnie szyderczego śmiechu!

Droll, znając go doskonale, czuł, że wybuch już się zbliża, nic więc nie odpowiedział. Kas i Has także zmartwili na tyle, że milczeli. Odpowiedzi zatem podjął się Old Shatterhand, wobec którego Frank nie miał tyle śmiałości co wobec innych:

— Nie śmiejemy się z ciebie, kochany Franku.

— Taak? — zapytał przeciągle mały westman z iskrzącymi oczami, nie odważył się jednak wybuchnąć wobec Old Shatterhanda. — Czuję cały szacunek dla pańskich słów, ale wątpię w to. Nie jestem przyzwyczajony do tego, aby moje najwspanialsze myśli były traktowane jak kiszony ogórki i pieczone śliwki. Komu nie imponuje to, co szlachetne, ten i dla zwyczajności stracony. Powiedziałem. Howgh!

Wsunął się w najdalszy kąt wagonu, aby dąsać się na tych, którzy nie potrafią docenić

jego intelektualnej przewagi. Old Shatterhand, u którego dobroduszość należała do podstawowych zalet, nie mógł długo patrzeć na smutek Franka i zapytał po chwili:

— Czy całkiem porzuciłeś swój wniosek?

Zapytany rzucił na westmana na pół zagniewane, a na pół zgodliwe spojrzenie i odrzekł:

— Niech się pan nie obawia! Nie wystąpię już z żadnym!

— O, bardzo bym tego żałował! Wiesz przecież, jak bardzo mi zależy na twoim zdaniu!

Na to oczy Franka zabłysły jeszcze przyjaźniej, po czym odezwał się z westchnieniem:

— Mówi pan tak pewnie żeby mnie udobruchać, kto jednak patrzy od spodu i z perspektywy, ten wie, że to tylko pozór. Nappełnił pan moją pierś nieprzebranym gniewem i teraz chce pan na moje oburzenie nałożyć uniwersalny plaster. To tanie i w każdej drogerii kosztuje tylko kilka groszy za pudełko. Takich łotrów jak ten Metys głaskałby pan po twarzy w jedwabnych rękawiczkach, mnie zaś, swojego przyjaciela i protektora, topi pan przy każdej okazji w najgłębszym smutku. Kto ma takie cienkie struny jak ja, do tego nie można się zbliżyć ze smykiem basowo-wiolinowym, ale należy po nich brzdąkać delikatnie jak na mandolinie czy gitarze. Każdy powinien o tym pamiętać, że są ludzie, których serce łatwo rozbić. Bo chociaż istnieje kit do porcelany i żelaza, nie słyszałem jeszcze, żeby był kit do serca.

Wszyscy znowu ledwie wstrzymali śmiech, ale Old Shatterhand z największą powagą na twarzy zapytał:

— Czy mnie także zaliczasz do takich ludzi?

— Kto się czuje dotknięty, nie potrzebuje mnie o to pytać. Czy ja liczę? Nie liczę już wcale. Ani mi to na myśl nie przychodzi, wszyscy jesteście tacy sami. Zostanę tutaj w kącie i nie dam się wypłukać żadnej Mississipi ani Amazonce. Tak powinien postąpić człowiek wykształcony, z charakterem!

— To bardzo słuszne, a ponieważ nie tylko masz charakter, ale nawet w bardzo dobrym gatunku, więc sądzę, że nie posiedzisz tam długo.

Frank, mile połączony tym pochlebstwem, przysunął się nieco bliżej i rzekł o wiele przyjaźniej niż przedtem:

— Czy to naprawdę pańskie szczere przekonanie, najzacniejszy panie Shatterhand? Bardzo bym się cieszył, gdyby tak było rzeczywiście. Powiadam panu, że to byłoby dobrem nie tylko dla innych, ale i dla pana, gdyby pan zrozumiał, że jestem godzien uwagi.

— Nie tylko to rozumiem, ale wiem to już od dawna!

— Tak? — pisał mały Sas przysuwając się jeszcze bliżej. — Zresztą może to wszystko tylko anonimowa pomyłka. Wobec tego spróbuję jeszcze raz, czy w pana zachowaniu odnajdę taką poprawę, jakiej sobie życzę.

Przysunął się znowu bliżej i siedział już tylko o krok od Old Shatterhanda. Skwapliwie mówił dalej i już bardzo uprzejmie:

— Wracam do swojego wniosku. Jakże będzie? Czy jest pan skłonny wykonać go w sposób, jaki sobie życzę?

— Tak, kochany Franku.

Na te słowa Hobble-Frank podskoczył, znalazł się tuż obok Shatterhanda i zawołał z twarzą promieniejącą od radości i zadowolenia:

— Tego właśnie chciałem! Nawet najgorszy niedźwiedź nie jest takim niedołągą, żeby przynajmniej raz nie zrobił czegoś dobrego! Mogę dać panu kopię świadectwa, że pański honor jest znów w całkowitym porządku. A więc stoi na tym, co powiedziałem?

— Prawdopodobnie. Oczywiście będzie to zależało od tego, jak Metys zachowa się względem nas!

— Całkiem słusznie! Ponieważ zaś wiem, że jego zachowanie pozostawi dużo do życzenia, więc zapomnijmy o tym, co było. Niech nic nie dzieli naszych duchów i serc, a gdyby jakiś nierozsądny człowiek odważył się wątpić w nasze słowa lub śmiać się z nich, jak to poprzednio zrobiono w tym wagonie, to niech pan się od razu zwróci z tym do mnie. Ja potrafię zdobyć dla pana ten szacunek, do jakiego ma pan słuszne pretensje i zupełne prawo jako mój przyjaciel!

Wzruszający był trud, z jakim pasażerowie usiłowali zachować powagę wobec komizmu zachowania i słów Hobble-Franka. Było to jednak konieczne dla uniknięcia ponownego wybuchu gniewu. Udało im się to szczęśliwie aż do końca podróży, a Frank nie znalazł już powodu do narzekań na ludzkie błędy i ułomności duchowe. Dojechano do Rocky Ground w najlepszym nastroju. Na miejscu mieli tylko trochę kłopotu z wyprowadzeniem z wagonu koni indiańskich, które nie były przyzwyczajone do tego rodzaju transportu. Już w Firwood Camp potrzeba było wiele wysiłku, aby je wsadzić do pociągu.

Pomagali przy tym ludzie, którzy pozostali na miejscu. Kiedy konie szczęśliwie stanęły na ziemi, a inżynier zapytał, czy nie stało się coś nadzwyczajnego, jeden z robotników podrapał się w głowę i odrzekł:

— Well! Ponieważ pan o to pyta, więc nie mogę milczeć. Skradziono jednego konia.

— Którego? — zapytało naraz sześć osób.

Ta wiadomość wywołała przestрах. Ponieważ kolejarze nie posiadali koni, mógł to być tylko jeden z wierzchowców sześciu myśliwych, może nawet jeden z karych ogierów Winnetou lub Old Shatterhanda. Nastąpiła chwila najwyższego zaciekawienia, którą przerwał robotnik:

— To był siwek, moi panowie!

Wiele piersi odetchnęło z ulgą. Frank zapytał:

— Czy to był siwek z czarną łatką po prawej stronie szyi? Yes, sir!

— Dzięki Bogu! — zawołał Sas. — Kuzynie Drollu, to twój kłusak, który wyszukał ci wyspę Ischię! Nic nie szkodzi, że został ukradziony. Masz za to sto razy lepszego konia!

— Tylko zachowaj rozsądek, Franku! — upomniał Old Shatterhand. — Nie koń jest tutaj najważniejszy, ale złodziej. Domyślam się, kto mógł nim być. Czy nie Metys, którego wsadziliśmy do studni?

— Tak, sir — odrzekł robotnik z zakłopotaniem.

— Jak wylazł ze studni? To musiało być następstwem waszego niedbalstwa!

— Które surowo ukarzę! — dodał inżynier. — Przecież postawiłem nad studnią dozorcę! Gdzie on jest? Nie ma go tam, zresztą nigdzie go nie widzę!

— Uciekł ze strachu. Powiedział, że wróci, kiedy, jak się wyraził, przeminie u pana pierwsza gorączka, panie inżynierze!

— No to długo poczeka. A gdy wróci, każę go tak oćwiczyć, że dobrze to popamięta! Teraz szukaj wiatru w polu! Ale może zwiadowca jeszcze nie jest daleko, może go doścignemy. Bądźcie zaraz gotowi i ...

— Powoli, sir, powoli! — przerwał mu Old Shatterhand. — Zbyt ni pośpiech nie doprowadzi do niczego dobrego. Jeśli słusznie się domyślam, to zwiadowca jest teraz tak daleko, że jakkolwiek pościg z naszej strony byłby daremny. Sądzę, że odjechał do Firwood Camp.

— Prosto w nasze ręce? To niemożliwe! Chyba żeby postradał zmysły!

— Pshaw! On wiedział, że Komancze znajdują się w niebezpieczeństwie i pojechał tam, aby potajemnie ich ostrzec, ale przyszedł za późno. To on zaglądał z góry i do niego strzelał Winnetou, ale nie trafił.

— Tak jest — potwierdził wódz Apaczów. — Niestety, widziałem go tylko przez krótką chwilę. Natychmiast podniosłem strzelbę, ale on równie prędko zauważył, że wymierzyłem do

niego i cofnął głowę właśnie wtedy, kiedy pociągnąłem za cyngiel. Gdyby nie to, trafiłbym go na pewno.

— Twoja kula nigdy nie chybia, ale chwileczka to za krótki czas na celny strzał. Zresztą spodziewam się, że ten hultaj stanie nam jeszcze przed lufami. Zostawmy go na razie tam, gdzie jest! Zauważył zapewne, że Komanczów puszczano wolno i pojechał za nimi, żeby się przyłączyć. Gdyby zależało mi na tym, żeby go schwytać, dostałbym go bardzo łatwo, postanowiliśmy jednak darować mu wolność, więc niech jej używa.

— Ależ mnie serce boli — przypomniał Frank — że go nie rozmiękczyliśmy, a potem nie wytrzepaliśmy!

— Znajdzie się jeszcze czas na trzepanie. Pociesz więc swoje strapione serce, kochany, Franku. A teraz przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, jak zwiadowca mógł umknąć ze studni, a do tego jeszcze ukraść konia. Niewątpliwie potrafi pan to wytłumaczyć!

Kolejarz skurczył się pod surowym wzrokiem Old Shatterhanda, ale odpowiedział:

— Ja nie jestem temu winien, sir. Niech mi pan uwierzy! Studni miał pilnować Clifton, który dał się otumanić Chińczykom.

— Chińczykom? Tutaj byli Chińczycy?

— Yes, Mr Shatterhand. Dwaj.

— Ach, to byli pewnie ci, którzy ukradli nam strzelby. Czy mieli warkocze?

— Warkoczy nie widziałem. Ale za to mieli pieniądze, piękne dolary, półdolary i jeszcze drobniejsze. Poszli do baru i kazali sobie podać wszystko, na co mieli ochotę.

— A wy oczywiście byliście tak uprzejmi i rozważni, że popijaliście z nimi, prawda?

— Ja nie, ale Clifton, sir. Musi pan wiedzieć, że znał ich dobrze, ponieważ pracował w Firwood Camp zanim wynajął go tutaj Mr Swan. Najlepiej będzie, jeżeli opowiem wszystko po kolei.

— Tak, dobrze! Jestem bardzo ciekawy, czy znajdzie pan coś na usprawiedliwienie tego, że nie pilnowaliście lepiej swoich obowiązków. A więc słuchamy.

— Przedstawię całe wydarzenie dokładnie i zgodnie z prawdą. Było to pod wieczór i właśnie zmierzchało. Skończyliśmy pracę i przygotowywaliśmy się do odpoczynku, kiedy nadeszli Chińczycy — niech ich diabeł porwie za tego figla, którego nam spleatali! Clifton siedział jako dozorca nad studnią, a sznurek, którym zwiadowca był przywiązany, owinał dokoła drzewa. Chińczycy zauważyli Cliftona, ponieważ znali go z Firwood Camp i poszli się z nimi

przywitać. My udaliśmy się za nimi, bo byliśmy ciekawi co mogą tutaj robić Chińczycy i dowiedzieliśmy się, że oni opuścili Firwood Camp z powodu zbyt niskiego wynagrodzenia i złego traktowania przez inżyniera. Mówili też, że szukają nowej posady.

— I wy w to uwierzyliście? — zapytał Old Shatterhand.

— Nie było żadnego powodu, by ich podejrzewać o kłamstwo.

— To bardzo się mylicie! Oni przecież byli przodownikami chińskich robotników.

Przecież wiedzieliście o tym!

— Tak.

— Jako przodownicy stali oczywiście lepiej od innych i nie byli zmuszeni tak nagle porzucać pracy, zwłaszcza przez wzgląd na zbyt niską zapłatę. Powinniście się też zastanowić nad tym, że gdyby oni zrezygnowali z pracy, to i reszta Chińczyków, jeszcze mniej zarabiających i bardziej poniewieranych, nie zostałaby na pewno w Firwood Camp.

— To prawda, sir, ale nikt z nas nie pomyślał o tym.

— Nie wystawiacie sobie tym dobrego świadectwa.

— Być może! Jesteśmy prostymi rzemieślnikami i nie uczyliśmy się w szkołach. Trudno od nas wymagać, żebyśmy tak prędko zdawali sobie sprawę z każdego podstępu i od razu rozpoznawali przyczyny. Clifton powiedział mi, że u nas prawdopodobnie dostaną posadę, ale oni nie chcieli zostać, tylko jechać dalej na wschód najbliższym roboczym pociągiem.

— Wierzę. Stracili warkocze, przez co są zhańbieni i muszą wrócić w te strony, gdzie nie ma Chińczyków. Co dalej?

— W oczekiwaniu na pociąg poszli do baru, gdzie zamówili sobie u gospodarza dwa łóżka. Mieli przy sobie, jak już powiedziałem, pieniądze i nie skąpili ich wcale. Zaprosili nas, żebyśmy napili się z nimi, a przy tej okazji nawiązała się rozmowa. Dowiedzieli się od nas, że odjechaliście, aby obronić Firwood Camp przed Komanczami. Słuchali uważnie, ale jak się zdawało, nie chcieli nic o was wiedzieć, o panu i Winnetou. Domyśliliśmy się tego ze sposobu, w jaki się o was wyrażali.

— Rozumiem. Okradli nas, spotkała ich zasłużona kara i dlatego opuścili Firwood Camp. Domyślałam się, o co im chodziło. Usłyszeli, że my dwaj pojмалиśmy Metysa, więc postanowili zemścić się na nas przez uwolnienie naszego jeńca.

— Możliwe, że nie nam, ale wam chcieli wyrządzić tę psotę. Kto wie, czy nie zrobili tego z przyjaźni, bo w Firwood Camp żyli z nim chyba w przyjaźni. Mówiąc krótko: Cliftonowi także

wynieśli gorzałki, najpierw jedną pełną butelkę, a potem drugą. Po jakimś czasie znowu poszli do niego i wrócili dopiero po długiej chwili. Nie usiedli jednak na dawnych miejscach, co zauważyliśmy później, ale tak, że musieliśmy zamknąć drzwi chcąc usiąść także, wskutek czego nie mogliśmy wyglądać na dwór, gdzie stały konie. Nagle usłyszeliśmy rżenie, parskanie i tupot kopyt. W obawie, że coś się stało z końmi, wyszliśmy na dwór, chociaż Chińczycy chcieli nas zatrzymać. Obydwa kare ogiery były odwiązane, a siwek z czarną plamą na szyi znikł. Widać było jednak, że się nie zerwał, ale ktoś go uprowadził. Ale kto? Byliśmy wszyscy razem z wyjątkiem Cliftona, który siedział przy studni. Podeszliśmy do niego nie zważając na Chińczyków i znaleźliśmy go pijanego na ziemi. Był prawie nieprzytomny. Obok niego leżał sznurek, do którego przywiązany był Metys. Zobaczyliśmy także rzemień, którym miał skrupowane ręce i nogi. Przestraszyliśmy się oczywiście okropnie. Staraliśmy się dowiedzieć od Cliftona co tu zaszło, ale nic nie mogliśmy z niego wydobyć, ponieważ bełkotał tylko coś niezrozumiale. Aby się upewnić, spuściłem się po sznurze do studni i przekonałem się, że Metysa nie ma.

— Domyślałem się tego! — rzekł Old Shatterhand. — Po zupełnym spojeniu Cliftona Chińczycy wyciągnęli zwiadowcę i oswobodzili go z więzów. Potem wrócili do oberży i podstępem spowodowali zamknięcie drzwi, które pozwalało Metysowi ukraść konia. Czy było tam jakieś światło?

— Przy koniach świeciła się latarnia.

— Mógł więc zobaczyć, które konie były najlepsze, zabrał się więc, jak jego dziadek, do naszych karych, ale nie sprzyjało mu przy tym szczęście. Konie pozwoliły się wprawdzie odwiązać, ale potem broniły się i narobiły hałasu. To go zmusiło do największego pośpiechu, gdyż bał się, żeby go nie pochwycono. Zabrał więc tego konia, który stał najbliżej i był spokojny.

— To prawda, sir, bo siwek stał najbliżej drzwi.

— Wybrał zatem najgorszego, ale jako dobry jeździec i człowiek obeznany z okolicą między Rocky Ground a Firwood Camp, da sobie radę, bo inaczej nie mógłby przyjąć obowiązków zwiadowcy. Dzięki temu mimo ciemności zdołał umknąć do Birch Hole, ale oczywiście spóźnił się. A co powiedzieli o jego ucieczce Chińczycy?

— Tego niestety nie wiemy, bo gdy tylko odkryliśmy ucieczkę jeńca i oglądaliśmy się za nimi, tych łotrów już nie było.

— Dokąd poszli? — zapytał inżynier.



— Nie widzieliśmy, bo noc była ciemna.

— Do stu piorunów! Czy nie można znaleźć ich śladów? Musimy spróbować, czy nie zdołamy pochwycić jeszcze tych opryszków!

— Niech sobie idą, Mr Swan! — zawołał Old Shatterhand. — Nie warto trudzić się ich pojmaniem. Nasz plan udał się nadspodziewanie dobrze. Ocaliliśmy Firwood Camp i nikomu z nas nawet nie zadraśnięto skóry. Wszystko inne, a zwłaszcza osoby Chińczyków, znaczy tak mało, że byłoby śmieszne, gdybyśmy tracili czas na ich odszukanie.

— Hm! Swędzą mnie wprawdzie wszystkie palce, muszę jednak przyznać, że ma pan rację, Mr Shatterhand. Niech więc zmykają! Ale tego Cliftona wezwę do siebie. Nie wiecie gdzie on jest?

— Nie — odparł kolejarz. — Spał kilka godzin, a gdy się nagle obudził, opowiedzieliśmy mu jak dał się otumanić Chińczykom. Wtedy on w jednej chwili wytrzeźwiał ze strachu. Oczywiście wygadywał na nich co tylko mógł, ale tym nie zawrócił ani ich, ani Metysa. Z obawy przed karą powiedział, że się nie pokaże dopóki nie minie pierwszy gniew, zwinął swoje rzeczy i odszedł.

— Trzeba go było zatrzymać!

— Jak mieliśmy to zrobić, sir? Przemocą? Przecież on nie był zbrodniarzem, a my nie jesteśmy policją!

— Całkiem słusznie! — przyznał Old Shatterhand. — Najprawdopodobniej on także nie wróci, a my nie mamy powodu, żeby za nim tęsknić. A gdyby kiedyś powrócił, to niech pan go porządnie złaje, Mr Swan, a poza tym niech go pan nie karze! Teraz rzućmy okiem na konie, a potem zjedzmy coś i wypijmy się należycie, bo ostatnią noc spędziliśmy przecież na czuwaniu. Jutro rano pożegnamy się z wami.

— Już jutro? — zapytał inżynier. — Nie potrzebuję was chyba zapewniać, że pragnąłbym zatrzymać was u siebie znacznie dłużej!

— O tym jesteśmy przekonani. Zachowamy pana na zawsze we wdzięcznej pamięci. Na razie nie mamy tu nic do roboty, a chociaż nie musimy się śpieszyć, to jednak zwykliśmy przebywać w jednym miejscu tylko do czasu, kiedy nas potrzeba.

— Zgadzam się z tym — rzekł Has. — Czeka nas jeszcze podróż do Santa Fe. Nasz bratanek Nahum Samuel Timpe, którego chcemy zmusić do oddania nam spadku, nie jest, jak mi się wydaje, człowiekiem lubiącym siedzieć długo w jednym miejscu. Nieczyste sumienie pędzi

go to tu, to tam, i jeśli zmarnujemy czas, to obawiam się, że gdy przybędziemy na miejsce, już go tam nie zastaniemy. Czy i ty tak myślisz, kuzynie?

— Oczywiście — odrzekł Kas. — Im prędzej odzyskamy nasze pieniądze, tym lepiej dla nas. Całe szczęście, że panowie Shatterhand i Winnetou zajęli się naszą sprawą. To podsycało we mnie nadzieję na pomyślne doprowadzenie jej do końca.

Podczas rozmowy braci Timpów obok nich stali tylko Frank i Droll, reszta udała się do budynku. Okoliczność, że Old Shatterhand i Winnetou nie mogli słyszeć tej rozmowy, skłoniła Hobble-Franka do skomentowania zdania wypowiedzianego właśnie przez Kasa. Po krótkim namyśle rzekł:

— Nie rozumiem dlaczego pan zawsze mówi o innych ludziach! Rodzina Timpów jest widocznie obciążona dziedziczną chorobą, której zupełnie nie można wyleczyć, a jest nią kolosalnie jednostronna jednostronność, której równej nigdzie nie znajdziesz!

— Jak to jednostronność? — zapytał Kas.

— Mam na myśli stronę zwróconą zawsze do Old Shatterhanda i Winnetou. Ciągłe pan powtarza, że się pan spodziewa wybitnej i penetrantnej<sup>[75]</sup> pomocy. Przyznaję wprawdzie bardzo chętnie, że nie zawiedzie się pan na nich, ale prosiłbym pana o zwrócenie się w drugą stronę, a mianowicie w moją. Pytam pana, czy pan nie sądzi, że mógłby pan w każdej sprawie liczyć na Heliogabala Morfeusza Edewarda Franka?

— Ależ tak, Mr Frank! — odrzekł Has.

— Ale to wcale tak nie wygląda, szanowny panie Hasaelu Beniaminie Timpe! Już wczoraj zszedłem z mego piedestału i zapewniłem pana, że ponieważ nie może pan dokonać niczego bez mojej pomocy, to zajmę się panem i zlituję się nad nim jak bezdzietny ojciec zajmuje się biednymi sierotkami. Powiedziałem też, że poniosę pana na orlich skrzydłach do Santa Fe i udowodniłem, że wasz spadek obchodzi mnie bardziej niż moje osobiste sprawy, a teraz, po zaledwie kilku godzinach, dowiaduję się, że wszystkie swoje nadzieje wiąże pan z innymi ludźmi. Jeśli w dalszym ciągu będzie pan lekceważył moją propozycję pomocy, to mimo mojej dziedzicznej cierpliwości i pobłażliwości nie pozostanie mi nic innego jak pożegnać się i zwrócić do lepiej znających się na rzeczy i głębiej patrzących biedaków!

Obaj kuzyni wykazali tyle rozsądku i opanowania, że nie roześmieli się, a wprost przeciwnie, ich twarze były bardzo poważne. Kas położył Frankowi rękę na ramieniu i rzekł:

— Ależ, zacny panie Franku, denerwuje się pan całkiem bez powodu. Przecież znamy

pana i wiemy dobrze, jak potrzebna jest pańska pomoc.

— Tak? A więc pan wie o tym? Dlaczego w takim razie zawsze mówi pan o Old Shatterhandzie i Winnetou, a o mnie nigdy?

— Ponieważ zazwyczaj nie wspomina się o tym, co jest oczywiste, a pańskie zalety są zrozumiałe same przez się! Czy mam rację?

Na te słowa twarz Franka rozpromieniła się. Wykonał ręką ruch tak majestatyczny, jak tylko potrafił i rzekł:

— O, proszę, proszę, panie Timpe! To zbyt wielki zaszczyt dla mnie! Ale jeśli chce mnie pan dalej podziwiać, to jako skłonny do milczenia, nie odbieram panu tej sposobności. A więc niech pan mówi, niech pan mówi jak najlepiej! Każdy, kto ceni sobie zalety szlachetniejszych od siebie ludzi, postępuje zawsze rozumnie. Jeśli pan więc widzi, że go przewyższam, to przynosi pan sobie tym zaszczyt, a ja jestem gotów otoczyć pana moimi skrzydłami z pobłazaniem pełnym przyjaźni. W pańskim życiu nastąpił dzisiaj wielki zwrotny punkt. Był pan podobny do owieczki bez pasterza, pędził pan w ciemną noc bez księżyca lub choćby gwiazdki, która przyświecałaby panu na górskiej ścieżynie. Ponieważ jednak oddał się pan teraz pod moją opiekę, szczęście uczepli się pańskich stóp i nie zdarzy się takie niebezpieczeństwo, którego bym nie pokonał dla pana, a spadek, którego beze mnie szukaliście tak długo, wpadnie wam jak pieczone gołąbki do gąbki. A więc może się pan zdać całkowicie na mnie, a ja jeszcze wzywam pana do złożenia oświadczenia, że pan się zgadza, abym był promyczkiem kierującym od dzisiaj pańskimi krokami!

— Zgadzam się — odrzekł Kas.

— Dobrze, w takim razie zawrzemy triumwirat przyjaźni. Weźcie mnie pod rękę jak pisklęta kwokę! I idźcie ze mną przez całe życie, a na razie do jadalni, gdyż posiłek już gotowy. Chodźcie, panowie Hasaelu i Kasimirze Timpe!

Mały Sas stanął między dwumetrowymi kuzynami, którzy musieli ująć go pod rękę i razem poszli do baraku.

## Rozdział IV — BONANCA OF HOAKA

Tam, gdzie Sierra Moro tworzy prawie kąt prosty z odnogami gór Raton, nad brzegiem potoku leżeli dwaj Indianie. Jeden z nich miał już ponad sześćdziesiąt lat. Głowę zawinął w skórzaną szmatę, jak gdyby chciał coś ukryć, a z zapadłej twarzy bił wyraz ogromnej zaciętości. Obok niego leżała strzelba. Drugi był młodszy i rzadkie, ale długie włosy zwinął w węzeł. Na jego wychudzonej twarzy również było widać piętno chytrości i podstępności. Za szerokim rzemieniem służącym jako pas, tkwił nóż. Broń obu czerwonoskórych składała się tylko z jednej strzelby i jednego noża. Wyglądali jak ludzie, którzy przez dłuższy czas cierpieli nadzwyczajny niedostatek, a może nawet głód i pragnienie. Nie mieli też możliwości naprawienia podartych ubrań, a mokasyny prawie spadały im nóg.

Jak okiem sięgnąć trawa była zdeptana po obu stronach potoku, a wyraźniejsze ślady wskazywały, że Indianie kładli się tu i ówdzie na brzegu, aby sięgnąć rękami do wody. Odrzucone łupiny dzikiego arbuza dowodziły czym zaspokajali głód. Kiedy Indianin zjada dziki, niedojrzały arbuza, którego może znaleźć nad wodą, to na pewno nie powodzi mu się najlepiej.

Stary znów położył się na ziemię i spojrzał w wodę. Po dłuższej chwili podniósł się i powiedział:

— Uff! Tutaj są ryby, ale trudno je łowić rękami, a my nie mamy haczyka do wędki. Żołądek mnie boli od tej połowy arbuza, którą musiałem połknąć.

— Ja zjadłbym całego bawołu, gdybym tylko go miał — mruknął drugi.

— Wielki Duch opuścił nas zupełnie! — zgrzytnął stary.

— Wielki wódz Komanczów, Tokwi Kawa, musi cierpieć głód! Nikt by w to nie uwierzył!

— Kto temu winien? Old Shatterhand i Winnetou, którym nigdy tego nie zapomnę!

Starszy Indianin był Czarnym Mustangiem, a siedzący obok niego czerwonoskóry jednym z towarzyszy niedoli. Na twarzy wodza ukazał się brzydki grymas, gdy odpowiedział:

— Ten biały szakal, Old Shatterhand, musi wpaść nam w ręce, gdyż wiemy dokąd się uda i zastąpimy mu drogę. On zawinił więcej niż szakal Apaczów, Winnetou. Biada im, gdy ich wreszcie schwytamy!

— Czy jesteś tego tak pewny?

— Najzupełniej.

— Nie gniewaj się, ale muszę przyznać, że wątpię w to.

— Wątpisz? Dlaczego?

— My musieliśmy iść piechotą, a oni mają rączę konie.

— Ale nasza droga wiodła przez góry jak naciągnięte łąso, gdy tymczasem oni muszą zataczać łuki. Czarny Mustang zna wszystkie góry i doliny w tych stronach i obliczył dokładnie drogę, jaką musi przebyć, by ująć nieprzyjaciół. Wyprzedziliśmy ich, a gdy Ik Senanda powróci z tym wszystkim, czego nam trzeba, wtedy Apacz i tych pięciu białych kojotów, na których czekamy, niezawodnie wpadną w nasze ręce.

— Ale czy Ik Senanda sprowadzi wszystko?

— Na pewno.

— Konie, proch, ołów, strzelby, noże, ubrania i mięso?

— Sprowadzi.

— Ale gdy w obozie dowiedzą się co się stało, to nie tylko nic mu nie dadzą, ale i nas wypędzą.

— Uff! Czy sądzisz, że on będzie taki głupi, żeby coś wyjawić? Zakazałem mu mówić cokolwiek, chociaż to było zbyteczne. On wie, gdzie teraz obozujemy, a jeśli nie zjawił się do wczoraj, musi nadejść dzisiaj.

— Oby Wielki Duch sprawił, żeby nadszedł z mięsem! Ik Senanda zostawił nam swoją strzelbę i nóż. To jedyna broń, którą można coś zdobyć dla stu zgłodniałych wojowników.

— Czy wolno wojownikowi skarżyć się na głód? — skarcił go wódz.

— Tego nie słyszy nikt prócz ciebie, a ty także jesteś głodny. Nie boję się czerwonych ani białych nieprzyjaciół, nie boję się dzikich bawołów ani niedźwiedzia, ale głód to wróg siedzący w środku. Przeciwko niemu nie zaradzi ani podstęp, ani męstwo. Porwie życie najmężniejszemu i nie można temu przeszkodzić. Dlatego nie wstyd mi o nim mówić czy skarżyć się.

— Masz słuszność — potwierdził wódz. — Mieszka on także w moim ciele i pożera mi wnętrzności. Powiedziałaś, że nie boisz się żadnego wroga; ja też zwyciężałem dotąd każdego, lecz przyszedł taki, który mnie pokonał i dlatego musimy teraz cierpieć głód.

— Któż to taki?

— Siedzi w moim wnętrzu jak głód, a był nim niezwyciężony gniew Old Shatterhanda.

— Uff, uff! — przyznał drugi nie dodając ani słowa, ale w tonie jego okrzyku zawarł wszystko, co chciał powiedzieć.

— Tak, gniew był wrogiem, który mnie pokonał — ciągnął wódz. Wobec niezwyklej

dumy, jaką się odznaczał, tylko głód mógł spowodować te jego skargi na samego siebie. — Gdybym nie szydził wtedy z Old Shatterhanda, gdybym milczał i cicho czekał na sposobność zemsty, blada twarz zostawiłaby nam strzelby, konie i leki. Potem zaczęlibyśmy się w pobliżu Firwood Camp i już teraz mielibyśmy ich w swoich rękach!

— Powiedziałeś prawdę. Stało się jednak inaczej i teraz siedzimy tutaj cierpiąc głód. Wyszliśmy z obozu po mięso, ale nie zastrzeliliśmy ani nie złowiliśmy niczego. Znaleźliśmy tylko arbuza, który zjedliśmy. Jeżeli innym tak samo się poszczęściło w zastawianiu sideł, to niebawem głód nas zniszczy. Ile masz jeszcze prochu?

— Najwyżej na dziesięć strzałów.

— A więc jeżeli Ik Senanda nie nadejdzie, to umrzemy z ręki wroga, który się zagnieżdżył w naszych ciałach, bo to jest... Uff!

Urwał nagle, cicho wydając okrzyk.

— Co takiego? — zapytał Tokwi Kawa.

— Popatrz tam! — rzekł Indianin wskazując w górę potoku. Wódz zwrócił wzrok we wskazanym kierunku i natychmiast poweselał.

— Bawoły! — szepnął.

— Tak, sześć sztuk! Byk, trzy krowy i dwoje cieląt.

— Będzie mięso!

Mówiąc to pochwycił strzelbę, ale ręka mu drżała, czy to z osłabienia, czy też podniecenia.

— Ty drżysz! — ostrzegł go wojownik. — Jeśli twój strzał chybi, to przepadnie nam mięso!

— Milcz! Na pewno trafię!

— Bawoły ciągną wzdłuż wody i zbliżą się aż tutaj, bo idą z wiatrem.

— Tak, powietrze idzie z nimi; wystarczy położyć się tu w zaroślach.

Obaj przykucnęli i w gorączkowym napięciu czekali na zwierzęta, które dość szybko podchodziły coraz bliżej od czasu do czasu schylając łby, by uszczypnąć trochę trawy.

Byk był starym, tęgim i bardzo brzydkim, bo prawie pozbawionym włosów, zwierzęciem. Jego twarde, łykowane mięso nie nadawało się do jedzenia, ale trzeba było go zastrzelić, bo gdyby Tokwi Kawa strzelił do krowy, której mięso było dużo lepsze, mściwy byk porwałby go na rogi lub stratował. Strzelba miała wprawdzie dwie lufy, ale jedna była śrutowa.

Zwierzęta nadeszły z biegiem wody, byk na czele, a za nim krowy i cielęta. W odległości trzydziestu kroków od Indian jeszcze nie zauważyły niczego podejrzanego. Krowy zaufały swemu dowódcy, a on jakby utracił zmysł węchu.

Tokwi Kawa wymierzył pewnie, ale mimo to nie strzelił, gdyż byk był zwrócony do niego przodem, a każdy doświadczony myśliwy celuje do bawołu z boku, pod łopatkę w serce, ponieważ wtedy kula nie natrafia na żaden opór.

Bawoły zbliżyły się jeszcze o kilka kroków, kiedy nagle jedna z krów zaniepokoiła się. Stała i zaczęła wciągać powietrze tak głośno, że buhaj to usłyszał. Odwrócił się do niej i stanął do Indian bokiem. W tej chwili huknął strzał. Byk szarpnął się gwałtownie, zatrzymał na chwilę, potem zaczął pochylać głowę coraz niżej i wyżej, a w końcu runął nie wydawszy z siebie głosu. Został trafiony w samo serce.

Wódz nabił strzelbę zaraz po strzale, a tymczasem krowy rzuciły się do ucieczki. Jedna popędziła razem z cielęciem, a drugie cielę stanęło bezradnie, a potem nawet podbiegło z ciekawością do byka. Niebawem powróciła matka, odtrąciła je nosem od byka, ale w tej samej chwili wódz strzelił drugi raz i krowa padła nieżywa na ziemię.

Teraz obaj Indianie wyskoczyli ku swej zdobyczy z głośnymi okrzykami radości. Cielę zrobiło kilka zabawnych podskoków, po czym zginęło pod ciosami kolby.

— Uff, uff, uff! — zawołał wódz. — Mój czerwony brat widzi, że nie drzałem. Obie kule trafiły w serce. Mamy dosyć mięsa dla wszystkich!

Tak, mięso krowie jest dobre.

— Zjadłoby się i mięso byka z braku innego! Czy teraz oprawimy zwierzęta?

— To zabrałoby nam zbyt wiele czasu. Sprowadzimy tu kilku wojowników.

— A czy nie byłoby lepiej, gdyby poszedł tylko jeden z nas, a drugi został i pilnował mięsa?

— Tak. Ja pójdę, a mój brat niech zostanie.

— W takim razie niech Tokwi Kawa da mi strzelbę!

— Sam jej potrzebuję.

— Ale mnie jest niezbędna!

— W tych stronach nie ma nieprzyjaciół, z którymi musiałbyś walczyć.

— Właśnie dlatego Tokwi Kawa nie potrzebuje strzelby, a przecież zapach mięsa ściągnie sępy i kojoty, przed którymi będę musiał się opędzać.

— Mój brat ma słuszość, a więc niech zatrzyma strzelbę.

Wódz podał wojownikowi strzelbę wraz z amunicją i oddalił się rzucając łakome spojrzenia na trzy zabite bawoły, z których sam byk mógł ważyć ze dwa tysiące funtów. Kto tego nie widział, nie uwierzy, jaką ogromną masą mięsa jest taki buhaj!

Droga wodza wiodła w dół potoku. Szedł prędko, nie zachowując ostrożności wskazanej zawsze na Dzikim Zachodzie. Tokwi Kawa był pewien, że w pobliżu nie znajduje się żadna wroga ludzka istota.

Schodził w dół do obozu, który został założony u wylotu doliny. Miał do pokonania odległość około dwóch mil angielskich, więc upłynęło sporo czasu zanim wódz dotarł na miejsce.

W obozie leżeli ci sami Komancze, którzy tak haniebnie musieli opuścić Firwood Camp i byli tak samo zabiedzeni jak ich wódz. Gdy Tokwi Kawa wszedł między wojowników, wszyscy spojrzeli na niego pożądliwie, bo każdy cierpiał dotkliwy głód. Wódz zauważył także tych, którzy poprzednio odeszli z sieciami, aby złować jakąś zwierzynę. Nie zapytał o wynik polowania, gdyż widział, że nic nie przynieśli. Natomiast okoliczność, że zobaczyli go bez strzelby była oznaką, że jeśli nie stracił jej przez jakieś nieszczęście, to polowanie musiało się udać. Zerwali się zapominając o indiańskiej powadze i zapytali:

— Czy Tokwi Kawa coś zastrzelił? Czy jest mięso?

— Tak — odpowiedział. — Głód się już skończył. Zabiłem byka, krowę i cielę.

Na to odezwało się sto radosnych okrzyków powodując zamieszanie, które tak pochłonęło czerwonoskórych, że nie zauważyli jeźdźca zbliżającego się do obozu z drugiej strony. Był to wnuk wodza, Ik Senanda, którego wysłano do pastwisk Komanczów, aby się postarał o zaspokojenie wyliczonych poprzednio potrzeb z tym zastrzeżeniem, żeby nie wspomniał tam ani słowem, że wyprawa na Firwood Camp zakończyła się klęską.

Misja Metysa była jedynym wyjściem dla Tokwi Kawy. W ten sposób mógł do pewnego stopnia ukryć hańbę i utrzymać się przy godności wodza. W obecnym stanie bał się tam pokazać, gdyby jednak, mając broń i konie, pochwycił Old Shatterhanda i Winnetou, zdobyłby sobie wielki zaszczyt. A gdyby potem jeszcze prędko urządził wyprawę przeciwko jakimkolwiek nieprzyjaciołom czy też pobliskim Apaczom, aby zabrać im skalpy i leki, to straszliwa porażka, jaką poniósł, mogłaby pójść w zapomnienie, a zarazem ustąpiłyby wszystkie jego troski i obawy, które go teraz trapiły. Wszystko zależało od wyniku misji powierzonej wnukowi, można więc sobie wyobrazić, z jaką tęsknotą i napięciem czekano na jego powrót.



Niecierpliwość ta miała teraz zostać zaspokojona, ale sam wódz wzdragał się na myśl, w jaki sposób to mogło się stać. Gdyby Ik Senandzie udało się wykonać jego polecenie, musiałyby powrócić ze stu strzelbami, końmi, przywieźć odzież i amunicję dla wszystkich; w takim razie towarzyszyłaby mu pewna liczba Komanczów, ponieważ jeden człowiek nie da rady przepędzić stu koni. Tymczasem wnuk nadjeżdżał sam i prowadził za sobą jednego jucznego konia.

Gdy zbliżył się do obozu, został zauważony przez Komanczów. Czerwona skóra Tokwi Kawy nabrała barwy bibuły, a reszta wojowników zapomniała o radości z powodu zabitych bawołów. Nikt nie rzekł ani słowa na powitanie przybysza. Kiedy zsiadł z konia i podszedł do wodza, Tokwi Kawa oddalił się o kilka kroków i usiadł pod krzakiem, aby jego ludzie nie mogli usłyszeć wiadomości, jakie przyniósł mu wnuk. Ik Senanda usiadł obok niego i czekał na zapytanie. Wódz spojrzał w jego twarz tęnym wzrokiem i zapytał chrapliwym ze zdumienia głosem:

— Gdzie są konie?

— Nie dali mi żadnych — brzmiała odpowiedź.

— Gdzie jest sto strzelb i noży?

— Nie dostałem.

— Co przywozisz?

— Tylko kilka strzelb, noży, proch, ołów i ubranie dla ciebie.

— Nic więcej?

— Nic!

— A więc zachowałeś się inaczej niż ci kazałem.

— Postąpiłem dokładnie według wskazówek, jakie otrzymałem od ciebie!

— Zdradziłeś, co się stało w Firwood Camp!

— Nie zdradziłem niczego!

— Ale nie wykonali moich rozkazów, a stało się tak z pewnością tylko dlatego, że wiedzą już o naszej hańbie!

— Wiedzą już o niej.

— A więc ty musiałeś im o tym powiedzieć, gdyż przybyliśmy tu prosto z Firwood Camp, a w tym czasie nikt przed tobą nie mógł zawiadomić Komanczów o wyniku wyprawy.

— A jednak oni wiedzieli już o wszystkim zanim do nich przyjechałem.

— Od kogo? Jeśli znajdę winowajcę, zdejmę mu żywcem skórę z głowy!

Wódz zacisnął pięści, a jego oczy błysnęły złowrogo.

— Nie dostaniesz tej skóry — odrzekł wnuk. — Koń ognisty pędził sto razy szybciej i wiadomość dotarła wszędzie lotem błyskawicy.

— Czy koń ognisty dochodzi także do Komanczów?

— Nie, ale przebiega blisko za nimi i zatrzymuje się tam w kilku miejscach zwanych stacjami. Na jednej z takich stacji było kilku naszych wojowników i słyszeli o wszystkim.

— Uff! Zły duch zesłał wodę ognistą i konia ognistego do krainy czerwonych mężów, aby ich zgubić. Niebawem wszyscy od jednej Wielkiej Wody do drugiej będą wiedzieli o tym, że odebrano mi włosy i lek, a moje imię, które słynęło najbardziej ze wszystkich imion czerwonoskórych wojowników, będzie teraz smrodem bijącym z padliny, której nie chce jeść już nawet sęp. Ale ja się zemszczę, zemszczę się na wszystkich, którzy mi to zrobili!

— Jesteś sławny i nadal takim pozostaniesz — pocieszał go wnuk. — Pochwycimy Winnetou i Old Shatterhanda, a potem napadniemy na Apaczów, zedrzymy im skalpy i leki z szyi, a gdy je posiadziemy, będziemy mogli wrócić do szczepowych ostępów.

— Uff! A teraz nam nie wolno?

— Nie.

— A więc naradzano się nad nami?

— Tak, odbyła się narada wszystkich starszych i mądrych wojowników.

— I wykluczyli nas ze szczepu?

— Tak.

— Uff, Uff!

Tokwi Kawa zakrył ręką oczy i siedział tak przez jakiś czas, po czym opuścił ramię i powiedział:

— Jestem bogaty. Dlaczego nie przywiozłeś mi nic prócz jednego ubrania?

— Nie mogłem.

— Jestem bez konia, a posiadam przecież tak wiele rumaków. Czy zabroniono ci zabrać także konia dla mnie?

— Tak.

Na to oczy wodza zwróciły się trwożliwie na twarz wnuka. Trzęsąc się niemal ze strachu nad tym, jaką otrzyma odpowiedź, zapytał:

— Czy nie chcą mi nawet wydać mojego czarnego mustanga, który znaczy dla mnie

więcej niż życie?

— Nie.

Na to Tokwi Kawa zerwał się na równe nogi, pchnięty wściekłością i dając jej upust w słowach. Ik Senanda podniósł jednak ostrzegawczo rękę i rzekł uspokajającym głosem:

— Tokwi Kawa jest wielkim wodzem i wie, że powinien się hamować wobec wojowników. Czy ludzie siedzący tam i patrzący na nas mają sobie pomyśleć, że zapomniałeś być panem swoich myśli i uczuć?

Na to stary wódz znowu usiadł, ale upłynęło sporo czasu zanim się uspokoił.

— Syn mojej córki — rzekł z uznaniem — ma słuszość. Nie chcę teraz myśleć o bólu, jaki mi sprawiono, ale gdy kiedyś powrócę tam, gdzie teraz pójść mi nie wolno, ukarzę wszystkich, którzy się do tego przyczynili. Czy oprócz tego co właśnie od ciebie usłyszałem, masz mi donieść coś jeszcze?

— Nie.

— Uff! A przecież tylu starszych wojowników nazywało siebie moimi przyjaciółmi, a ja rzeczywiście uważałem ich za przyjaciół. Czy żaden z nich nie chciał przekazać mi żadnej wiadomości?

— Żaden.

— A więc niech wszyscy się dowiedzą, jak Tokwi Kawa płaci za taką fałszywą przyjaźń. Jesteś moim wnukiem i choć jesteś jeszcze młody, masz tyle odwagi i chytryści co ja. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to mów. Może przyszła ci do głowy jakaś dobra myśl?

— Nie. Ty jesteś tym, któremu przysługuje prawo rozkazu, a ja mam słuchać. Co ty powiesz, to będzie dobre, a co postanowisz, to my wykonamy.

Metys powiedział to jakby z głębi szczerego serca i pochylił przy tym głowę na znak, że oddaje się dziadkowi na własność ze wszystkimi swoimi myślami i zamiarami. Ale bystry i bezstronny obserwator, jak na przykład Winnetou lub Old Shatterhand, zauważyłby pewnie lekkie wprawdzie, ale zdradzieckie zmarszczki układające się wokół ust Metysa. On, jak wszyscy mieszańcy, nie był godnym zaufania człowiekiem i jeśli w grę wchodziła jego osobista korzyść, dziadek nie znaczył dla niego więcej niż inni. Wódz, pomijając już pokrewieństwo, uważał go za swojego najlepszego przyjaciela i darzył go całkowitym zaufaniem. I teraz uśmiechnął się do wnuka z miłością, oczywiście na ile był zdolny do tego uczucia, i rzekł:

Wiem, że oddałbyś za mnie życie i że teraz wobec plemienia uczyniłeś wszystko, aby

zapobiec naszemu wygnaniu. Nie twoja w tym wina, że się nie udało. Chodź, pójdziemy teraz do wojowników i oznajmimy im o postanowieniu szczepu.

Tokwi Kawa nie przeczuwał, że Ik Senanda nie tylko nic dla niego nie zrobił, ale wprost przeciwnie, działał wbrew jego interesom, gdyż największym marzeniem Mety są było zostać wodzem Komanczów Naiini.

Obaj wrócili do swoich ludzi, którzy z zachowania się Czarnego Mustanga i jego wnuka odgadli, jaką wiadomość przywiózł posłaniec, ale gdy usłyszeli teraz wszystko od wodza, wpadli w głębokie przygnębienie, gdyż tak jak i on spodziewali się, że wyprawa Ik Senandy zostanie uwieczniona pomyślniejszym skutkiem. Tymczasem wobec takiego wyniku poselstwa groza ich położenia stanęła im przed oczami jeszcze wyraźniej niż przedtem. Ten przykry nastrój pogarszał jeszcze doskwierający im głód. Toteż ucieszyli się, gdy wódz rozkazał przeniesienie obozu do doliny, gdzie leżała jego zdobycz.

Zanim ruszyli w drogę rozdzielono przywiezione przez Ik Senandę strzelby, proch i ołów między kilku najlepszych strzelców. W ten sposób teraz przynajmniej kilku mogło się starać o żywność dla licznego oddziału wojowników.

Ponieważ wnuk wodza przywiózł także parę noży, więc krajanie bawołów poszło bardzo szybko. Następnie rozniecono kilka ognisk i każdy upiekł przy nich swój kawał mięsa. Gdy Indianie się nasycili, mieli wielką ochotę poleżeć spokojnie i odpocząć, ale wódz po rozdzieleniu między nich reszty mięsa, wyruszył natychmiast dalej, aby nie zaniedbać niczego, co prowadziło do wykonania zemsty na Old Shatterhandzie i jego towarzyszach i w ten sposób choć w części odzyskać stracony honor. Drugim celem jego usiłowań było zdobycie nowych leków.

Poszli więc znowu w dół potoku aż do niedawno zwiniętego obozu, aby potem powędrować na południe wzdłuż odnóg Sierry Moro. „Chodzić” i „wędrować” to wyrazy, którymi Komancze, ukazujący się poza obozem zawsze na koniach, posługują się tylko z pogardą. Kto nie ma konia i musi chodzić pieszo, ten ich zdaniem stoi niżej, o wiele niżej od punktu, w którym zaczyna się człowiek. A teraz sami musieli się posługiwać nogami w tym celu, w którym je właściwie otrzymali, to jest do chodzenia. Ik Senanda miał wprawdzie konia, ale nie jechał na nim, a to dlatego, że zamieniwszy potykającego się siwka na lepszego wierzchowca, zmęczył go zbyt szybką jazdą, więc teraz postanowił go oszczędzać na wypadek, gdyby zaszła potrzeba szybkiej jazdy.

Po południu Komancze weszli na pokrytą trawą równinę. Tu natrafili na trop dość

znacznej liczby jeźdźców. Było ich niezawodnie przeszło dwudziestu, i to białych, ponieważ wszyscy mieli konie podkute; jechali w tym samym kierunku co czerwonoskórzy. Po śladach było widać że przejechali tędy zaledwie przed godziną. Komancze bardzo się ucieszyli tymi śladami, gdyż uśmiechała im się nadzieja na napad, a więc i na możliwość zabrania koni i broni. Puścili się też skwapliwie w pościg.

Ślady biegły przez jakiś czas prosto, potem skręcały, a wieczorem zaprowadziły Komanczów między góry. Zobaczywszy to Tokwi Kawa rzekł do wnuka:

— Te blade twarze nie są niedoświadczonymi ludźmi, bowiem zaraz o zmroku zawracają ku wzgórzom, aby nie nocować na otwartej równinie, gdzie ich ogniska byłyby widoczne z daleka. Nie będzie łatwo zaskoczyć ich niespodzianie, zwłaszcza dlatego, że nie mamy dużo broni.

— Pshaw! Jest nas trzy razy tyle co ich, a co nie da się zrobić przemocą, to osiągniemy podstępem.

— Chytrność zawsze była lepsza i więcej warta od przemocy, a dla nas posiada teraz szczególnie wielkie znaczenie. Należy wziąć pod uwagę, że głód pozbawił naszych wojowników sił. Przede wszystkim musimy podkraść się pod obóz tych bladych twarzy. Potem obmyślimy plan dalszego działania.

Góry były pokryte lasem, z którego zarośla rozrosły się aż na równinę. Komancze doszli do zarośli i wyszukali sobie miejsce odpowiednie na obóz, a wódz oddalił się z Ik Senandą na poszukiwanie białych. Zapadał już zmrok, spodziewali się więc, że nie będą musieli chodzić daleko.

Przypuszczenie to okazało się trafne, gdyż po zaledwie kwadransie ostrożnej drogi poczuli woń dymu.

— Jesteśmy już blisko nich — szepnął wódz. — Teraz zaczekamy tutaj dopóki się zupełnie nie ściemni.

Gdy zmierzch zamienił się w noc, poczołgali się dalej. Niebawem usłyszeli szmer wody, po czym między drzewami zamigotało światło ogniska, dokoła którego siedzieli biali. W pobliżu rozciągała się mała polana, gdzie pasły się konie. Pomimo że obóz rozbito dopiero przed chwilą, pilnowali go dwaj ludzie ze strzelbami gotowymi do strzału. Było to oczywistym dowodem na to, że nie byli to nowicjusze, ale doświadczeni westmani.

Zwinnym Indianom nie było trudno podejść nawet całkiem blisko, grube drzewa

stanowiły doskonałą osłonę. Obaj wywiadowcy znaleźli się tak daleko, jak pozwalała ostrożność i siedząc za drzewami mogli nie tylko widzieć białych, ale i dokładnie słyszeć wszystko o czym mówili.

Dowódcą bladych twarzy był, jak się zdawało, jakiś stary, ogorzały mężczyzna o białych jak mleko włosach i z długą, jasnoszarą brodą. Rysy twarzy miał ostre, a cała postać wskazywała na to, że z niejednego niebezpieczeństwa wy dostał się szczęśliwie. Z jego bystrych oczu biła, mimo starszego wieku, młodzieńcza żywość, a kiedy mówił, to robił to tak pewnie i z namysłem, jak gdyby był od dawna przyzwyczajony do rozkazywania. Jego towarzysze nazywali go „Wasza mość”.

Reszta mieszkańców obozu była ludźmi, po których widziało się na pierwszy rzut oka, że zdobyli sobie konieczne na Zachodzie doświadczenie. Najmłodszy z nich, szczupły, ale bardzo wysoki młodzieniec o jasnych kędziorach, był najwidoczniej enfant gate<sup>[76]</sup> całego towarzystwa i lubił posługiwać się w rozmowie zabawnymi zwrotami. Nazywano go „Hum”, a czasami „Długi Hum”. Właśnie w chwili, kiedy Tokwi Kawa z wnukiem zajęli swoje miejsca, usłyszeli jego słowa:

— Wasza mość czuje się tu widocznie bardzo bezpiecznie, jeśli nie stawia straży. Wydaje mi się, że jesteśmy na granicy terytorium Komanczów. Czy wasza mość życzy sobie, aby ci dżentelmeni pozbawili was tronu i życia?

— Moim tronem jest miejsce, w którym stoję, a chciałbym widzieć czerwonoskórego, który zdołałby go spode mnie wyciągnąć. Otacza mnie trzydziestu poddanych, a każdy z nich jest bohaterem. Jednak co do Komanczów, to ma pan słuszność, kochany Humie. Chciałem wam tylko zostawić czas na zjedzenie posiłku, a potem jak zwykle ustawimy strażę. Siedem godzin snu ze zmianą co godzinę dadzą cztery posterunki, a to wystarczy jeśli nie będą stały, ale przechadzały się po wyznaczonych sobie rejonach. Tak musimy postępować dopóki nie znajdziemy się w San Juan Mountains.

— Gdzie staniemy się milionerami! — dodał Hum i roześmiał się wesoło.

— Sądzę, że zdołamy tego dokonać, choć pan teraz śmieje się z tego.

— Ponieważ spadek mojego bogatego stryja rozpląnął się jak we mgle, więc nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli mi pozwolicie dziedziczyć jeszcze bogatszy stan Colorado.

— Well! Ponieważ znów pan o tym wspomina, to proszę mi powiedzieć jak wygląda sprawa z pańskim stryjem. Czy was wydziedziczył? Jesteście tak dzielnym młodzieńcem, że

takiej krzywdy nie można by mu przebaczyć aż do śmierci!

— Nie wydziedziczył mnie, a mimo to pozbawił spadku. Uchodził za bogatego, gdyż stworzył takie pozory, natomiast mój ojciec, chociaż doskonały handlowiec, nie doszedł do niczego i zaraz powiem dlaczego. Umierając zostawił mi tylko długi i ani centa gotówki. Kiedy prosiłem bezdzietnego stryja, aby pomógł mi stanąć na własne nogi, pocieszał mnie tym, że zrobi mnie swoim głównym spadkobiercą. Męczyłem się jeszcze przez kilka lat dopóki i on nie zamknął oczu. Została po nim pusta kasa, a w niej księga kasowa. Gdy włożyłem nos w tę księgę, nabawiłem się kataru i to jeszcze jakiego! Kochany stryjasek był tak chytry, że wyzyskiwał mojego dobrodusznego ojca kładąc mu pracować za siebie i nie płacąc mu ani dolara. Ojciec sądził, że pieniądze są pewne u brata, a gdy dowiedział się o wszystkim na krótko przed śmiercią, nie chciał zawstydząć stryja przez odkrycie przede mną całej prawdy. W ten sposób straciłem spadek i to, co bym odziedziczył, gdyby mój ojciec był mniej łatwowierny.

— To ładny stryjasek! Jak on się nazywał?

— Nic mnie to nie obchodzi, nie znam jego nazwiska!

— Co, nie zna go pan? Przecież i pan ma takie samo nazwisko!

— Oczywiście.

— A więc! Nie zapomniał pan chyba własnego nazwiska! U nas nazywa się pan Długi Hum, ale nie powiedział nam pan co to „Hum” oznacza, a nazwisko całkiem pan zataił. Dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że jestem wesoły boy i niechętnie się złoścę, a gniewałbym się na moje nazwisko ilekroć bym je usłyszał.

— Z jakiego powodu?

— Ponieważ brzmi wprost śmiesznie, a zwłaszcza dla ucha Anglika.

— Hm! Jeśli ma pan tak wybitne poczucie piękna dla pięknie brzmiących słów, to może mnie tylko cieszyć. Ale co się tyczy spadku, to niech pan nie bierze sobie tego tak bardzo do serca, gdyż w górach San Juan w Colorado powetuje to sobie pan stokrotnie!

— Jeśli nie stokrotnie, to przynajmniej coś znajdziemy, wasza mość, gdyż nie jest pan człowiekiem, który byłby zdolny wodzić za nosy uczciwych ludzi.

— Nie, rzeczywiście taki nie jestem. Mam w kieszeni sytuacyjny plan pokładów. Wzbogacimy się, bardzo się wzbogacimy, chociaż może nie tak jak wtedy, gdy tutaj, w Sierra Moro, udało nam się odkryć wprost olbrzymią Bonancę of Hoaka.

— Słyszałem o niej wiele razy. Ta nazwa jest szczególna! „Bonanca” jest wyrazem hiszpańskim, „of” angielskim, a „Hoaka”, zdaje się, indiańskim. Prawda?

— Tak jest.

— Co oznacza ta nazwa?

— Nie wiem, gdyż nie znalazłem jeszcze żadnego człowieka, nawet Indianina, który by ją rozumiał i potrafił przetłumaczyć. Ale bonanca to rzeczywistość, niezbita rzeczywistość i szukały jej już setki gambuzinów<sup>[77]</sup>. Kilku z nich było już tak blisko niej, że znajdowali duże bryły złota, ale nikomu jeszcze nie udało się dotrzeć do miejsca, w którym takie bryły leżą masami. Jesteśmy właśnie w tej okolicy, a jeśli jutro pojedziemy dalej, miniemy te miejsca, gdzie dokonano tych odkryć. Kto wie czy w tej chwili nie obozujemy całkiem blisko tej bonancy! Pomyślcie tylko! Gdybyśmy ją tak szczęśliwym trafem znaleźli!

Te słowa podnieciły bardzo wszystkich obecnych, którzy radośnie krzyknęli, a Hum rzekł wesoło:

— Pomyślę o niej, gdy będę zasypiał. Może przyśni mi się w nocy, a wtedy pokażę wam drogę. Moglibyśmy wtedy wyrzec się kopalń w Colorado! Cóż wy na to, moi panowie?

— Oczywiście, że moglibyśmy — odpowiedział jego towarzysz. — Gdybym odnalazł Bonancę of Hoaka, nie zastanawiałbym się zbyt długo, ale darowałbym mój plan sytuacyjny komukolwiek. Czy nie jest to wprost niepojęte, że są ludzie, którzy znają tę bonancę, a nie wyzyskują jej wcale?

— Kto taki? Czy istnieją tacy ludzie? Czy to prawda? — zabrzmiały zewsząd pytania.

— Tak, to prawda. Są Indianie, którzy znają to miejsce, ale z nienawiści do białych utrzymują je w tajemnicy. Tylko wtedy, kiedy chcą coś kupić od bladych twarzy, udają się tam po garść małych nuggetów<sup>[78]</sup>, a wielkie bryły zostawiają na miejscu. Właśnie w tej okolicy natrafiono na takich głupców pozbawionych zupełnie rozumu. Rozmawiałem niedawno w Albuquerque z pewnym patrem<sup>[79]</sup>, który spotkał się z Indianinem w Estrecho de Kuarco<sup>[80]</sup>. Czerwonoskóry był głodny, a pater podzielił się z nim chlebem i mięsem. Na to Indianin wyjął z kieszeni skórzany worek i dał mu kawałek czystego złota czyli nugget, który ważył z pięćdziesiąt gramów. Ten worek był pełny takich kawałków, co przedstawiało niezmierną wartość. Co wy na to?

Odezwały się okrzyki podziwu, a jeden z obecnych, myślący najwidoczniej najpraktyczniej, zapytał:



— A czy pater nie pytał gdzie można znaleźć nuggety?

— Oczywiście, że pytał, ale cała odpowiedź, którą otrzymał, brzmiała tak: „Wziąłem to sobie z Bonancy of Hoaka. Bądźcie zdrowi!” Pater musiał się zadowolić tymi słowami, a czerwonoskóry szybko się oddalił.

— W takim razie pater powinien go zatrzymać i zmusić do wyjaśnienia, gdzie leży ta bonanca!

— Pater, duchowny? Tego mu nie wolno, to sprzeciwiałoby się jego urzędowi i nauce.

— Co mi tam urząd i nauka! Gdybym spotkał takiego Indianina, który nie chciałby mi tego powiedzieć, zatłukłbym go na miejscu i wcale nie robiłbym sobie wyrzutów!

— A ja nie zrobiłbym tego, bo niekoniecznie trzeba się stawać mordercą dla takiego powodu, a zresztą po śmierci dopiero nie mógłby dać żadnego wyjaśnienia. Ja postąpiłbym inaczej. Są inne, daleko pewniejsze środki, którymi można zmusić takiego milczącego Indianina do mówienia. Niestety, nie będziemy mieli możliwości wykorzystać tych środków.

— Gdzie leży to Estrecho de Kuarco? Czy wasza mość wie? A jak brzmi tłumaczenie tej nazwy?

— To nazwa hiszpańska i znaczy tyle co „przesmyk krzemienia”. Przyznam otwarcie, że także należę do tych, którzy na próżno szukali Bonancy of Hoaka. Byłem nawet w Estrecho, ale nic nie znalazłem, chociaż mogę przysiąc, że niewiele mi brakowało do odkrycia. Pomyślcie tylko o nazwie de Kuarco, kwarc. Przecież to kamień, w którym ukrywa się złoto. A przesmyk! To słowo wskazuje wyraźnie, w jaki sposób powstała bonanca! W przesmyku był dawniej wodospad, który powypłukiwał z kamieni ziarnka i grudki złota i zniósł je do jakiegoś wgłębienia. Tam leżą, a ich wartość jest równa wielu milionom. Wystarczyłoby sięgnąć po nie ręką, gdyby się wiedziało gdzie jest ta jama. Ta myśl może przyprawić o obłąd. Jeśli chcecie, mogę wam jutro pokazać Estrecho de Kuarco, bo droga wypada nam właśnie tamtędy.

Te słowa wywołały podniecenie, które przez długi czas nie ustępowało. Dowódca położył temu kres rozkazując mocnym głosem:

— Dajcie temu na razie spokój, panowie! Posililiście się już, a więc trzeba rozstawić strażę. Rozmawiacie tak głośno, że głuchy usłyszałby was na milę! Jesteśmy w pobliżu terytorium Komanczów i jeżeli się nie uciszycie, to nie zobaczycie jutro Estrecha. Daję na to słowo, a wiecie, że zawsze go dotrzymuję!

— Well! Wasza mość będzie miała spokój — odrzekł Hum z nieodłącznym uśmiechem.

— Zamknijcie więc buzie, džentelmeni, señores<sup>[81]</sup> i panowie! Słyszeliście, że chcę spać i śnić o bonancy. Kto mi przeszkodzi spać lub marzyć, temu jutro nie pozwolę wziąć ani jednej grudy złota. A więc dobranoc waszej mości, dobranoc!

Podsunał sobie pod głowę siodło jak poduszkę, położył obok strzelbę gotową do strzału i zamknął oczy.

— Chodź! — szepnął Czarny Mustang do wnuka.

Cofnęli się ostrożnie, i zrobili to w ostatniej chwili, bowiem od ogniska odeszli czterej wartownicy, a jeden z nich minutę potem przeszedł przez miejsce, w którym poprzednio leżeli czerwonoskórzy. Gdyby jeszcze tam byli, na pewno by ich zobaczył.

Gdy byli już dość daleko od obozu białych, Czarny Mustang zatrzymał się i zapytał swego towarzysza:

— Czy przypatrzyłeś się wszystkiemu?

— Tak.

— Nie zrozumiałem wszystkich słów, ale dokładnie znam treść ich rozmowy. Jutro dostaniemy skalpy, konie, broń tych bladych twarzy i wszystko, co tylko mają przy sobie! Uff!

Powiedział to tak stanowczo, jak gdyby był tego zupełnie pewien, jednak Ik Senanda wątpił trochę w powodzenie napadu i ostrzegł:

— Zapewne widziałeś i słyszałeś, że te blade twarze nie są greenhornami<sup>[82]</sup>, których łatwo wywieść w pole.

— Ja tego dokonam!

— A ja sądzę, że najlepiej byłoby napaść na nich jeszcze dziś.

— Mówisz jak młody wojownik, a ja jak mędrzec, który nauczył się rozważać wszystko przed podjęciem decyzji. Cztery warty chodzą bezustannie wokół obozu i na pewno by nas zauważyły. Na krzyk straży wszyscy zerwaliby się gotowi do walki i wystrzelaliby wielu z nas, a ja chcę oszczędzać wojowników, aby się nie narazić na nowe wyrzuty, gdy powrócę do szczepu. Tu nie powinna popłynąć krew ani jednego Komancza.

— Ciekaw jestem jak tego dokonasz! Słyszałeś, co mówili o bonancy?

— Tak.

— Ja nie znam tej bonancy i jeszcze od nikogo nie słyszałem tej nazwy, wiem jednak gdzie się znajduje nasza szapo-gaska<sup>[83]</sup>.

— Uff! — wymknęło się Metysowi. — Jaki jest związek między tą kryjówką i twoim

planem?

— Nie domyślasz się?

— Nie.

— Wiesz równie dobrze jak ja, gdzie ona leży. Jeśli teraz tam pojedziesz, jutro rano możesz być pod Estrecho de Kuarco. Ja przez całą noc będę szedł z moimi wojownikami, aby stanąć tam w tym samym czasie.

— Chcesz tam być, kiedy się zjawią blade twarze?

— Dużo wcześniej, rano lub przed południem, a oni przybędą tam dopiero wieczorem. Uważaj, co ci teraz powiem! Z naszej szapo-gaska weźmiesz potrzebną ilość nuggetów, potem udasz się do Estrecha. Tam zabierzemy ci konia, a ty dasz się pochwycić bladym twarzom. Gdy zobaczą złoto i zapytają cię o bonancę, jakiś czas będziesz się opierał ich żądaniu, a potem zaprowadzisz ich do Estrecha, gdzie tak ich osaczymy, że nie będą mogli wyjść ani się bronić.

— Uff! — rzekł Ik Senanda nie mogąc ukryć lekkiego uśmiechu. — Tego nauczyłeś się od Old Shatterhanda!

— Rozumny wojownik uczy się nawet od najgorszego wroga! Tam przygotujemy dużo drzewa do palenia. Gdy blade twarze znajdą się w Estrecho, zatkamy wejście drzewem i podpalimy je. Wskutek tego wpadną w pułapkę, tak jak my w Birch Hole i będą musieli poddać się zwycięskiemu Tokwi Kawie.

Ik Senanda milczał w zamyśleniu.

— Czy uważasz ten plan za niedobry? — zapytał dziadek.

— Nie, gdyż to, co wymyślił Old Shatterhand, nigdy nie zasługuje na naganę. A jednak jest w tym coś, co mi się nie podoba.

— Co?

— Biali mnie zabiją.

— Nie.

— Przecież to oczywiste!

— Nie! Czy zdaje ci się, że narażę syna mojej córki na niebezpieczeństwo, które zagrażałoby jego życiu?

— Myślę, że tego nie chcesz, ale obawiam się, że to jednak nastąpi. Gdy ci ludzie zauważą, że wywiedziono ich w pole, poczytają to za zdradę i zemszczą się na mnie.

— Nie będą mogli się zemścić, ponieważ uciekniesz zanim się zorientują, że są w

pułapce.

— Czy będę mógł uciec, jeśli będę związany?

— Myślisz, że cię skrepują?

— Oczywiście. Przecież pozornie mam się poddać i powiedzieć gdzie jest bonanca, a więc nie zrobię tego dobrowolnie i oni zabezpieczą się co do mojej osoby.

— Ale nie za pomocą więzów. Ty pójdziesz pieszo, oni pojedą konno. Będą pewni, że w razie ucieczki dopędzą cię po kilku krokach, nie nałożą ci więc więzów. Gdy znajdą się w Estrecho, będziesz uważnie patrzył na wejście i przybiegniesz do nas wtedy, gdy tylko pojawimy się z drzewem.

— Ale jeśli jednak mnie zwiążą, to w jaki sposób uniknę ich zemsty?

— Do tego na pewno nie dojdzie. Gdyby jednak stało się inaczej, to musisz zachować spokój i zdać się tylko na mnie.

Me ty są nie uspokoiły te zapewnienia. Dziadek usiłował rozproszyc jego wątpliwości, co mu się w końcu udało, szczególnie dzięki następującemu zdaniu:

— A gdyby nawet cię pojмали i związali, gdybyś nie mógł uciec, to będę z nimi pertraktował tak jak Old Shatterhand ze mną w Birch Hole i przede wszystkim zażadam uwolnienia ciebie, jeśli poproszą o darowanie im życia.

— Darowanie? To znaczy, że chcesz im odebrać życie.

— I tak zrobię, ale takim nieprzyjaciołom mogę obiecać łaskę, a potem nie dotrzymać słowa. Czy blade twarze były szczere względem nas?

— Nie.

— Wykonasz więc moje polecenie?

— Uczynię wszystko, czego ode mnie żądasz, ponieważ nie opuścisz syna swojej córki, a wszyscy wojownicy Komanczów będą wielbić moją odwagę, że poświęciłem swoją wolność i życie, aby tych białych ludzi oddać w twoje ręce.

— A więc chodźmy!

Powrócili na miejsce, gdzie czekali Komancze. Czarny Mustang krótko oznajmił wynik zwiadów i swoje postanowienia. Czerwonoskórzy nie mogli więc odpocząć ani się wyspać, ale wprost przeciwnie, mieli przed sobą nocny marsz. Mimo to z radością, choć bez głośnych okrzyków, przyjęli rozkazy wodza, gdyż nadarzała im się okazja na zdobycie koni, broni i ponad trzydziestu skalpów, dzięki czemu przynajmniej część z nich mogła się spodziewać odzyskania

utraconego honoru.

Kilka minut później Wyruszyli do Estrecho de Kuarco, a Metys odjechał do szapo-gaska.

Podróż do Estrecho de Kuarco była uciążliwa, ponieważ większą część drogi musieli przebyć nocą, a w dodatku prowadziła ona przez okolicę sprawiającą wędrowcom wiele kłopotu. Nie mogli obrać krótszej i wygodniejszej drogi, gdyż było możliwe, że biali udadzą się właśnie tędy i natrafią wtedy na ślady Komanczów.

Indianie szli więc śmiało przez całą noc przechodząc przez góry, niewygodne parowy i doliny. O świcie zatrzymali się na krótki odpoczynek i posilili się bawolim mięsem. Potem ruszyli dalej i to z takim pośpiechem, że jeszcze przed południem przybyli w pobliże Estrecho. Okolica, w której leżała ta miejscowość, nadawała się doskonale do ich celów. Było tu wąskie pasmo gór porośnięte gęstym lasem, a przed jego końcem znajdowało się głębokie wcięcie, które mogło powstać przez powoli niszczącą działalność wody lub wskutek nagłego wybuchu wulkanu i oddzieliło pasmo gór od ostatniej części wyżyny, opadającej stromo i chaotycznie. Wspomniane wąskie pasmo gór tworzyło język wysuwający się na równinę. Pasma składało się z twardych krzemienych skał, w których, masę dość daleko wciskało się wcięcie, szerokie na zaledwie dziesięć stóp, a z przeciwnej strony zamknięte prostopadłą ścianą skalną. Boki tego wcięcia były tak strome, że nie można było się na nie wdrapać. Wyglądało to tak, jak gdyby przyroda pracowała tu wielką kamienną piłą, aby nie dać najmniejszego oparcia dla ludzkiej stopy. Nie było tu też ani jednego drzewa, krzaka czy rośliny, która znalazłaby dość miejsca na zapuszczenie korzeni.

Wcięciem było właśnie Estrecho de Kuarco, o którym mówiła „jego mość”, że wyźłobił je przed wiekami wodospad.

Po przybyciu na miejsce Komancze ukryli się w lesie; nie zbliżali się do Estrecho, by nie zostawić tam żadnych śladów. Tylko wódz udał się do przesmyku, aby się przekonać czy nie ma w tych stronach kogoś jeszcze oprócz niego i wojowników Komanczów. Wrócił zadowolony i kazał wszystkim zająć się zbieraniem suchego drzewa, które potem powiązano w wielkie, łatwe do przenoszenia wiązki.

Niedługo potem ujrzeli Metysa jadącego przez równinę. Zaprowadzili go do lasu i pokazali obecne miejsce postoju. Gdy oddał Indianom śmiertelnie znużonego konia, którego miał pod sobą, pokazał Czarnemu Mustangowi przyniesione nuggety, otrzymał od niego jeszcze kilka wskazówek i oddalił się, aby objąć swoją, nie całkiem bezpieczną, rolę. Komancze nagromadzili

wkrótce więcej drzewa niż potrzebowali do swych zamiarów i teraz mogli wypocząć po wyczerpującej wędrówce. Biali, nie przeczuwając jakie niebezpieczeństwo czeka ich w Estrecho, spali do późnego rana, nic ich bowiem nie nagliło do wczesnego wyruszenia i opuścili obóz nie dostrzegając śladu dwóch Indian, którzy ich podeszli i podsłuchali. Jechali aż do południa i ze względu na upał pozwolili sobie i koniom na godzinę odpoczynku. Potem ruszyli dalej aż do punktu oddalonego od Estrecho o jakieś trzy mile angielskie. Droga wiodła teraz przez dolinę, w której zobaczyli jedno drzewo. Dowódca, który otwierał pochód ze swoim ulubieńcem Humem, wskazał w tę stronę i rzekł:

— Widzicie to drzewo tam na dole? To mój drogowskaz. Jeżeli będziemy jechali tak wolno, jak dotąd, przybędziemy do Estrecho za godzinę.

Ludzie spojrzeli w dolinę, a jeden z nich powiedział:

— Oprócz drzewa widzę coś jeszcze, wasza mość. Jeśli się nie mylę, leży pod nim zwierzę. Ale możliwe, że to człowiek.

— Hm! Samotny człowiek w tych niebezpiecznych stronach? Może to jakiś gambuzino, który dowiedział się o bonancy i szuka złota? Musimy mu się dobrze przypatrzeć!

Wkrótce przekonali się, że to nie zwierzę, ale człowiek, rozciągnięty pod drzewem i pogrążony we śnie. Aby go zaskoczyć zniecacka, dowódca z kilkoma towarzyszami zsiadł z konia i podszedł z nimi po cichu, a reszta jechała za nimi.

Człowiek na pozór spał mocno, gdyż nie dosłyszał nadchodzących, którzy otoczyli go gdy tylko doszli do drzewa. Kawałek skóry zwinięty na kształt worka tkwił mu za pasem w ten sposób, że jego górna część była widoczna. Poza tym worek rozluźnił się nieco, dzięki czemu biali dostrzegli kawałek szczerego złota wielkości orzecha laskowego.

— Do licha! — wyrwało się dowódcy. — Ten człowiek ma nuggety! To mieszaniec, prawdopodobnie Metys. Ma nuggety! Tu, w pobliżu Estrecho! To mnie zastanawia. Trzeba go dobrze wy badać!

Tymczasem nadjechali konni, a odgłos kopyt zbudził śpiącego, który nagle otworzył oczy i zobaczywszy białych zerwał się przestraszony i jakby niechcący sięgnął ręką do pasa. Poczuł, że worek trochę się wysunął i wsunął go głębiej z tak trwożną skwapliwością, że przybysze nabraliby podejrzeń nawet gdyby nie widzieli u niego złota poprzednio.

Był to oczywiście Ik Senanda, który doskonale grał swoją rolę. Czekał tutaj na białych, spostrzegł ich już z daleka i udawał tylko, że śpi. Worek umyślnie położył tak, żeby mógł się sam

otworzyć. W ten sposób chciał od razu zwrócić uwagę białych na fakt, że posiada złoto. Przybysze oczywiście natychmiast dali się złapać w sidła.

— Czy wolno zapytać — zaczął dowódca — kim pan jest, półbarwny młodzieńcze?

— Nazywam się Yato Inda — odrzekł Metys nadając sobie imię budzące zaufanie, tak samo jak to zrobił w Firwood Camp.

— Yato Inda? To znaczy „Dobry Człowiek”, jeśli się nie mylę. Kto był waszym ojcem?

— Biały myśliwy.

— A matką?

— Córka Apaczów.

— A więc imię odpowiada pańskiemu pochodzeniu. Ale dlaczego wędrujecie w tych stronach należących do Komanczów, gdzie wcale nie ma Apaczów?

— Mój szczerp nie chce mnie.

— Dlaczego?

— Ponieważ jestem przyjacielem białych twarzy.

— Jest pan więc banitą? Tę okoliczność potwierdza to, że macie przy sobie tylko nóż, a strzelbę wam odebrano.

— Yato Inda uda się do białych twarzy i kupi od nich strzelbę.

— Tak! Fakt, że wypędzili was czerwonoskórzy, usposabia nas do pana przychylnie, ale jeśli chcecie kupić strzelbę, to musicie mieć pieniądze.

— Yato Inda nie potrzebuje pieniędzy.

— Nie? Czy sądzicie, że strzelba zostanie wam darowana?

— Nie. Białe twarze nie dają podarków, ale są zadowoleni, jeśli za strzelby i wodę ognistą otrzymują nuggety.

— Ach, wodę ognistą! Pijesz ją chętnie?

— Bardzo chętnie! — odrzekł Metys głosem tak szczerym i swobodnym, na jaki tylko mógł się zdobyć.

— Nie posiada pan więc okrągłych pieniędzy, ale za to złote nuggety?

— Yato Inda będzie ich dopiero szukał i to tak długo, dopóki ich nie znajdzie.

— Z pana słów wynika, że ma pan zamiar szukać słynnej Bonancy of Hoaka.

Dowódca wydało się, że wyraził się bardzo chytrze, a sprytniejszy od niego Metys pozostawił go w tym mniemaniu i odrzekł:

— Mój biały brat zapewne słyszał o tej bonancy, ale prawdopodobnie uważa ją za kłamstwo lub bajkę?

— Oczywiście, ponieważ taka ilość złota, o jakiej mówią, nie może się znajdować w jednym miejscu.

— Uff! — zawołał Metys jeszcze pewniejszy siebie. — To nie jest kłamstwo. Taka bonanca naprawdę istnieje.

— Naprawdę? Znacie ją może?

— Wiem gdzie ona jest i... uff, uff! — poprawił się przestraszonym głosem — wiem, że istnieje.

Można sobie wyobrazić z jakim napięciem biali przysłuchiwali się tej rozmowie i jak bardzo ich dowódca triumfował w duchu, gdy usłyszał nieuważne wyznanie Ik Senandy. Dowódca podszedł o krok do Metysa i powiedział:

— No i wygadałeś się, kochasiu. Powiedziłeś więcej niż chciałeś. Nie tylko wiesz, że Bonanca of Hoaka istnieje, ale znasz nawet jej położenie.

Mówił teraz do Metysa przez „ty”, aby go zastraszyć. To wywarło widocznie zamierzony skutek, gdyż mieszaniec zająknął się i odparł w wielkim zakłopotaniu:

— Nie... nie... nie wiem, gdyż... nie wolno mi nic o tym mów...

— Mówić, nie wolno ci o tym mówić? — przerwał biały. — Teraz właśnie to powiedziłeś! Teraz się zdradziłeś!

— Nie... nie... nie...! Ja... ja nic..., nie... nie... wiem...

— Milcz! Wiesz wszystko! Gdzie leży bonanca? Tylko ostrzegam cię, żebyś nie ukrywał przed nami prawdy!

— Nie... nie ukrywam niczego, ponieważ nic mi o tym nie wiadomo!

— Tak? To ja ci udowodnię, łajdaku, że nas okłamujesz! Uważaj!

Dowódca nagłym ruchem sięgnął mu za pas i wyrwał worek, który nie był zszyty, ale zrobiony ze złożonej skóry i dlatego od razu się rozleciał, a więcej niż garść nuggetów rozsypała się po ziemi. Metys wydał okrzyk przerażenia i czym prędzej pochylił się, by pozbierać rozrzucone grudki. Jednak biali stojący najbliżej niego uprzedzili go zanim zdążył podnieść choć jedną. Dowódca złapał go za ramiona, podniósł i huknął:

— Widzisz teraz, hultaju, że udowodniliśmy twoje kłamstwo? Skąd masz nuggety?

Metys otworzył usta, ale nic nie powiedział. Udawał, że ze strachu nie może wydobyć ani



słowa i dopiero gdy kilkakrotnie powtórzono pytanie, wyjąkał:

— Zna... zna... znalazłem.

— Naturalnie! Tego się domyśliliśmy! Ale gdzie!

— Tam... tam... wczoraj... znalazłem ten worek w lesie.

— W lesie? Worek? Bezcelny kłamco! Nikt nie wyrzuca w lesie worka pełnego nuggetów! Wziąłeś to złoto z bonancy i natychmiast masz nam powiedzieć gdzie ona leży!

— Tego... tego nie mogę powiedzieć.

— Tak?! To ja ci zaraz pokażę, że możesz! Zostawiam ci minutę do namysłu. Jeśli potem nie udzielisz odpowiedzi, to dostaniesz tyle kuł w brzuch, ile mamy tutaj strzelb! Pośpiesz się więc!

Wszyscy biali wymierzili w niego ze swoich strzelb. Na to Metys zawołał z udanym przestraczem:

— Nie strzelajcie! Słyszeliście przecież, że jestem przyjacielem białych! Dlatego musiałem opuścić plemię bez konia i strzelby i jeszcze za to miałbym zostać zabity?

— Nie za to, ale za uparte wypieranie się. Jeśli rzeczywiście jesteś przyjacielem białych, to udowodnij to swoją szczerością!

— Nie wolno mi tego zrobić! Czerwonym mężom surowo zabroniono zdradzić położenie bonancy!

— Nie jesteś Indianinem, ale mieszańcem, a więc ciebie nie dotyczy ten zakaz. Zresztą, gdybym ja był Indianinem wypędzonym z plemienia, to starałbym się zemścić w jakiś sposób. Masz teraz doskonałą okazję do zemsty — wskaż nam położenie bonancy.

— Zemścić się? Ach... ach., uff! Zemścić! — zawołał Metys, jakby dopiero teraz rozumiejąc te słowa.

— Tak, zemścić się, zemścić się za straszną obelgę, za krzywdę, jaką ci wyrządzono!

Metys wahał się jeszcze przez jakiś czas, a jego mina wyraźnie świadczyła o wewnętrznej walce. Gdy wszyscy biali zaczęli go zachęcać, rzekł już śmieiej:

— Nawet gdybym chciał, nie mógłbym... powiedzieć!

— Dlaczego?

— Właśnie dlatego, że mnie wypędzono. Ponieważ nigdy nie wolno mi wrócić do mojego szczepu więc muszę udać się do białych twarzy i mieszkać z nimi, a do tego potrzebuję złota, dużo złota, gdyż biali za wszystko żądają zapłaty. Tymczasem wy zabralibyście mi wszystko,

gdybym tylko wyjawiał położenie bonancy!

— Co za bzdura! Zaraz sam się przekonasz, jaki to nonsens! Ile złota będzie można znaleźć w bonancy?

— Uff! — zawołał triumfalnie Ik Sananda. — Tyle, że pięćdziesiąt koni nie dałoby rady go wywieźć!

— Czy to możliwe?! — krzyknął dowódca białych. — Czy to prawda?

— Sam widziałem te masy złota.

— Kiedy?

— Kilka razy, a ostatni raz dziś przed południem.

— Słyszycie?! Trzymajcie się, przyjaciele, żebyście nie zwariowali! Taka masa, taka masa złota! Przecież to by wystarczyło na zakupienie całych Stanów Zjednoczonych! I temu człowiekowi wydaje się, że on sam potrzebuje tego wszystkiego, aby zapłacić za strzelbę i wodę ognistą! Człowieku, powiadam ci, że jeśli będziesz miał tyle złota, ile zdołasz udźwignąć, to spełnią się twoje największe marzenia i będziesz mógł pić wodę ognistą codziennie do końca życia! Zresztą dostaniesz z tego dużo więcej. Jeśli pokażesz nam bonancę, podzielimy się z tobą; ty otrzymasz połowę, my weźmiemy drugą. Potem będziesz się mógł śmiać ze wszystkich swoich Apaczów i żyć wspanialej niż prezydent, którego nazywacie białym ojcem.

— Wspanialej... niż... niż biały ojciec? Czy to możliwe? — pytał Metys upojony radością, jak gdyby uważał życie prezydenta za tysiąc razy przyjemniejsze od życia w Wiecznych Ostępach.

— Tak, tak! Przysięgam! Dostaniesz potem wszystko, wszystko, czego tylko zapragniesz!

— I tyle wody ognistej, ile potrafię wypić?

— Nawet więcej niż wody w Missisipi! Powiedz tylko gdzie jest bonanca!

Twarz Metysa promieniała coraz bardziej. Było widać, że jest bliski zdradzenia cennej tajemnicy. Miał jeszcze tylko jedną wątpliwość:

— Jest was trzydziestu wojowników, a ja sam i bez broni. Kiedy pokażę wam bonancę, wypędzicie mnie i nic nie dostanę!

To niczym nie uzasadnione obawy! Jesteśmy przecież uczciwymi ludźmi i nie pozbawiamy cię twojego udziału. Tak powiedziałem i dotrzymam słowa! Jeśli nam jednak nie powiesz, zastrzelimy cię bez litości. Wybieraj więc! Albo śmierć, albo tyle wody ognistej, ile zdołasz wypić przez całe życie!

Dowódca był już bardzo zdenerwowany, podobnie jak i jego towarzysze. Chodziło przecież o pięćdziesiąt konnych ładunków szczerego złota! Prawie trudno było sobie wyobrazić możliwość zdobycia takiej ilości cennego kruszcu. Pożądliwe spojrzenia białych wbiły się w twarz Metysa. Na nim zaś groźba śmierci zrobiła takie samo wyrażenie, jak nadzieja wypicia całej Mississipi wody ognistej. Odpowiedział więc ku wielkiemu zachwytowi wszystkich białych:

— Yato Inda zaufa wam i wierzy, że pozwolicie mu zabrać połowę złota. Dlatego pokaże wam gdzie leży Bonanca of Hoaka.

Po tych słowach wybuchła powszechna radość, taka, jaką westmani zwykli nazywać „shout”<sup>[84]</sup>. Nawet dowódca wymachiwał rękami i podskakiwał mimo wieku, siwej brody i białych jak mleko włosów. Tylko jeden z nich zdołał do pewnego stopnia opanować podniecenie, a mianowicie Hum. Wprawdzie jego twarz także promieniała radością, ale mimo to zawołał wśród zgiełku tak donośnie, że wszyscy go usłyszeli:

— Dżentelmeni, sennores i panowie! Czeka nas wielka radość, ale nasza uczciwość nie powinna być mniejsza! Obiecaliśmy temu człowiekowi połowę złota i sądzę, że dotrzynamy tego przyrzeczenia! Kto jest innego zdania, ten nie ma honoru!

— Tak, tak, tak! — zaśmiał się dowódca, a za nim inni: — Tak, tak, tak.

Ten śmiech dowodził wyraźnie, że słowa o braku honoru nie powstrzymają ich od wykonania skrytych postanowień. Metys udał, że ten śmiech wcale nie wzbudził jego podejrzeń.

— Jeśli teraz zaprowadzę was do bonancy — oświadczył spokojnie — to nie będziemy musieli jechać zbyt daleko.

— To blisko? — zapytał dowódca. — Domyślałem się tego. Bonanca leży w Estrechu, prawda?

— Tak.

— W takim razie odkrylibyśmy ją bez twojej pomocy.

— Nie — odpowiedział Metys pewnym głosem. — Nie znaleźlibyście jej nawet gdybyście szukali wiele lat.

— A więc idź przodem! I nie próbuj uciekać! Natychmiast zostałbyś przedziurawiony trzydziestoma kulami!

Metys udał, że nie słyszy tej groźby i bez wahania ruszył naprzód. Wiedział przecież, że prowadzi ich na pewną zgubę. Cieszył się w duchu, że udało mu się wykonać zadanie dużo

łatwiej niż przypuszczał.

Oczywiście otumanieni i pewni siebie biali nie mówili o niczym innym jak tylko o bonancy. Hum zachowywał się cicho i rozmyślał w jaki sposób mógłby nakłonić swoich towarzyszy do uczciwego postępowania. Po jakimś czasie przyłączył się do dowódcy, który zapytał z uśmiechem:

— To co poprzednio powiedzieliście o uczciwości było chyba żartem, prawda?

— Nie, sir!. Ten człowiek oddaje nam połowę swoich skarbów nie żądając niczego w zamian, więc bylibyśmy najędźniejszymi łotrami, gdybyśmy nie dotrzyмали przyrzeczenia.

— Naprawdę myślał pan poważnie o naszej obietnicy? Pshaw! Zawsze byłem i będę człowiekiem honoru, ale każdy wie, że nie trzeba zważać na słowa, gdy ma się do czynienia z Indianinem.

— To mi się wydaje tak nikczemne, sir, że ja... hm! Zresztą ten Yato nie jest Indianinem, jego ojciec był biały!

— I to właśnie uprawnia nas do odrzucenia wszelkich skrupułów. Mieszkańcy są o wiele gorsi, bardziej zdradzieccy i wiarołomni niż Indianie czystej krwi. Niech nam pokaże bonancę, a potem może iść dotąd chce.

— Bez złota, które miał sobie wziąć?

— Oczywiście. To byłoby czystym szaleństwem dzielić się z nim taką masą złota!

— Szaleństwem albo i nie. Ja nie dopuszczę do tego, by go oszukano!

— Niech pan się nie naraża na śmiech! Co poradzi pan przeciwko naszym zamiarom, naszym trzydziestu głosom? Nic!

— Przeciwnie!

— Co zamierza pan zrobić? — zapytał już ostrzej dowódca.

— Moje zachowanie w tej sprawie będzie zależało od waszej uczciwości.

— Czy to ma być groźba?

— Jeśli nie postąpiacie z Metysem uczciwie, to w takim razie będzie to groźba.

Winnetou nazywał złoto „deadly dust” czyli „śmiertelny pył”. Przekonał się wielokrotnie, do jakich tarapatów doprowadził swoich „szczęśliwych” znalazców. Nawet ludzie, którzy nie widzieli jeszcze bonancy, przejawiali następstwa żądzy posiadania. Dowódca, którego ulubieńcem był dotychczas Hum, zapomniał nagle o przyjaźni i wrogim głosem zagroził:

— Niech pan się nie waży przypadkiem ostrzec Metysa lub przedsięwziąć czegokolwiek

przeciwko naszym zamiarom! Nie znam się na żartach gdy chodzi o Bonancę of Hoaka i reszta towarzyszy myśli tak samo jak ja. Ostrzegam, że na pewno nie minie pana kula!

Po tej groźbie, wygłoszonej całkiem poważnie, dowódca popędził konia, aby zrównać się z jadącym na przedzie mieszanicem. Hum pozostał w tyle i nawet zwolnił, gdyż jadący blisko niego ludzie słyszeli jego rozmowę z dowódcą i odwracali się do niego z nie mniej poważnymi groźbami.

Mimo to Hum postanowił nie dać się nastraszyć i zdecydował nie cofnąć się przed żadnym niebezpieczeństwem, byle dopomóc Metysowi w uzyskaniu należnej mu części złota. Na razie jednak musiał czekać dopóki nie zabiorą skarbu, do tej chwili pośpiech był zbyteczny. Ponieważ czuł się obrażony i okłamany w swej uczciwości, więc zostawał coraz bardziej w tyle, aż wreszcie stracił z oczu towarzyszy. Wprawdzie pragnął złota nie mniej niż oni, ale złość na oszustwo, jakie chcieli popełnić sprawiła, że nie pędził do Estrecha tak jak inni.

Z tego powodu później niż oni zobaczył skały, które rzekomo osłaniały bonancę. Na ich widok zaskoczony zatrzymał konia, a chwilę potem zeskoczył z siodła, żeby go nie dostrzeżono, gdyż obok Estrecho ujrzał uwijające się postacie, które na pewno nie były jego towarzyszami. Zaraz potem w górę buchnął płomień i rozległo się wycie świadczące o tym, że przed sobą miał Indian.

Przestraszył się, ale oczywiście nie o siebie, samego. Na szczęście właśnie zapadał mrok, dzięki czemu czerwonoskórzy nie zauważyli go. Byli zresztą tak zajęci Estrechem, że nie zwracali uwagi na to co się dzieje dokoła. Zdawało się, że w pułapce są już wszyscy biali i Ik Senanda był widocznie tego samego zdania, gdyż krocząc na czele pochodu nie oglądał się wcale i nie spostrzegł, że jeden z jeźdźców został w tyle.

Hum zastanawiał się co począć w tych okolicznościach i przyszło mu na myśl, że aby móc pomóc towarzyszom, należy przede wszystkim oszczędzać siebie. Musiał się dowiedzieć w jaki sposób mógłby ich uratować, a oprócz tego pilnować, aby go nie dostrzegli Indianie. Zaczekał więc dopóki się zupełnie nie ściemniło i pojechał dalej, ale nie w kierunku widocznego teraz wyraźnie ognia, lecz bardziej na lewo, aby w bezpiecznej odległości od wrogów zostawić konia, a potem podkraść się bliżej.

Ogień płonął po zachodniej stronie skalnego szczytu, a Hum podjechał ku wschodniej i znalazł tam kryjówkę, w której przywiązał konia. Znajdował się około piętnastu minut drogi od pułapki, ale ponieważ musiał się poruszać bardzo ostrożnie i powoli, więc upłynęło sporo czasu

zanim dotarł w pobliże Estrecho.

Przemykając się ku zachodowi dostał się wreszcie do wgłębienia gruntu dzielącego Estrecho od pasma gór. Położył się na ziemi i czołgał się aż do rogu. Stamtąd zobaczył ogień płonący w odległości około dwustu kroków. Płomienie buchały tak wysoko, że światło dochodziło prawie do rogu i oświetlało go jasno jak w dzień. Hum nie mógł się posunąć dalej, ponieważ zauważył nagle wielu Indian zajętych noszeniem wiązek drzewa i wrzucających je w ogień.

Dzięki jasności dochodzącej aż do szczytu skały Hum dostrzegł jeszcze wielu innych Indian, którzy wspinali się na górę i rozdzielali się tam. Długo zastanawiał się jaki jest tego cel, aż wreszcie usłyszał głos dobiegający ze szczytu. Sposób wyrażania się wskazywał, że mówiący był Indianinem, gdyż posługiwał się mieszaniną języka angielskiego i indiańskiego. Wprawdzie trudno było zrozumieć wszystkie słowa, ale Hum domyślił się treści przemówienia, która była mniej więcej taka:

— Odrzućcie całą broń i cofnijcie się! Ten, kto wystrzeli lub będzie się bronił w jakikolwiek inny sposób, zginie na palu, a tym, którzy się poddadzą, darujemy życie!

— Acha, teraz już wiem! — szepnął do siebie Hum. — Indianie zamknęli białych w bonancy. W bonancy? Hm! Teraz rozumiem całą sprawę. Tu wcale nie ma bonancy, a ten łotr Metys był szpiegiem, otumaniał nas nuggetami po to, żeby wpędzić w ręce czerwonoskórych. Jak to dobrze, że jestem uczciwy! W przeciwnym razie siedziałbym teraz tak samo w błocie! Ale oni muszą się stamtąd wydostać, koniecznie muszą, a tylko ja mogę im pomóc! Ale jak? Więźniów jest trzydziestu, a Indian, jak mi się zdaje, trzy razy tyle.

Hum namyślał się przez chwilę, po czym znów szepnął:

— Będzie trudno, bardzo trudno i nie wiadomo, czy zdołam cokolwiek zrobić. Ale jestem gotów zaryzykować. Nie można podejść do ognia ani na skałę, bo tam jest za jasno, a jednak muszę dostać się na górę, aby zobaczyć jak wygląda sytuacja. Jeśli nie można wejść na nią od północnej strony, to należy spróbować od południowej. Muszę spróbować. A więc do dzieła!

Zawrócił i pośpieszył pod skałę, aby okrążyć jej róg i dostać się na drugą stronę. Zaledwie przeszedł sto kroków, a nagle tuż przed nim wynurzyła się z mroku szczupła postać i zawołała:

— Stój, miły nieznajomy! Z kim to takie wyścigi? Niech pan łaskawie każe swoim nogom stanąć, bo przestrzelę pana na wylot!

Mówił do niego biały, a więc nie wróg, ale Hum był tak zajęty myślą o tym, aby jak

najszybciej dobiec na drugą stronę Estrecho, że nie zastanowił się nad tym dziwnym spotkaniem. Dlatego nie posłuchał wezwania i mijając przybysza odrzekł pośpiesznie:

— Daj mi pan spokój! Nie mam ani sekundy do stracenia!

Biegając dalej usłyszał za sobą głos:

— No, ten nie uczył się biegać od ślimaka! Jednak daleko nie zajdzie!

Hum nie rozumiał co to miało znaczyć, ale wszystko wyjaśniło się już po chwili. Gdy przebrzmiały te słowa, przed nim pojawiła się druga postać, zatrzymała go jedną ręką, a drugą uderzyła pięścią w głowę tak mocno, że stracił przytomność. Znalazł się teraz w sytuacji nie lepszej niż jego towarzysze, chociaż w ostatniej godzinie nie okazywali mu tyle przyjaźni co przedtem.

Jak już wspomniano, biali pod przewodnictwem Metysa pojechali naprzód i przybyli do krzemiennej skały, w którą głęboko wcinało się Estrecho de Kuarco. Weszli do środka bez namysłu i nie wydało im się podejrzanym nawet to, że mieszaniec w pewnej chwili się zatrzymał i rzekł:

— Gdy wszystkie blade twarze tam wejdą, niech zsiada z koni i spętają im nogi. Ja tymczasem otworzę ukrytą kopalnię, aby wam pokazać bonancę.

Ukląkł pod skalną ścianą i zaczął grzebać w kamiennym rumowisku, jak gdyby starał się odszukać wejście do bonancy. Biali minęli go, tylko dowódca podszedł do niego i zapytał:

— A więc to tu leży zakopane złoto?

— Tak — potwierdził mieszaniec.

— Tu jest tak wąsko, że miejsca starczy tylko dla jednego człowieka. Metys zamierzał zająć czymś dowódcę, aby odwrócić jego uwagę od siebie, a ten od razu rozkazał:

— W takim razie odjedź na bok! Sam to zrobię!

Dowódca przykucnął i zaczął tak gorliwie odsuwać gruzy, że nie pomyślał nawet o pilnowaniu Metysa, który przypatrywał mu się przez chwilę, potem oddalił się nieco i upewnił się, że biali zajęci końmi nie zwracają na niego uwagi, po czym podbiegł cicho do wejścia. Tam Komancze rzucali już wiązki drzewa na stos, a wódz wyciągnął właśnie punka<sup>[85]</sup>, aby rozniecić ogień.

— Uff! — rzekł Tokwi Kawa z radością. — Wpadli w pułapkę! Jestem z ciebie zadowolony!

— Uff! — odparł Ik Senanda. — Szczęśliwie umknąłem niebezpieczeństwa!

— Mówiłem ci, że tak będzie. Za chwilę buchnie płomień. Niebawem usłyszymy wycie bladych twarzy!

Zmrok zapadał coraz szybciej, a w skalistym przesmyku było ciemniej niż na otwartej przestrzeni. Dowódca białych grzebał w kamieniach jak gdyby chodziło o sprawę życia i śmierci, a po chwili rzekł do Metysa myśląc, że ciągle obok niego stoi:

— Tak tu ciemno, że prawie nic nie widać. Trzeba rozpaść kilka ognisk, w lesie jest dosyć drzewa.

Nie otrzymał odpowiedzi i odwrócił głowę, ale nie dostrzegł mieszkańca. Wstał i kilkakrotnie zawołał Yato Indę, a potem zapytał swoich ludzi czy go nie widzieli. Nikt jednak nie wiedział co się z nim stało. Zaniepokojony dowódca pomyślał: „Przecież on doszedł tylko do tego miejsca i zaczął grzebać między kamieniami. Jeżeli go nie ma, to znaczy, że mógł pójść tylko do wyjścia”. Nagle w białym obudziło się podejrzenie.

— Do wszystkich diabłów! — zawołał. — Chyba nam nie uciekł!

Nikt mu nie odpowiedział, więc mówił dalej:

— Musimy się czym prędzej stąd wydostać! Tam jest jaśniej, może go jeszcze zobaczymy!

Skierował się w stronę wejścia, ale po kilku chwilach i on, i jego towarzysze zatrzymali się ze strachem, bo nagle przed sobą spostrzegli buchający w górę ogień, który niebawem wypełnił sobą całe wejście.

— Nieba, co to takiego?!. — krzyknął dowódca. — Czy to ten Metys? Kto...

Zanim dokończył zdanie otrzymał straszną odpowiedź: po drugiej stronie płonącego drzewa podniosło się takie wycie Komanczów, że zdawało się, iż skały drżą po obu stronach przesmyku. Białym z przerażenia odjęło mowę, bo zorientowali się natychmiast, w jakim są położeniu. Pierwszy opamiętał się dowódca, ale tylko po to, by zakląć:

— Do stu piorunów! Jesteśmy tu zamknięci! Ten mieszaniec wydał nas Indianom! To Komancze. Poznaję ich po wyciu. A tu po ścianach nawet wiewiórka się nie wdrapie, a co dopiero człowiek. Musimy spróbować przejść przez ogień. Siadajcie na konie i weźcie strzelby! Może zdołamy przeskoczyć płomień zanim się zwiększą, a po tamtej stronie poczęstujemy tych czerwonoskórych diabłów kulami.

— Ilu może ich być? — zapytał jeden z białych.

— Tego oczywiście nie wiem, ale w takim położeniu trudno liczyć nieprzyjaciół. Musimy



się wydostać nawet gdyby ich było tysiąc. Uważajcie tylko, żeby proch się nie zajął i nie wybuchł. Każdy przedostanie się przez ogień, jeżeli szybko i odważnie skoczy. A więc naprzód!

Biali rozpętali konie i powskakiwali na siodła. Trzymając strzelby w pogotowiu, z dowódcą na czele, ruszyli ku wejściu. Jeśli zamierzali przeskoczyć przez ogień, to trzeba było to zrobić w galopie. Niestety, nie można było tego dokonać z powodu braku miejsca. Dowódca cofnął się za zakręt, aby się rozpędzić, pognał konia, ale po ponownym minięciu zakrętu nagle przed sobą zobaczył ogień. Koń się spłoszył, a gdy dowódca próbował biciem zmusić go do pójścia dalej, usłyszał donośny, rozkazujący głos dobiegający z drugiej strony ognia:

— Stać! Niech blade twarze dalej nie jadą! Jestem Tokwi Kawa, wódz Komanczów i mam ze sobą sześć razy po pięćdziesięciu wojowników. Jeżeli jesteście tacy szaleni, że chcecie przeskoczyć płomienie, to możecie to zrobić tylko po kolei, a wtedy my wystrzelamy was jednego po drugim!

— Tokwi Kawa, kat białych myśliwych! — zawołał dowódca zwracając się do swoich ludzi. — Słyszeliście co powiedział? On miał rację. Jesteśmy zupełnie zamknięci i nie zdołamy się wydostać. Tokwi Kawa chce naszych skalpów i jeżeli da się uprosić, aby nas przynajmniej puścić z życiem, to będzie dla nas wielkim szczęściem.

Jak gdyby słysząc te słowa Czarny Mustang znów się odezwał:

— Jeśli blade twarze spróbują się bronić, będą zgubione. Daruję im jednak życie, jeżeli się poddadzą.

Dowódca białych powtórzył te słowa ludziom stojącym z tyłu i nastąpiła krótka narada, w wyniku której postanowiono pertraktować z czerwonoskórymi i podstępem uzyskać jak najlepsze warunki. Dowódca zaczerpnął głęboko tchu i zawołał:

— Co was skłania do wrogiego postępowania względem nas? Przecież nie zrobiliśmy wam nic złego!

— Wszystkie blade twarze są naszymi nieprzyjaciółmi — brzmiała odpowiedź. — Droga do wolności jest zamknięta, a życie możecie ocalić tylko w ten sposób, że poddacie się i zaniechacie wszelkiego oporu. Odrzućcie broń!

— Do licha! Tak źle jeszcze nie jest! Prawda, że nas zamknęliście, ale spróbujcie nas stąd wydobyć! Właśnie nasze strzelby udowodnią, że to niedorzeczne uważać nas za bezbronnych jeńców!

— Uff! Najpierw rozglądnijcie się po waszym więzieniu! W górze na krawędzi stoi ponad

stu wojowników gotowych posłać wam kule, gdy otrzymają taki rozkaz!

— Fatalnie! — zgrzytnął dowódca, oczywiście nie tak głośno, żeby to słyszeli Indianie.  
— Jeśli tak jest, to powystrzelają nas z góry i nie będziemy mieli okazji, by się pochwalić naszymi strzelbami. Nie pozostaje nam nic innego, jak ułagodzić Czarnego Mustanga za pomocą sprytnego układu. Posłuchajmy, jakie stawia warunki!

Zwracając się znów do ognia zawołał głośno:

— Niech twoi ludzie stoją sobie na górze jak długo im się podoba, my się nie boimy. Słyszałem jednak, że Tokwi Kawa jest wodzem walecznym i sprawiedliwym, pozbawionym uczucia nieprzyjaźni wobec ludzi, którzy go nie obrazili ani nie wyrządzili mu żadnej innej szkody. Jestem więc pewien, że natychmiast wstrzymasz swoje nieprzyjacielskie zamiary, gdy tylko usłyszysz, że nie szukamy niczego w tych stronach i chcemy tylko szybko przez nie przejechać. Jestem gotów porozmawiać z tobą.

— To wyjdź!

— Dumny wódz Komanczów nie może przecież żądać, żebym ja do niego przyszedł. Jest nas tylko trzydziestu, tymczasem wódz, jak sam mówi, ma trzystu wojowników. Gdybym się stąd oddalił, postawiłbym wszystko na jedną kartę, on zaś nie naraża nic, jeśli wejdzie do Estrecho.

— Ja jestem wodzem i nie potrzebuję chodzić za bladą twarzą — odrzekł dumnie Czarny Mustang.

— Well! Jeśli jednak nie przyjedziesz, to będzie wyglądało, że się boisz, a my możemy przypuszczać, że wcale nie ma z tobą tylu wojowników, ilu podałeś. Jeśli naprawdę jesteś odważnym człowiekiem, jeśli rzeczywiście rozporządzasz trzystoma wojownikami, to nie możesz wymagać, żebym ja opuszczał tych kilkoro ludzi, którzy są ze mną.

Tokwi Kawa musiał w duchu przyznać rację białemu, oprócz tego zaś był przekonany, że biali są zupełnie w jego mocy i nie mogą zrobić mu nic złego. Dlatego tak odpowiedział:

— Jak śmiesz wątpić w moją odwagę! Udowodnię ci, że uważam was za psy, które nie mogą kąsać, bo mają związane pyski. Ale blade twarze mają także podwójne języki, a w ich sercach mieszka zdrada; będą chcieli mnie pojmać, kiedy stanę przed nimi.

— Nie. Dla nas ten, kto przychodzi się układać, jest nietykalny. Będziesz więc bezpieczny jak wśród własnych wojowników.

— Będę także mógł wrócić kiedy zechcę?

— Oczywiście.

— Nawet jeżeli nie dojdziemy do porozumienia?

— Tak.

— I nie będziecie próbowali mnie zatrzymać?

— Nie.

— Czy mówisz prawdę?

— Zapewniam cię, że nie ukrywam swoich myśli.

— My wierzymy w Wielkiego Ducha, którego wy nazywacie Bogiem. To, co przysięgniecie jemu, musicie dotrzymać. Przyrzeknij mi więc na waszego Boga, że nie dotkniecie mnie, gdy zechcę odejść!

— Przyrzekam.

— Wobec tego przyjdę do was.

Po krótkiej chwili, podczas której usunięto płonące drzewo tak, że między ogniem a skałą powstała luka, wódz wszedł do Estrecho. Zbliżył się dumnym krokiem i z wysoko uniesioną głową do dowódcy białych i usiadł przed nim. Dowódca wiedział, że według indiańskich zwyczajów zwycięzca miał rozpocząć przemowę, dlatego milczał dopóki Mustang po dłuższym czasie nie odezwał się:

— Białe twarze uznały, że jakakolwiek próba obrony byłaby bezsensowna?

— Nie — odrzekł biały. — Jeszcze nie jesteśmy tego pewni.

— W takim razie wszyscy urodziliście się bez mózgów. Nikt nie zdoła wspiąć się na te skały, a żaden koń czy jeździec nie przejdzie przez płomienie. Z góry patrzy na was dwieście oczu, a sto strzelb jest gotowych do strzału.

— Pshaw! Nie boimy się waszych strzelb. Tu jest dosyć skalnych załomów, które osłonią nas przed waszymi kulami.

— Na jak długo wystarczy ta osłona? — wtrącił pogardliwie Czarny Mustang. — Zresztą nie musimy marnować na was kuł. Na zewnątrz mamy wodę i mięso, a wy tutaj nic nie macie. Zaczekamy więc, aż wypędzą was głód i pragnienie.

— To może trwać dość długo!

— Uff! Im dłużej to potrwa, tym mniejsza będzie nasza pobłażliwość. Potem nie będziecie mogli liczyć na litość. Jeśli zaś poddacie się teraz, przekonacie się, że w naszych sercach mieszka łaska.

— Łaska? Co złego zrobiliśmy, że mówicie o łasce? Udowodnij choć jednemu z moich

ludzi przynajmniej jeden drobny czyn skierowany przeciwko wam, a wtedy przyznam, że możesz mówić o łasce.

— Pshaw! Słynny wódz Komanczów, Tokwi Kawa, nie potrzebuje niczego udowadniać. Wykopaliliśmy topór wojenny przeciwko wszystkim bladym twarzom, a więc wszyscy, którzy wpadną nam w ręce, powinni właściwie zginąć na palu. A więc to, że nie domagamy się waszej śmierci, ale chcemy wam darować życie, jest z naszej strony wielkim miłosierdziem. Ale to miłosierdzie potrwa krótko i zniknie, gdy stąd odejdę i wrócę do moich wojowników. Nie zwlekaj z postanowieniem! Synowie Komanczów pragną waszej krwi. Na razie mnie posłuchają, ale gdy usłyszą, że moje łagodne słowa nie dotarły do waszych uszu, wtedy nie zdołam ich powstrzymać od zabrania wam skalpów!

Czarny Mustang powiedział to tak stanowczo, że jego słowa wywarły zamierzony skutek. Dowódca białych rzekł, aby się upewnić:

— Żądasz więc, żebyśmy się poddali, w tym wypadku zobowiązujesz się zostawić nas przy życiu? Spodziewam się, że przez to rozumiesz także naszą wolność?

Darujemy wam życie i będziecie mogli pójść, gdzie wam się spodoba — odpowiedział wódz, chociaż wcale nie zamierzał dotrzymać przyrzeczenia.

— Wyjaśnij mi jeszcze jak rozumiesz żądanie, żebyśmy się poddali?

— Oddacie nam całą broń.

— Konie też?

— Nie. Wojownicy Komanczów posiadają tyle dobrych koni, że gardzą waszymi.

— A reszta naszej własności?

— Pshaw! Wszystko co posiadacie nie przedstawia dla nas większej wartości niż cienkie źdźbła trawy unoszone przez wiatr. Żądamy tylko waszej broni i niczego więcej!

— Ale w takim razie nie będziemy mogli polować i będziemy bezbronni wobec nieprzyjaciół, gdybyśmy się z nimi spotkali!

— Przecież zatrzymacie swoje wierzchowce, a niedaleko stąd leży fort bladych twarzy. Dostaniecie się tam prędko i otrzymacie wszystko, czego wam potrzeba. Podałem wam już wszystkie warunki, pod którymi możecie ocalić swoje życie. Moi wojownicy na pewno niecierpliwą się z powodu mojej długiej nieobecności, dlatego muszę wracać. Mów więc szybko co postanowiłeś i co zamierzasz zrobić!

Wódz wstał i odwrócił się, jak gdyby chciał odejść. To przestraszyło doświadczonego i

zazwyczaj rozsądnego dowódcę i resztę białych. Wezwano Mustanga, aby zaczekał jeszcze chwilę. Dowódca zebrał głosy swoich towarzyszy i okazało się, że wszyscy bez wyjątku uważają życie i wolność za wiele cenniejsze od strzelb. Uwierzyli zapewnieniom i nie przyszło im na myśl, że Tokwi Kawa planuje odebrać im broń, a potem zamordować. Gdy biali zawiadomili wodza o swoim postanowieniu, ten złowrogo błysnął oczami, ale rzekł uprzejmie:

— Białe twarze postąpiły bardzo mądrze. Niech poskładają blisko ognia strzelby, pistolety, rewolwery, noże, naboje i proch. My zgasimy ogień, zabierzemy rzeczy i odjedziemy, a wy możecie robić co wam się podoba, zostać lub odejść.

Czarny Mustang był przekonany, że wygrał już całą sprawę i triumfował w głębi duszy. Biali zaś sądzili, że szczęśliwie udało im się uniknąć niebezpieczeństwa. Tymczasem wszyscy by zginęli, gdyby nie wydarzyło się coś, co zniweczyło podstępny plan Tokwi Kawy. Oto nagle doleciał ich odgłos jakiegoś spadającego przedmiotu, a po małej chwili bardzo blisko o ziemię uderzyło ludzkie ciało. Blask ognia oświecał to miejsce i dzięki temu było widać, że to Indianin.

— Uff, Uff! — zawołał wódz ze zdumieniem i strachem. — Ten nieostrożny człowiek wychylił się zanadto poza krawędź Estrecha i runął! Jego ciało...

Urwał, bo właśnie na skalisty grunt upadł drugi czerwonoskóry, a zaraz po nim trzeci. Biali odsunęli się z przerażeniem, a Mustang stanął w zakłopotaniu, nie mogąc sobie w żaden sposób wytłumaczyć śmiertelnego upadku swoich trzech wojowników. Dopiero po chwili przyszła mu do głowy taka myśl:

— Było ich trzech, trzech naraz! Jeden stracił równowagę i pociągnął za sobą dwóch innych, którzy chcieli go przytrzymać! Kto spadnie stamtąd, musi się zabić, ściana jest zbyt wysoka!

Schylił się, aby obejrzeć dokładniej nieszczęśliwych. Biali zbliżyli się również i cisnęli się chcąc zobaczyć trzech Indian. Nagle tuż za nimi zabrzmiał donośny głos:

— Zróbcie miejsce, moi panowie, zróbcie miejsce! Strąciłem tych trzech, aby dostać czwartego, to znaczy wodza!

Dwie silne ręce torowały sobie drogę między stłoczonymi ludźmi, którzy spoglądali na nowego przybysza ze zdziwieniem zastanawiając się jakim sposobem się tam zjawił, bo latać przecież nie umiał, a przez ogień ani po skale nie można było się przedostać.

Przybysz był odziany w skórę, na głowie miał kapelusz o szerokich kresach, na nogach buty z cholewami, a na plecach dwie strzelby.

Wódz także usłyszał słowa obcego człowieka i na ich dźwięk poderwał się gwałtownie. Ujrawszy go przed sobą cofnął się o krok i zawołał takim głosem, jakby właśnie zobaczył widmo:

— Old Shatterhand, uff...uff... Uff! To... rzeczywiście... Old Shatterhand!

— Tak, to ja — odparł westman. — Zdaje się, że przychodzę w samą porę, aby przeszkodzić nowemu łajdactwu z twojej strony.

Czarny Mustang był tak przerażony, że nie mógł się opanować i wyjąkał:

— To... to niemożliwe! Old Shatterhand... powinien być na innej... innej drodze do... do Santa Fe!...

— Pshaw! — przerwał mu ze śmiechem myśliwy. — Nie łam sobie głowy, stary rabusiu! Ani mi się śniło jechać tak, jak sobie życzyłeś. A jeśli nie chcesz, żebym ci ciągle przeszkadzał, to nie zostawiaj śladów. Czekaj! Na to jestem przygotowany, więc mi nie ujdiesz!

Ostatnie słowa wywołały to, że wódz, odzyskawszy w końcu panowanie nad sobą, rzucił się do ucieczki. Old Shatterhand dogonił go po kilku skokach, przewrócił i dwa razy uderzył go w głowę tak mocno, że Czarny Mustang stracił przytomność. Następnie Old Shatterhand zwrócił się do wciąż pogrążonych w zdumieniu białych:

— Good evening, gentlemen<sup>[86]</sup>! Chyba nie weźmiecie mi za złe tego, że przerwałem wam przyjacielską rozmowę z wodzem Komanczów i że tak znieczeka wpadłem między was?

— Oczywiście, oczywiście, Mr Shatterhand! — odrzekł szybko dowódca. — Jestem jeszcze pełen zdziwienia, ale rzeczywiście, tak, pan jest Old Shatterhandem!

— Pan mnie zna?

— Yes! Widziałem pana dwa lata temu w Spotted Tail Agency, gdzie pewien wódz plemienia Crow sądził, że umie jeździć konno lepiej od pana. Oczywiście przegrał zakład i musiał zapłacić pięćdziesiąt skórek bobrowych, które jednak wy zwróciliście mu następnego dnia. Nie mógł się potem nachwalić waszej szlachetności.

— Zakład odbył się rzeczywiście i właśnie w ten sposób, w jaki go pan opisuje, nie przypominam sobie jednak czy pana tam widziałem.

— To jest zrozumiałe. Tak nieznaczna osobistość jak ja nie wpadnie w oko Old Shatterhandowi lub Winnetou.

— Pshaw! Każdy człowiek posiada swoją wartość. Czy wolno zapytać o wasze nazwisko?

— Moje nazwisko nic panu nie powie. Ja sam słyszę je tak rzadko, że niemal je zapomniałem. Nazywają mnie „wasza mość”.

— Acha! Wasza mość! Jeśli to rzeczywiście pan, to słyszałem już o panu. Podobno jest pan doskonałym jeźdźcem i westmanem znajdującym się na tropach, a więc tym bardziej dziwi mnie to, że tak łatwo daliście się wywieść w pole Czarnemu Mustangowi i jego wnukowi.

— Jego wnukowi?

— Tak.

— Nie znam go wcale.

— Znacie go aż nadto dobrze. Metys, który was tu przyprowadził, jest synem białego, którego żoną była córka Mustanga.

— Heavens! Teraz zaczynam rozumieć całą sprawę. Ale zaraz, skąd pan wie, że on nas tu przyprowadził?

— Powiedzieli mi o tym wasze i jego ślady. On i wódz podsłuchali was w obozie.

— Naprawdę? Naprawdę? A my, głupcy, nie zauważyliśmy tego! Mieliśmy właśnie zamiar oddać naszą broń Komanczom.

— Broń? Co za pomysł!

— To nie nasz pomysł, sir! Musieliśmy tak zrobić, żeby ocalić życie.

— Ocalić życie? Jak to?

— Komancze powinni właściwie nas zabić, ale wódz w zamian za broń obiecał nam darować nie tylko życie, ale i wolność,

— I wy w to uwierzyliście?

— Naturalnie!

— To wcale nie jest takie oczywiste jak wam się wydaje. Wódz wcale nie miał zamiaru dotrzymać przyrzeczenia, chciał was tylko pozbawić broni, aby potem was zamordować.

— Do licha! Naprawdę tak sądzicie?

— Nie tylko sądzę, ale nawet jestem tego całkowicie pewny. Zdaje się, że nie wiecie o najważniejszej rzeczy. Ilu Komanczów jest z wodzem?

— Trzystu.

— Jest ich tylko stu, a my zabraliśmy im broń, leki i konie. Z tego powodu wypędzono ich ze szczepu i teraz włóczą się, aby zdobyć broń i skalpy. Chcieli wam zabrać jedno i drugie, a na dokładkę wierzchowce. Tych stu ludzi ma zaledwie pół tuzina strzelb i tylko dwa konie.

— Do wszystkich diabłów! A więc mogliśmy ich powystrzelać co do jednego!

— Oczywiście! Możecie to zresztą jeszcze uczynić.

— Już za późno. Przyrzekliśmy im pokój i zobowiązaliśmy się nie skrzywdzić wodza.

— Pshaw! Dotrzymajcie danego słowa. Nie mam nic przeciwko temu, chociaż on na pewno nie dochowałby swojego. Ale ja nie dałem mu słowa, więc mogę zrobić z wodzem co mi się podoba. Jak widzicie, trochę mu się już naraziłem. Odzyska wkrótce przytomność, dlatego trzeba go związać, żeby nie robił głupstw!

— A co się z nim stanie potem, sir?

— Hm! Nie zrobił mi nic złego, was także nie poturbował, a więc jego życie nie należy ani do was, ani do mnie. Musimy puścić go wolno, ale damy mu coś na pamiętkę.

— Well! Niech dostanie taką, żeby popamiętał. Ale przedtem weźmiemy go na spowiedź. Przesłuchanie musi się odbyć według praw sawanny. Ale, Mr Shatterhand, wciąż nie mogę wyjść ze zdumienia, że was tu widzę. Jak pan tu wszedł?

— W najprostszy sposób na świecie. Wie pan, że kiedy zetknęliśmy się poprzednio z Mustangiem, zabraliśmy mu i jego wojownikom broń, konie i leki. Oni podsłuchali, że zamierzamy się udać do Santa Fe, więc należało się spodziewać, że zaczną się gdzieś po drodze, żeby się na nas zemścić. Szukaliśmy więc ich tropu.

— Przecież nie mogliście go zobaczyć!

— Czemu nie?

— Bo nie byli przed, ale za wami. Przecież wy mieliście konie, a oni nie.

— Źle pan rozumuje. Właśnie dlatego, że byli bez koni, mogli przejść wprost przez góry, tymczasem my musieliśmy je okrążyć i w ten sposób zostaliśmy wyprzedzeni. Natknęliśmy się na ich ślady nad wodą, gdzie ubili bizona, krowę i cielę i ruszyliśmy za nimi. Dziś rano dotarliśmy do wczorajszego obozu Komanczów, zobaczyliśmy także ślady po waszym i zauważyliśmy, że podkradli się do was. Oczywiście pojechaliśmy dalej i przybyliśmy tutaj właśnie w chwili, kiedy rozniecono ogień, który miał wam zamknąć wyjście z Estrecho. Podzieliliśmy się, aby osaczyć Komanczów z kilku stron...

— Zaraz! W takim razie jest was bardzo wielu?

— Nie. Jest nas tylko sześciu.

— Sześciu? Gdybyście się nie nazywali Old Shatterhand, uważałbym was za wariata. Sześciu ludzi chciało osaczyć stu Komanczów!



— Cóż w tym dziwnego? Tych stu Indian nie ma prawie żadnej broni, a ja sam mam w mojej rusznicy, w sztucerze Henry'ego i w rewolwerach trzydzieści dziewięć kul. Poza tym jest wśród nas ktoś wart więcej niż stu Komanczów.

— Któż to taki?

— Winnetou.

— Co? Wódz Apaczów jest także tutaj? Dzięki Bogu! W takim razie nie obawiamy się już niczego! Bez was bylibyśmy zgubieni, a wy ocaliliście nam życie. Nigdy panu tego nie zapomnimy!

— Nie ma o czym mówić! Podzieliliśmy się więc, żeby otoczyć Komanczów. Ja powaliłem przy tym jednego z waszych towarzyszy, niejakiego Huma, który z gorliwości, aby was ocalić był tak nieostrożny, że nie chciał nam odpowiedzieć, wobec czego musiałem z nim postąpić jak z nieprzyjacielem.

— Zacny człowiek! My obeszliliśmy się z nim tak niedobrze, a on chciał nas za to ratować! Był lepszy i mądrzejszy od nas!

— Tak, to prawda. Zresztą uwolniłem go niebawem. Potem wydostaliśmy się na skały, aby zaglądnąć do Estrecho. Na górze ustawili się Komancze, którzy jednak nie mogli wam zaszkodzić, ponieważ nie mieli broni. Patrząc pod światło ogniska ujrzałem was naradzających się z wodzem, a równocześnie zauważyłem głaz wystający ze ściany, przy pomocy którego mogłem do was zejść. Właśnie w chwili, gdy miano mnie spuścić, nadeszło trzech Komanczów, aby się ustawić w tym miejscu. Jeden okrzyk zdradziłby nas i chociaż niechętnie zabijam ludzi, tu nie było wyboru; dostali pięścią po głowie i pospadali tu do was. Potem ja zsunąłem się za nimi aż do głazu, gdzie umocowałem rzemienie i zszedłem na ziemię. W ten sposób dostałem się do was. Jesteście ocaleni, gdyż moi towarzysze stoją przed Komanczami i za nimi; poza tym moi ludzie znajdują się w ciemności, a Indian oświetla ogień. Wystarczy jeden znak z mojej strony, a hukną strzały. O, niech pan spojrzy, wódz się już rusza! Zaraz odzyska przytomność i dowiemy się co myśli o swoim obecnym położeniu.

Tokwi Kawa rzeczywiście się ocknął i Old Shatterhand zaczął go przesłuchiwać. Wódz nie przyznał się do tego, że nastawał na życie białych, a ponieważ nie można było mu tego udowodnić, więc nie można też było karać go śmiercią. Gdy wódz usłyszał, że za przesmykiem stoi Winnetou z pięcioma towarzyszami gotowymi do ataku, przestraszył się i przyrzekł, że jeśli biali nie będą do niego strzelać, oddali się natychmiast wraz ze swoimi wojownikami. Jego moc

postanowił jednak dać pamiątkę zarówno jemu, jak i Metysowi. Polecono więc Czarnemu Mustangowi, aby zawołał wnuka, który jest potrzebny jako świadek przy układach. Nie przeczuwając właściwego powodu wódz zawołał Metysa. Natychmiast związano go tak samo, jak Tokwi Kawę, po czym obaj otrzymali pamiątkę, na którą złożyło się tyle batów, że gdy ich wypuszczono, odeszli bardzo wolnym krokiem. Jeśli się zważy, jak straszną obelgą dla czerwonoskórego jest obicie, można sobie wyobrazić, z jak gorącą żądzą zemsty obaj opuścili Estrecho. Wkrótce potem Indianie odeszli.

Pozostali podtrzymali rozniecony ogień i usiedli przy nim, aby dokładnie omówić wypadki dnia. Gdy jego mość wspomniał o Bonancy of Hoaka, Old Shatterhand zapytał go:

— A więc zmierzaliście do bonancy, a nie do Estrecho?

— Yes, sir! Ale bonanca miała się znajdować tu, w Estrecho.

— Tak! — zaśmiał się myśliwy. — Czy wiecie co oznacza ta nazwa?

— Nie. Nie ma takiego człowieka, który wiedziałby co ona oznacza.

— Owszem, są tacy. Wie o tym Winnetou, a ja także mogę wam to powiedzieć.

— To pewnie wiecie także, gdzie ona leży? — zapytał biały szybko i skwapliwie.

— Tak.

— To powiedzcie prędzej, gdzie?!

— Bardzo chętnie! „Hoaka” to słowo z języka Acoma i znaczy „niebo”. A więc Bonanca of Hoaka znaczy tyle co „niebieska bonanca”. Kiedy blade twarze rozbijały się tu na wszystkie strony w poszukiwaniu ponętnego kruszcu i przeważnie przy tym ginęły, jednocześnie starzy padres nauczali o prawdziwych skarbach, jakich należy szukać w niebie. W ten sposób utworzyło się pojęcie „Bonanca of Hoaka”. Jest legendą i nie daje spokoju gambuzinom i jak słyszałem, zaprzątnęła nawet wasze głowy, panowie.

— A więc to tak! — rzekł jego mość z wielkim rozczarowaniem. — A więc dla złudzenia, dla starej baśni omal nie zginęliśmy męczeńską śmiercią! Ach, czemu tym dwóm łajdakom, którzy to wykorzystali, nie wyliczyłem po pięćdziesiąt batów więcej niż dostali!

— Niech pan się nie martwi! Dostali dość i nie zapomną o tym nigdy. Nikt nie ucieszyłby się bardziej niż Mr Swan, inżynier z Rocky Ground, gdyby się dowiedział, że Metys, a nawet wódz otrzymali dokładnie taką karę, jaką on obmyślił dla mieszańca.

— Tak, to prawda, bardzo by się ucieszył — potwierdził Hobbler-Frank wykorzystując natychmiast sytuację, aby wtrącić swoje trzy grosze. — Wprawdzie nie jestem zwolennikiem

kary cielesnej, gdyż po pierwsze rani tego, kto ma delikatną duszę, a po drugie uszkadza nie tylko to miejsce, na które spada, lecz zabija poczucie honoru i odbiera spokój tym ludziom, którzy już go stracili. Są jednak tacy, którzy nie mogą wyżyć bez batów. Nie jestem więc zwolennikiem kijów, ale nie przejmuję się zbytnio, jeśli czasem się ich użyje. Byle tylko mnie to nie spotkało. W karze cielesnej są momenty, kiedy rzeczy najdroższe wydają mi się zbyt tanimi, a najtańsze zbyt drogimi. Quod erat demon szratus<sup>[87]</sup>! Długi Hum nie znał jeszcze małego westmana ani jego sposobu wypowiedzi, uważał więc za stosowne poprawić błąd Franka i powiedział:

— Przepraszam, panie Franku! Nie mówi się demon szratus, ale demonstrandum.

Na to Frank gniewnie błysnął oczami i odrzekł z prychnięciem:

— Tak? Tak? Co też pan wygaduje! Niech pan posłucha, mój najzacniejszy panie, czy wie pan może jak ja się nazywam?

— Przecież powiedział mi pan. Na nazwisko ma pan Franke!

— Franke? Tylko Franke? W takim razie muszę pana oświecić! Urodziłem się i zostałem ochrzczony jako Heliogabal Morfeusz Edeward Franke, myśliwy periowy z Moritzburga. Zrozumiano? Kto ma takie kolosalne nazwisko jak ja, z tym sprawa nie będzie łatwa. A pańskie nazwisko?

— Jestem Hum.

— Hum! Hum! To przecież nie jest nazwisko. Na pewno nazywa się pan inaczej!

— To prawda.

— No, a jak?

— Niechętnie wyjawiam swoje nazwisko.

— Dlaczego?

— Bo, mówiąc szczerze, obraża moje poczucie piękna.

— A widzi pan! Ma pan nazwisko, które boi się pan wymówić, a jednak śmie pan poprawiać Heliogabala Morfeusza Edewarda? Zaraz mogę się panu za to odwdziżyć! Pańskie nazwisko brzmi pewnie straszniej niż notatka urzędowa o Dawidzie Machiabeuszu Timpe!

Na dźwięk tego nazwiska długi Hum drgnął i szybko zapytał:

— Timpe? Skąd panu to wpadło do głowy?

— O nie, dziękuję pięknie, to wcale nie jest moje nazwisko! Gdybym się nazywał Timpe, skoczyłbym w morze tam, gdzie najgłębsza woda!

— A znał pan jakiegoś Timpe?

— Niestety, znałem dwie takie pożałowania godne osoby. Znam je nawet jeszcze teraz.

— W swojej ojczyźnie?

— Nie. Nazwisko Timpe obrzydziłoby mi ojczyznę. Poznałem ich tu, W Ameryce.

— Gdzie?

— W Rocky Ground.

— Mieszkają tam?

— Nie. Mieszkają teraz w Estrecho de Kuarco, a jeśli chce pan ich zobaczyć, to nie musi pan wyciągać lunety, oczywiście, jeżeli pan ją posiada. Niech pan się tylko przypatrzy tym dwóm młodzieńcom, temu kasztanowatemu Hasowi i jasnemu jak bułka Kasowi. Do nich już dawno przyczepiło się nazwisko Timpe.

— Naprawdę? Przepraszam, czy panowie nazywają się Timpe? — zapytał Hum zwracając się do braci stryjecznych.

— Tak — odrzekł Kas. — Ja jestem Kasimir Obadia Timpe, a to mój kuzyn Hasael Beniamin Timpe.

— Gdzie się urodziliście?

— W Plauen w Saksonii. Pan jest wyraźnie zainteresowany naszymi nazwiskami.

— To prawda!

— Dlaczego? Czy znał pan może kogoś kto się tak nazywał?

— Tak.

— Gdzie? Proszę nam powiedzieć! To dla nas bardzo ważne!

— Chętnie, bardzo chętnie, ale proszę mi najpierw powiedzieć dlaczego opuściliście ojczysty kraj?

— Nie mamy powodu tego ukrywać. Szukamy tutaj spadku, który nam podstępem zabrano.

— Podstępem? A kto to zrobił?

Widać było, że Hum był całkowicie zaprzątnięty tematem rozmowy. Kas odrzekł:

— Uciekł z nim jeden z naszych stryjecznych braci, niejaki Nahum Samuel Timpe i podobno przebywa teraz w Santa Fe. Jesteśmy właśnie w drodze do tego miasta, aby zdemaskować oszusta.

— All devils! A kto zostawił ten spadek?

— Nasz stryj, Józef Habakuk Timpe, który umarł bezdzietnie w Fayette.

— Moi panowie, to mnie naprawdę bardzo interesuje. Skąd jednak wiecie o tym, że ten stryj pozostawił majątek?

— Od braci stryjecznych Piotra Michy Timpe i Marka Absaloma Timpe, którzy właśnie dostali sto tysięcy talarów.

— I wy przybyliście tutaj po to, aby odebrać swoją część?

— Tak. Pisałem najpierw kilkakrotnie, ale nie otrzymałem odpowiedzi; dlatego wybrałem się, aby osobiście pochwycić oszusta, który uciekł z całą sumą.

Na to Hum wybuchnął głośnym śmiechem wołając przy tym:

— I po to udajecie się do Santa Fe? To zupełnie zbyteczne! Możecie go tutaj złapać, tutaj, w Estrechu, gdzie właśnie siedzicie!

— Co? Jak? Pan żartuje! Pan sobie z nas drwi! — mówili szybko Kas i Has jeden przez drugiego.

— Nie, traktuję tę sprawę całkiem poważnie, chociaż się śmieję. Nie domyślacie się jeszcze niczego? Wy poskracaliście swoje imiona Kasimir i Hasael na Kas i Has, a ja wspomniałem, że moje nazwisko źle brzmi i nazywam siebie Hum. Czy to nie mogło powstać ze skróconego Nahum? Ja jestem Nahumem Samuelem Timpe, tym bratem stryjecznym i oszustem, którego szukacie. No, złapcie mnie panowie jak najszybciej!

Kas i Has w pierwszej chwili oniemieli ze zdumienia, ale gadatliwy jak zawsze Frank zawołał z wielkim zapałem:

— Teraz go mamy! Prawdziwy kryminalny Timpe wpadł nam w sieci! Jeśli natychmiast nie odda pieniędzy, powiesimy go jak nietoperza, głową na dół! Tak ładnie to określa przysłowie, że pycha zawsze poprzedza upadek. Teraz zostanie omotany przez własne demonstrandum!

Dopiero teraz Kas i Has zerwali się na równe nogi i zaczęli zarzucać Huma pytaniami, wyrzutami i groźbami. On jednak nie słuchał tego, lecz wyciągnął z kieszeni starannie zawiązaną paczkę, wyjął z niej list i ciągle się śmiejąc podał go Kasowi i Hasowi.

— To bezwartościowe papiery — dodał jeszcze dla wyjaśnienia wskazując paczkę. — Ale kosztowały mnie dużo pieniędzy i są całą spuścizną po stryju Habakuku. Zobaczcie wszystkie i zbadajcie je, ale najpierw przeczytajcie to pismo, które spadkodawca otrzymał krótko przed śmiercią. To jedyny legat<sup>[88]</sup>, którego nie opłaciłem z własnego majątku. Możecie go sobie zachować.

Obaj wzięli się skwapliwie do czytania listu i czytali go równocześnie. Jednak im bardziej

zapoznawali się z jego treścią, tym bardziej wydłużały im się twarze. Gdy skończyli, upuścili list na ziemię i spojrzeli na Huma z rozczarowanymi minami.

— No, czy jestem oszustem? — zapytał Hum. — Stryj sam mnie oszukał w tej historii z dziedzictwem, a wasi stryjeczni bracia zażartowali sobie z was, ponieważ Timpowie z Plauen pokłócili się z Timpami z Hofu. Pierwsi z nich wygrali na loterii sto tysięcy talarów i wmówili krewnym z Hofu, że odziedziczyli tę sumę po stryju Habakuku. Napisali o tym do stryja krótko przed jego śmiercią i w tym liście zażartowali sobie z was. Chociaż to zabawna historia, bardzo mi jednak przykro, że spowodowała nasze spotkanie tu, na Zachodzie. Jeśli wciąż chcecie mnie aresztować, to proszę!

Chociaż list zawierał niezbity dowód niewinności Nahuma, upłynęła jeszcze dobra chwila zanim Kas i Has przyzwyczaili się do nagłej zmiany sytuacji. Z wielkim trudem zdołali się wyrzec raz na zawsze nadziei zdobycia spadku. Wreszcie Hum wstał, wyciągnął do nich obie dłonie i rzekł:

— Nie martwcie się! Przepadł wam przecież tylko urojony majątek, a ja utraciłem przez Józefa Habakuka prawdziwy, który otrzymałbym od ojca, gdyby stryj go nie oszukał. Jeśli ja się z tym pogodziłem, to i wy potraficie spokojnie znieść ten cios losu, tym bardziej, że zamiast krewnego oszusta odnaleźliście uczciwego stryjecznego brata, który ogromnie się cieszy z tego spotkania i jest gotów dzielić z wami wszelką dole i niedole. A sadzę, że to także coś warte!

To głęboko poruszyło duszę Hobbles-Franka. Mimo iż dopiero co powiedział, że Huma należy powiesić do góry nogami, teraz zawołał z zapalem:

— No i czemu tak stoicie jak cieleta przed nowymi wrotami? Ten kochany i niezrównany Hum przemówił mi do serca i wątroby! Nie ma na świecie nic lepszego od stryjecznego brata, którego można szanować i darzyć przyjaźnią! Doświadczyłem już tego na moim kuzynie Drollu. Takie pokrewieństwo ciała i ducha jest miłsze od lewkonii i narcyzów; ono wzmacnia nerwy i kości pokrewnego szlachectwa duszy. A więc nie ociągajcie się ze wstąpieniem do tego związku przyjaźni, ale chwyćcie się za ręce! A ja uczynię pierwszy krok do pojednania przez to, że zawołam jak d'Artagnan: „Pozwólcie, żebym w waszym związku był czwartym!”

Wypowiedź Hobbles-Franka wywołała powszechną wesołość. Kas i Has musieli przyłączyć się do tego śmiechu i w końcu ujęli Huma za ręce i Kas powiedział:

— Masz słusność, kuzynie, nie widzę powodu, aby się dłużej na ciebie gniewać. Zresztą pieniądze nie dają szczęścia. Stoimy tutaj nad Bonancą of Hoaka, a jej nazwa powinna nas

nauczyć, że istnieją jeszcze inne skarby i właśnie takich należy szukać. Trzymajmy się odtąd razem, spodziewam się, że kiedyś, gdy ktoś będzie mówił o prawdziwej przyjaźni, to powie: „Całkiem jak u spadkobierców Timpego!”.

— Tak jest, jak u spadkobierców Timpego! — potwierdził Hobble-Frank. — Wprawdzie dotychczas nie mogłem znaleźć w tym nazwisku niczego zachwycającego, ale czego nie widzi człowiek rozumny, to zobaczy cierpiący reumatyk. A więc żegnam teraz moją niechęć, a ponieważ wy przybraliście sobie skrócone imiona, to i ja, jako czwarty w związku, skreślę kawałek swojego. Nazywajcie mnie odtąd tylko Heliogabalem Morfeuszem Edwardem, a Franka możecie opuszczać. Mimo to cały świat będzie dobrze wiedział, że te trzy imiona należą do słynnego Franka. Powiedziałem. Howgh!

<sup>1</sup> Firwood Camp (ang.) obóz w jodłowym lesie, Jodłowy Obóz

<sup>2</sup> Thanks God! (ang.) — dzięki Bogu!

<sup>3</sup> Wonderful (ang.) — cudownie

<sup>4</sup> Shop (ang.) — sklep; shops — sklepy

<sup>5</sup> Good evening, sir (ang.) — dobry wieczór panu

<sup>6</sup> Shopman — utrzymujący gospodę

<sup>7</sup> Engineer — inżynier

<sup>8</sup> Rail workers (ang.) — pracownicy kolei, kolejarze

<sup>9</sup> Metys — człowiek, którego jednym z rodziców jest biały, a drugim Indianin

<sup>10</sup> Pedlar (ang.) — domokrążca, kramarz, handlarz

<sup>11</sup> Tokwi Kawa (ind.) — Czarny Mustang

<sup>12</sup> Scout (ang.) — zwiadowca, przewodnik

<sup>13</sup> Surveyor (ang.) — inspektor

<sup>14</sup> My boy (ang.) — mój chłopcze

<sup>15</sup> Halfbreed (ang.) — mieszaniec

<sup>16</sup> Bowie (ang.) — nóż nazwany tak od wynalazcy, pułkownika Bowie

<sup>17</sup> Lasso (ang.) — długi rzemień z pętlącą do chwytania zwierząt

<sup>18</sup> Lek — rodzaj amuletu, talizman; przedmiot któremu przypisuje się magiczną moc chronienia przed niebezpieczeństwem i przynoszenia szczęścia

- <sup>19</sup> Readily, with pleasure (ang.) — chętnie, z przyjemnością
- <sup>20</sup> Welcome (ang.) — witajcie, witaj
- <sup>21</sup> Thunder storm (ang.) — do pioruna
- <sup>22</sup> All devils (ang.) — do wszystkich diabłów
- <sup>23</sup> Alder Spring (ang.) — Olchowe źródło
- <sup>24</sup> Synowie Niebios — tak Chińczycy nazywają siebie
- <sup>25</sup> Frisco — skrócona nazwa San Francisco
- <sup>26</sup> Państwo Środka — Chiny
- <sup>27</sup> Upsarokowie (ind.) — Indianie Wrony
- <sup>28</sup> Ik Senanda (ind.) — Zły Wąż
- <sup>29</sup> Kita Homasza (ind.) — Dwa Pióra
- <sup>30</sup> Wagare sariczes (ind.) — żółte psy, Chińczycy
- <sup>31</sup> Iltszi (ind.) — Wiatr
- <sup>32</sup> Hatatitla (ind.) — Błyskawica
- <sup>33</sup> Rocky Ground (ang.) — Skalista Ziemia
- <sup>34</sup> Vaquero (hiszp.) — konny pasterz
- <sup>35</sup> Stopa — miara długości równa 30,4 cm
- <sup>36</sup> Hacjendero (hiszp.) — właściciel rancza, farmy
- <sup>37</sup> Corral — stała lub przenośna zagroda dla koni lub bydła, zbudowana z drewnianych bali i żerdzi lub siatki
- <sup>38</sup> Lynch (ang.) — lincz, samosąd; od nazwiska sędziego w stanie Wirginia; pobicie lub zabójstwo człowieka przez wzburzony tłum, stosowany w południowych stanach USA
- <sup>39</sup> Firsthands (ang.) — przodownicy robotników
- <sup>40</sup> Szynkwas — lada, za którą siedzi sprzedający trunki
- <sup>41</sup> Traper (z ang.) — łowca, który zastawia w puszczech Ameryki Północnej sidła na zwierzęta dające dobre futro.
- <sup>42</sup> Boardkeeper (ang.) — gospodarz
- <sup>43</sup> Ischia — wyspa włoska na Morzu Tyrreńskim; Frank miał na myśli ischias, czyli rwę kulszową — zespół objawów, na który składa się ból w okolicy lędźwiowej promieniujący wzdłuż tylnej powierzchni nogi i bolesność mięśni chorej kończyny
- <sup>44</sup> Funt — jednostka wagi równa 0,45 kg



<sup>45</sup> Veni, vidi (łac.) — to początkowe słowa sławnego powiedzenia Cezara „Veni, vidi, vici”, czyli „Przyszedłem, spojrzałem, zwyciężyłem”

<sup>46</sup> Mardi (fr.) — wtorek

<sup>47</sup> Midi (fr.) — w porze południa

<sup>48</sup> Corner Top (ang.) — Narożny Szczyt

<sup>49</sup> Elektor — tytuł siedmiu dostojników uprawnionych do wyboru cesarza

<sup>50</sup> Mantyla — właśc. mantylka; krótka jedwabna pelerynka noszona przez kobiety w XIX wieku

<sup>51</sup> Boarding-house (ang.) — pensjonat

<sup>52</sup> Frank chciał zapewne powiedzieć olimpijski spokój czyli spokój całkowity

<sup>53</sup> Mila angielska — jednostka długości równa 1609,3 m

<sup>54</sup> Birch Hole (ang.) — Brzozowa Dziura

<sup>55</sup> Kojot — drapieżnik z rodzaju psów; długość ciała do 1 m, ubarwieniem i zwyczajami zbliżony do wilka; żyje na preriach

<sup>56</sup> My boy (ang.) — mój chłopcze

<sup>57</sup> Grandfather (ang.) — dziadek

<sup>58</sup> Pegaz (mit. gr.) — skrzydlaty koń; uderzeniem kopyta otworzył źródło na górze Helikon, siedzibie muz; symbol polotu poetyckiego

<sup>59</sup> Heros (mit. gr.) — bohater pochodzenia boskiego, jak Herkules, Achilles i inni

<sup>60</sup> Frank przekreślił wyrażenie in cognito (łac.), czyli skrycie, tajnie

<sup>61</sup> Par force (fr.) — na siłę

<sup>62</sup> Filantrop (z gr.) — człowiek uprawiający filantropie, dobroczynny, kochający ludzi

<sup>63</sup> Leveret (fr.) — zajączek

<sup>64</sup> En detail (fr.) — szczegółowo

<sup>65</sup> En gros (fr.) — hurtem, zbiorowo

<sup>66</sup> Squatter (ang.) — osadnik

<sup>67</sup> Heavens (ang.) — O nieba

<sup>68</sup> Memnon (mit. gr.) — król Etiopów. syn bogini Eos, zabity pod Troją przez Achillesa, posąg Memnna — ogromny posąg wzniesiony w XIV w p.n.e.; w brzasku zorzy porannej melodyjnie dźwięczał

<sup>69</sup> Tokwi Kawa, eta haueh! (ind.) — Tokwi Kawo, wychodź

<sup>70</sup> Szarlih — indiańskie imię Old Shatterhanda

<sup>71</sup> Nirwana — cel ostateczny w religii buddyjskiej; wyzwolenie się z więzów materii, gdy człowiek po wielu wcieleniach przestanie się odradzać i uwolni się od cierpień istnienia

<sup>72</sup> Jurysta — prawnik

<sup>73</sup> Prokurator — prawnik, oskarżyciel

<sup>74</sup> Exemplum (łac.) — przykład

<sup>75</sup> Frank chciał powiedzieć permanentnej — stałej, ciągłej

<sup>76</sup> Enfant gate (fr.) — rozpieszczone dziecko

<sup>77</sup> Gambuzin — poszukiwacz złota

<sup>78</sup> Nuggety — kawałeczki złota, bryłki, samородki

<sup>79</sup> Pater (łac.) — ojciec

<sup>80</sup> Estrecho de Kuarco (ind.) — Krzemieny Przesmyk

<sup>81</sup> Sennores (hiszp.) — panowie

<sup>82</sup> Greenhorn (ang.) — nowicjusz, żółtodziób

<sup>83</sup> Szapo-gaska (ind.) — kryjówka złota

<sup>84</sup> Shout (ang.) — krzyk, wrzask

<sup>85</sup> Punks (ang.) — hubka

<sup>86</sup> Good evening, gentlemen (ang.) — dobry wieczór, panowie

<sup>87</sup> Quod erat demonstrandum (łac.) — to co było do powiedzenia, formuła używana po zakończeniu rozumowania i logicznego wywodu, na dowód, że ostateczny wynik jest konieczny i nie może ulegać zaprzeczeniu

<sup>88</sup> Legat — zapis testamentowy